

MIESIĘCZNIK Kurjera Polskiego



Zeszyt X.

za

PAŹDZIERNIK
1900.



TREŚĆ:

- I. Dom a szkoła *Pedagog.*
- II. Nasz patron *E. B.*
- III. Kronika chleba *F. Coppé.*
- IV. Szerokie projekty.
- V. Wąż morski.
- VI. Przeobrażenie Chin w świetle nauki *J. Hess.*
- VII. Rower na usługach wojny *D. L.*
- VIII. Bohaterowie Niagary *M. U.*
- IX. Ze świata kobiecego *E. Żmijewska.*
- X. Sprawy bieżące.
- XI. Rozmaitości.
- XII. Korsarz Triplex.
- XIII. Miecz i łokieć (powieść) *W. Gomułicki.*

Adres Redakcji: Marszałkowska 141.

WARSZAWA.

Druk M. Lewińskiego i S-ki
Marszałkowska № 141.

SKŁADY FABRYCZNE ŻYRARDOWSKIE

Krakowskie Przedmieście № 55 i Nowy Świat № 36

polecają

PŁÓTNA. WYROBY POŃCZOSZNICZE. BIELIZNĘ.

4 rb. w roku bieżącym, 4 rb.

rocznie w Warszawie.

1900-ym

rocznie na prowincji

„Kurier Polski”

wychodzi na warunkach dotychczasowych pod redakcją

Ludwika Straszewicza.

Cena „Kurjera Polskiego” w Warszawie i na prowincji rocz. rb. 4, kw. rb. 1.

Przy „Kurjerze Polskim” od Nowego Roku wychodzi:

„MIESIĘCZNIK”

ILLUSTROWANY,

który prenumerować mogą wyłącznie abonenci „Kurjera”.

Cena miesięcznika zarówno w Warszawie jak i na prowincji dla prenumeratorów „Kurjera Polskiego” (ci bowiem wyłącznie miesięcznik prenumerować mogą) wynosi rocznie rb. 4, półrocznie rb. 2, kwartalnie rb. 1.

4 rb.

WARSZAWA

4 rb.

Marszałkowska № 141.

rocznie na prowincji.

rocznie w Warszawie.

Broszurowano w Zakładzie Galanteryjno-Introligator-
skim i Broszurowni HENRYKA MEYERA Marszałkow-
ska № 141, m. 27.

Dom a szkoła.

Sprawa wychowania i kształcenia szkolnego stanowi niewątpliwie podstawę bytu i rozwoju przyszłego społeczeństwa. Jak młoda latorośl przy starannej pieczy, w przyjaznych warunkach życia wyrasta pięknie i sama z czasem pożyteczny wydaje owoc, a wystawiona na zmiany klimatu lub zapomniana w gęstwinie, ginie lub dziczeje, zagłuszając drobniejsze a szlachetne pędy,—podobnie i młodociana rzesza ludzka potrzebuje ciągłego i nader umiejętnego pielęgnowania ciała i duszy, jeżeli ma wydać pokolenie zdrowe i żywotne, dobrych członków rodziny, zacnych obywateli kraju. Przed kilku miesiącami poruszyliśmy sprawę podobną („Od czego zacząć,” zeszyt II „Miesięcznika”), kładąc nacisk na ważność wychowania i nauczania domowego. Tutaj zaś pomówimy o wpływie domu na szkołę, o znaczeniu łączności między jednym a drugim.

Nie darmo państwa, kwitnące dobrobytem, zarówno jak zajmujące potężne stanowisko na arenie świa-

ta, myślą o podniesieniu oświaty, o udoskonaleniu szkół wszelakich, jakkolwiek te nieraz wśród sąsiadów za wzory uchodzą, na których oni budują swe systemata szkolne. Najoświeciejszy naród pojmuje najlepiej, że moralność i wykształcenie, nie oręż stanowi trwałą potęgę społeczeństwa. Historia daje po temu aż nadto przykładów. To też starają się poprawić wady obecnego szkolnictwa, od których nawet rzekome wzory nie są wolne; nawet gorączka uzbrojeń nie daje o nich zapominać. Skutek rzetelnej oświaty, myśli, niezakutej formalistyką ani balastem nauk zbytecznych — twórczość i wynalazczość, wzbogaca kraj zdobyczami przemysłu i techniki, wzmacnia jego pomyślny rozkwit i środki obrony.

Doskonałość szkół — to siła kraju, to jego żywotność. W dzisiejszych czasach zwłaszcza, gdy ruch panuje gorączkowy na wszelkich polach i to nie jakiś ruch czasowy, lecz wzmagający się ustawicznie, bo będący wyrazem postępu, teraz bardziej niż kiedykolwiek dawniej da się to powiedzieć. Zastój choć krótki w handlu czy przemyśle wielkie spowoduje straty; zastój, czy — co na jedno wynosi — utrzymanie szkolnictwa na tym samym poziomie co do ilości i jakości, nieobliczone a ujemne skutki wywrzeć musi niebawem w całym kraju lub narodzie. Krótkowidz chyba, baczący na teraźniejszość, a nieprzenikający najbliższej przyszłości, może tego nie uznać, rzec może: jestem zamożny i silny, mam wyborne uczelnie i zakłady wychowawcze, mogę więc spać spokojnie.

Cóż dopiero mówić o instytucjach, które wiele pozostawiają do życzenia, jak widzą wszyscy, zarówno ogół jak sfery rządzące!

Nie nadaremnie, powtarzamy, zwrócono ostatniemi czasy uwagę i u nas na kwestję szkolną, która zarazem jest kwestją społeczną i polityczną. Reorganizację szkół uznało za niezbędną i ministerjum oświaty, i właśnie przechodzimy obecnie epokę ich przekształcenia.

W naszych szkołach oddawna dawało się uczuć przeciążenie, rosnące z każdym rokiem. Młodzież czuje się przepracowaną, traci humor i zdrowie; ostatnie stwierdzają wprost spostrzeżenia lekarskie. Sam fakt, że mało który z uczniów nie ma korepetytora do pewnych lub do wszystkich przedmiotów, wyraźnie jest nienormalny. Czyż wymagania szkolne mogą być takie, aby większość młodzieży nie była w stanie sama im podołać?

Zakreślony ongi program szkolny stopniowo rozszerzano, do wykładu pojedynczych przedmiotów wprowadzono nowe uzupełnienia; nauczyciele zaś, dodając jeszcze nieraz ze swej strony szczególne wymagania, doprowadzili szkołę do stanu, który nie może zachęcająco wpływać na ucznia. Nadmiar nawet przyjemności sprawia w końcu znużenie; przeładowanie zaś umysłu młodzieży wiadomościami, z których wiele z pożytkiem dałoby się pominąć, wywołuje, obok nadwężania zdrowia, niechęć do nauki i przygnębienie.

Na te ujemne wyniki kształcenia szkolnego wpływał także u nas panujący do ostatnich czasów system „stopniowy;“ nauczyciel musiał z obowiązku tyle a tyle stopni na lekcji wystawić, jeżeli chciał być w zgodzie z przepisami. W ciągu godziny, czyli właściwie 50 minut, zapytać np. ośmiu uczniów, ocenić należyćie ich odpowiedzi już jest rzeczą bardzo trudną;

i jaki zresztą tego skutek? Uczeń wyrecytuje lekcję lub nauczyciel zada mu szereg pytań, by się przekonać, co umie, i na tem koniec. Na wytłomaczenie, na prowadzenie ucznia w razach wątpliwych, rozważenie wraz z nim jakiejś rzeczy niema czasu w tych warunkach, mimo chęci nauczyciela, który schodzi do roli egzaminatora. Po owem zaś wypytaniu tem mniej czasu pozostaje na wykład nowej lekcji, tak iż tenże często zupełnie nie istnieje, a sprowadza się do tak zwanego zadawania. I czyż dziwić się można, że uczeń, nawet dosyć zdolny, nie mając w szkole wykładu i wyjaśnienia dostatecznego, ucieka się do korepetytora lub „zakuwa“ się pamięciowo, uczy bez zrozumienia.

Po co zaś ślęczy i pracuje? Dla stopnia; pospolicie dla owej pożądanej „trójki“, ambitny zaś i zdolniejszy dla „czwórki“ lub „piątki.“ Jest to również naturalny wynik metody „stopniowej.“ Najponętniejszy przedmiot bez żywego, urozmaiconego wykładu nie zajmie ani pociągnie; wydanie zaś lekcji, bez udziału ze strony nauczyciela, i pod obawą złego stopnia, jest wprost odstręczające.

Nieszczęsny stopień szkolny stłumił w niejednym obiecującym młodzieńcu chęć do nauki, zabił zdolność myślenia, w końcu nieraz zamknął mu przyszłość, do jakiej on i jego rodzice dążyli. To też słusznie przedsięwzięto środki poprawienia złego. Usunąć zupełnie stopni niepodobna; istnieją one wszędzie jako ostateczna ocena pracy ucznia i w tem znaczeniu są konieczne. Na lekcji natomiast stopień ma zejść do roli podrzędnej, zostawiony do uznania nauczyciela, którego obowiązkiem staje się wykład i praca wspólna z uczniami. Nie wysłuchanie lekcji, lecz wszechstron-

ne jej rozważenie i wytłomaczenie; nie zadawanie, ani wykład uniwersytecki, ciągły, lecz przystępne wyjaśnienie dalszego ciągu przedmiotu, połączone z zagadnieniami uczniów, dla pobudzenia ich uwagi i przekonania się o zrozumieniu,—taki sposób prowadzenia nauki winien mieć na oku pedagog. Ideałem nauczania pozostanie zawsze nauka podczas lekcji, tak iżby uczeń mógł zrozumieć i główne jej osnowy zapamiętać; w domu zaś wystarczyć winno samodzielne jej powtórzenie lub przepowiedzenie.

Znajdą się oczywiście umysły słabe, które się mimo to bez obcej pomocy nie obejdą; są przedmioty, jak np. języki obce, których nauka musi być w znacznej części pamięciowa. Lecz korepetycje należeć winny do wyjątków; przedmiotów zaś rozumowych i opisowych, jak matematyka, fizyka, nauki przyrodnicze, literatura, w części historia i geografia, uczeń powinien się głównie nauczyć na lekcji.

Taki sposób traktowania zbawiennie wpłynie niezawodnie na uwagę i zachowanie się młodzieży, na co nieraz słychać utyskiwania. Zamiłowanie zaś do nauki, wpojone w nią tą drogą, wzbudzi szacunek, zaufanie i sympatję ku jej kierownikom. Młodzież wybornie poznaje się lub odczuwa chęci i starania swych przewodników, ocenia ich uzdolnienie, i szczerem sercem płaci za życzliwe i sprawiedliwe postępowanie, uznaniem za naukę sumienną. Taki tylko nauczyciel może być zarazem wychowawcą, mieć wpływ na stronę moralną młodzieży; szkoła w takich warunkach staje się zakładem wychowawczym,—inaczej wyrażenie to ostatnie jest tylko czczym frazesem. Cóż to za „wychowawcy szkoły,” którzy opuściwszy ją,

z odrazą omijają jej mury, żałują czasu, straconego na wiele bezcelowych formułek i wypracowań, a nauczycieli uważają za najemników, odsiadujących swe godziny, a czasem nawet za swych prześladowców.

Jeżeli wszelkie ułatwienie nauki i poprowadzenie jej we właściwym kierunku jest pożądane, wymaga to naszego współudziału. Bez niego lub w razie przeciwdziałania na nic pójdą wszelkie zmiany w programatach, wykładach, wszelkie usiłowania najlepszych pedagogów. Dom i szkoła jednoczyć się winny, jeśli dzieci nasze mają zyskać należyte wychowanie i wykształcenie w pedagogji prywatnej rzecz to nie trudna do osiągnięcia, wobec mniejszej liczby uczniów.

W układaniu programatów szkół nowego typu, jako to handlowych i przemysłowych, nawet sfery decydujące nie wahają się zasięgać zdania prywatnych osób kompetentnych, pedagogów, kupców, przemysłowców, i uwzględniają je w wyborze i wykładzie przedmiotów. W innych szkołach średnich ogólnych, niejedna zmiana dąży, jak to nadmieniliśmy, do usunięcia zbytniego nawału niektórych przedmiotów, jak zredukowania języków starożytnych a rozszerzenia nauki żyjących języków obcych, jakoteż nauk rozwijających umysł, jak przyrodnicze i matematyka. Nadto we wszelkich szkołach systemat obowiązkowego przesłuchiwania lekcji i masowego pisanja stopni został uznany za szkodliwy; zniesiono też niektóre egzaminy przejściowe w zakładach średnich męskich i żeńskich.

Pożądane te zmiany powinnyby zwrócić uwagę rodziców, a przynajmniej poruszyć dbałość ich o zdrowie i wykształcenie własnych dzieci. Niestety, wielu

z nas nie zdaje sobie sprawy z zadania szkoły, czy też, mimo wszelkich nawoływań, nie chce zrozumieć własnych obowiązków wychowawczych.

Szkoły, zwłaszcza prywatne, jako mające bliższą styczność z domem, starają się badać warunki otoczenia, w jakich każde dziecko wzrasta, jak się uczy w domu, jak czas spędza, ile odpoczywa i t. p., ażeby, stosując o ile możliwości higienę w szkole, dawać co do niej wskazówki opiece domowej, jakie często bardzo by się przydały. Dalej, szkoła kontroluje spóźnienia i opuszczenia lekcji, odwołując się również do rodziców, zawiadamia ich i ostrzega o opieszałości, wybrykach, złych skłonnościach dzieci, wskazuje ich uzdolnienie w pewnym kierunku, a słabości w innym, potrzebę zwrócenia uwagi lub dania pomocy. Środki te, jako mające na widoku jedynie dobro młodego pokolenia, zdawałoby się, winnyby z wdzięcznością być przyjmowane, a życzenia szkolne spełniane. Są ludzie, pojmujący należycie działalność szkoły i pomagający jej w tem dzielnie domową swą pieczę.

Większość jednak postępuje inaczej.

Matka ma syna jedynaka. Chłopak urwis i zbytnik, matki nie słucha; z trudnością zdołała go jakoś przygotować i oddać do szkoły. Zdolnego malca zajmuje nowe życie, bawi otoczenie; weźmie się nawet do nauki, by nie być gorszym od innych, od których wyższym się czuje. Ale zbytki przemogą; naraził się raz, drugi i dziesiąty, nieuwaga przeszkadza mu w nauce, pogorszył stopnie, zapoznał się z karą — i chłopiec spada do rzędu łobuzów i próżniaków. Szkoła przestrzegała, radziła zawczasu ujęcie synka w energiczniejsze ręce. Daremnie! Ileż to razy pisało się Sta-

siowi świadectwo, że słaby, skoro się spóźnił lub lekcji nie przygotował, gdy istotnym powodem był teatr lub goście...

Takich typów lub podobnych znajdzie się niemało. Czyż szkoła tu winna, że z dzieci w gruncie niezłych i zdolnych wychodzą nicponie i nieuki?

Jaś ma średnie zdolności, uczy się dobrze, bo jest pracowity; lubią go koledzy i nauczyciele. Dotąd nie miał złych stopni; naraz przynosi „dwójkę“ z matematyki, która mu trudniej idzie, nie zrobił bowiem zadania klasowego. Ojciec oburzony, w obecności malca wyrzeka na nauczyciela, jak mógł być niesprawiedliwym względem ucznia tak pilnego (jeżeli już nie tak zdolnego). W ten sposób nietakt rodziców w tysiące dzieci wlał nieszczęsne przeświadczenie o rzekomych krzywdach i prześladowaniu, że już nie zaznaczą wzbudzenia w nich fałszywego sądu o sobie.

Słabowity od urodzenia, doszedł wreszcie Ignas lat jedenastu. Rodzice zamożni nie szczędzili wydatków zarówno na opiekę lekarską, jak na guwernerów. Oględni na przyszłość, skoro „fortuna kołem się toczy“, czy też pragnący stanowiska syna w inteligencji, postanowili oddać go do szkół. Lekarz domowy kiwa głową, wreszcie zgadza się na naukę szkolną, byleby malec nie pracował dużo. Ignas uczy się nieźle, przechodzi klas kilka, ale opuszcza zajęcia, coraz częściej zapadając na zdrowiu. Któregoś roku zarząd szkoły, znając słabowitość dziecka, wzywa rodziców, aby zatrzymali dobrowolnie swego syna w tej samej klasie.

„Syn pański mógłby przejść do piątej, uczy się jako tako, ale to mu przychodzi z widocznym wysił-

kiem, uszczerbkiem dla zdrowia; z każdym rokiem stopnie ma gorsze i opuszcza więcej lekcji. Radzimy panu szczerze, niechaj opóźni o rok naukę, a dalsza pójdzie mu łatwiej i na zdrowiu zyska.“

Ojciec za nie o tem słyszeć nie chce. Jakto, syn jego miałby pozostać w czwartej klasie, gdy kolega tegoż, Zygmunt z sąsiedztwa przeszedł do piątej! Bierzże najlepszych nauczycieli, czuwa sam nad nauką, i przeprowadza Ignasia do klasy następnej; w pół roku zaś potem... na cmentarz.

Nieszczęsnych dzieci, których nauka gwałt zadaje organizmowi, nie brakuje, gwoili ambicji rodziców lub ich własnej; a będzie ich w tym stanie rzeczy coraz więcej, nietylę bowiem w szkołach umierają, ile cherlaków przysparzają społeczeństwu.

Że ofiara z miłości własnej i dobrowolna strata roku w szkole może być w skutkach zbawienną, doświadczył na sobie piszący te słowa. W jednej z młodszych klas gimnazjalnych dyrektor radził ojcu pozostawienie go pomimo stopni dostatecznych na rok drugi, a to dla słabości zdrowia. Na szczęście ojciec usłuchał rozumnej rady, i jej zawdzięcza on dalszą łatwość w naukach i pokrzepienie na siłach, które przedtem zużywała praca uciążliwa.

Rodzice przewidujący już przy oddawaniu do szkół przygotowywać winni dziecko o klasę wyżej, niż ta, do której ono ma wstąpić.

A teraz inne przykłady.

Pan X. stracił żonę dawno; z kilkorga pociech syn najstarszy chodzi do szkoły handlowej, w której rodzic widzi najlepszą rękojmnię bytu; sam bowiem pracując w tym zawodzie bez specjalnego

wykształcenia, rozumie, ileby ono mu było pomocne. Cały dzień pracuje po za domem, dzieci więc pilnować nie może; zresztą opiekuje się niemi gospodyni, daleka krewna. Wyrostek mało się uczy, stopnie na cenzurę miewa rozmaite; dzienniczka zaś szkolnego ojciec niema czasu przeglądać, krewna podpisuje, nie rozumiejąc. Zapowiada natomiast ojczulek synowi, że z niego „skórę zdejmie,“ skoro promocji nie dostanie.

Nadszedł koniec roku; promocji nie ma. Nie pomogło i „zdjęcie skóry.“ Poszedł ojciec do szkoły i dowiedział się, że kilkanaście razy uprzedzano go w dzienniczku o złej nauce i jeszcze gorszem sprawowaniu. Cóż robić! Został synalek w tej samej klasie, uczył się jeszcze gorzej, lecz nabrał specjalnej zdolności w podrabianiu stopni, o czem się ojciec dopiero z listownego zawiadomienia władzy szkolnej dowiedział. Znow była skóra w robocie, ale pociecha nie poszła do następnej klasy i szkołę musiała opuścić.

Zrozpaczony ojciec oddaje chłopca do szkoły realnej, znanej z rygoru w niej panującego. „Bijcie go, katujcie, byle się uczył i dobrze sprawował.“ Ofuknął się wprawdzie kierownik zakładu, że szkoła nie jest zakładem poprawczym, ale ucznia przyjął. I znow ojciec mimo woli nie może dawać wciąż oka na naukę; okazuje się wreszcie, że promocji nie będzie, rodzic nie czeka końca roku i oddaje syna do rzemiosła; tam, w terminie nie będzie go musiał pilnować.

A czyż nie brakuje i takich rodziców lub opiekunów, którzy oddają dziecko do jakiegobądź szkoły, aby się nieznosnika choć na pół dnia z domu pozbyć?

W tej chwili, gdy pedagogzy i ich zarządy obmy-

ślają środki usunięcia przeciążenia, i w tym celu np. znoszą niektóre egzaminy, gdy myślą o zniesieniu tak zw. poprawek powakacyjnych, gdy przestano zadawać roboty wakacyjne, aby strudzonemu dziecku dać wypoczynek zupełny i spokój w ciągu lata, wielu rodziców utyskuje, że to niedobre, bo dzieci się rozpróżniają i zapomną, czego się nauczyły. Są nawet tacy, którzy sami proszą, aby ich dziecko miało z czegoś poprawkę; pod jej obawą będzie się przynajmniej trochę uczyło—powiadają.

Smutny zaiste stan inteligencji rodziców, którzy nie potrafią zająć dziecka choć przez godzin parę codziennie!

Wiele jeszcze innych typów nierozważnego chowania przytoczyć by można; powyższe szkice malują objawy najczęściej spotykane, a stanowiące zaporę w wychowaniu i wykształceniu młodzieży, zaporę, o jaką najlepsze zabiegi pedagogów rozbić się muszą.

Do wielu przeszkód w rozwoju rzetelnej pedagogji, których tutaj poruszać niepodobna, należy też upowszechniona tyle *nauka dla stopnia*. Czyż to вина? Może to właśnie wynik dotychczasowego sposobu pisanja stopni za wszystko; faktem jest wszakże niewątpliwym, że większość ogromna jawnie lub skrycie uczy się dla stopnia, wszelkimi sposobami stara się nie tyle o objęcie czegoś myśla, zgłębienie i gruntowne zapamiętanie, ile o zdobycie „piątki,“ a skromni w wymaganiach choć „trójki.“ Omamienie nauczyciela podpowiadaniem lub „ściągnięciem“ z książki czy od kolegi uchodzi powszechnie za rodzaj szkolnej junakierji, okrywa chwałą sprytnego uczucia.

Gdy chodzi o zdanie egzaminu, o ukończenie szko-

ły, niewinne to oszustwo daje się łatwo zrozumieć i szkody nie przynosi. Natomiast jako fakt codzienny, szkodliwe jest wielce; pomyślmy tylko, iluby uczniów istotnie korzystało z nauki, gdybyśmy tolerowali jawnie choć tę uczynność koleżeńską, zwaną podpowiadaniem? Jest to niewątpliwie wytwór panujących stopni. Uczeń, wiedzący, że stopnia żadnego nie otrzyma, ani dozna szykany ze strony nauczyciela, nie zapierałby się niewiedomości lub niezrozumienia i zamiast powtarzać nieświadomie zasłyszane z boku wyrazy, do niego by się udał i wraz z nim lekcję powtórzył. To samo dotyczy wypracowań i zadań domowych ucznia, których większą część robią za niego korepetytorowie lub inni pomocnicy. I jaka ztąd korzyść?

Jakkolwiek się dzieje, nauka dla stopnia główną jest winą rodziców. Jeśli się zdarza niekiedy, że się naraża zdrowie dziecka dla otrzymania promocji, częściej jeszcze trafia się niezdrowa rywalizacja w stopniach, szkodliwa pod względem naukowym i moralnym. Rozsądny człowiek, jeżeli widzi, że dziecko się wysila lub co gorsza ucieka do różnych „ściągania”, przepisywania, a tembardziej schlebiania, przypodobania się nauczycielowi, korzystając z jego słabości, i to wszystko dla pozyskania lepszego stopnia, przedniejszego miejsca w klasie lub nagrody, powściągnie je, nawet skarci. Tymczasem ileż to rodziców pobudza ich ambicję, lub strachem zmusza do większych jeszcze usiłowań!

Ostatni ten objaw występuje rażąco zwłaszcza w szkołach żeńskich. Panienka przechodząca do wyższej klasy, lub kończąca pensję bez nagrody czy pochwały (choćby za roboty, pilność i t. p.), czuje się upo-

śledzoną w oczach innych. Sądząc z ilości nagród o stanie umysłowym dziewcząt naszych, możnaby się spodziewać mnóstwa znakomitości w literaturze, językoznawstwie, naukach, sztuce! W istocie zaś ambicji rodziców i uczennicy chodzi o chlubne świadectwo; znajomość francuszczyzny, często i niemczyzny bywa pożądana, historii, literatury i geografji przyda się nieco w życiu towarzyskiem; matematyka zaś, fizyka, przyroda — to balast, obciążający niepotrzebnie umysł niewieści! Rozwój tego umysłu, do czego najwięcej się owe nauki właśnie przyczyniają, potrzeba wiedzy to rzecz dla mnóstwa osób podrzędna...

Sporo jest jednostek inaczej myślących; dopóki jednak większość tak sądzi, przyznając się lub nie do swych „praktycznych“ zapatrywań, szkoła nie może sprostać swemu powołaniu.

Istotny postęp i pożytek społeczny wymaga dwóch warunków, trudnych do urzeczywistnienia: aby ogół i szkoła przezeń utrzymywana miały jednakowe dążności, oraz aby dom i szkoła szły z sobą ręka w rękę, korzystając wzajemnie ze swych rad i wskazówek.

Pedagog.

Nasz patron.

Każdy prąd myśli, każdy program życia ma swoich patronów, których naród znać i czcić powinien. Ma ich i program pracy społecznej. Do najzasłużeńszych należy Karol Marcinkowski (ur 1800, um. 1846 r.).

Wziął czynny udział w burzy 1830 — 1831 roku. Widział, co się działo w kraju, co się działo na emigracji. Patrzył, myślał i cierpiał! Cierpiał, bo nie działo się dobrze, bo nie działo się lepiej, — wciąż dużo grzechów starych trapiło społeczność, myśli nowej, myśli jasnej niepodobna było dopatrzeć, a i o uczucie głębokie, wolne od skaz egoizmu było trudno.

Gdy wrócił do rodzinnego Poznania, wołać począł głosem wielkim: pracy! pracy! Ta jedna nie zawiedzie, ta jedna, da zdrowie i siły, ta jedna trwać pozwoli i dobytek pomnoży, dobytek kulturalny, z którego płynie i prawo i moc do życia. Nie tylko nawoływał, ale sam przykład dawał, ale ciągnął ludzi, uczył, przekonywał, do pracy wprzęgał.

Mniej od wielu za życia robił hałasu, mniej po nim zostało rozgłosu, mniej dymu, ale zostały dzieła trwałe, które karmią pokolenia obecne i karmić będą przyszłe. Został przykład budujący, przekonywający, kto tylko go poznać zechce i potrafi głębiej pomyśleć. Z usiłowań Marcinkowskiego nie wyniknęła i wyniknąć nie mogła krzywda żadna, cierpienie żadne, niebezpieczeństwo żadne, ani dla jednostek ani dla ogółu. Bo myśl jego, bo usiłowanie jego były tem, co stanowi chleb powszedni dla społeczeństwa.

Korzystamy z tego, że w wychodzącym w Krakowie „Przełądzie Polskim” ukazał się życiorys Marcinkowskiego, skreślony

przez p. E. B., poznańczyka, z powodu setnej rocznicy jego urodzin, aby zaznajomić czytelników naszych z kolejami życia i zasługami wielkiego naszego patrona.

W chłodny dzień listopadowy 1846 r. dziwny orszak posuwał się wolno z Dąbrówki Ludomskiej ku Poznaniowi. Środkiem drogi kilku chłopów w granatowych sukmanach niosło ostrożnie trumnę dębową, ubraną kwiatami, przodem szło kilku księży, a po bokach i z tyłu cisnęła się gromada ludu wielkopolskiego: mężczyźni w surowem, uroczystem milczeniu, kobiety zawodziły głośno, dzieci popłakiwały z cicha na widok łez matczynych. Pochód zamykały wiejskie powozy, w nich kilka osób żałobnie ubranych. Mijali wsie, miasteczka. Wszędzie, choć nie święto było ani niedziela, zaprzestawano robót, mieszkańcy wybiegali na progi chałup i domostw z płaczem, narzekaniem, modlitwą — i kto mógł, szedł dalej za trumną.

Przemówiły dzwony z drewnianego kościołka i rozbrzmiały żalosnem echem dokoła. Tak jedna wieś niosła drugiej to posępne wołanie, aż cały pas ziemi poznańskiej rozjęczał się i rozżalił. Na widok trumny chłopci rzucali pługi i brony, klękali na roli z odkrytymi głowami i wzrokiem, z którego biła cześć i przerażenie, odprowadzali bolesną karawanę. Ona zaś rosła z każdą wiorstą, nabrzmiewała i zalewała drogę, jak wezbrana struga.

Coraz jaśniej robiło się przed trumną od śnieżnych koźmi i świec gorejących. Mdłe słońce listopadowe zaczynało chylić swoją bladą twarz do widnokręgu i już kościoły Poznania majaczyły w oddali, kiedy od strony miasta podniosła się czarna, szeroka fala i płynęła ku trumnie wolno, lecz uparcie. Niezadługo wyłonił się z niej las smukłych choągwi — jeszcze chwila, a zamigotał obłok kilkudziesięciu płam jasnych a świetnych i pokłonił się trumnie. Ciemna fala rozbiła się teraz na głowy kilkutysięcznej rzeszy, daleko wspanialszej, niż gromada w sukmanach za trumną. Szli panowie i strojne panie, przedstawiciele miasta, dostojnicy państwa i wojska w bogatych mundurach, zastępy młodzieży szkolnej, kupcy, żydzi, robotnicy, żołnierze, kongregacje

i cechy z godłami. W tym tłumie dwujęzycznym i dwuplennym przeważał żywioł polski. Rozlegały się słowa: „O Jezu, Jezu, już ten nieboraczek pewnie prosto do nieba poszedł!” — gdzieindziej: „Gniew Boski nad nami, wymierają najlepsi i najpotrzebniejsi.“ Tamten tylko kułakiem tzy otarł i westchnął: „Źle z nami!“

Tak szli razem, aż minąwszy bramy Poznania, stanęli na przedmieściu św. Wojciecha. Tu arcybiskup, w otoczeniu kapituły poznańskiej i całego duchowieństwa miejskiego, stanął przed trumną. Niosły ją kolejno na ramionach wszystkie stany, i wszystkie dzwony poznańskie śpiewały jej ostatnią kołysankę. Minęli ulicę Wroniecką, Stary Rynek, Wilhelmowską, św. Marcina i skręcili na cmentarz. Ksiądz polski pożegnał zmarłego imieniem bratniej ludności, ktoś po niemiecku powiedział kilka słów serdecznych, zaśpiewali *Salve Regina*, rozległ się wielki płacz i łoskot trumny spuszczonej do ciemnego dołu, potem szmer pacierzy i garści piasku rzucanych do grobu.

Pogrzeb był skończony. Uczestnicy rozeszli się pospiesznie, jakby się bali zajrzeć sobie nawzajem w oczy. Dziwna siła musiała być w tych zwłokach, że przyciągnęła do siebie najbardziej krańcowe żywioły w tej ciężkiej chwili r. 1846, w czasie rozgoryczenia i rozdwojenia, oburzenia i nienawiści. Zasługa i miłość były tu magnesem. Księstwo Poznańskie zapomniało na jeden dzień o wszystkich urazach, aby pochować swego pierwszego obywatela, doktora Karola Marcinkowskiego *), założyciela Bazaru, twórcę Towarzystwa Naukowej Pomocy.

Tłumy pogrzebowe zebrały się na przedmieściu św. Wojciecha, gdyż tam urodził się Marcinkowski w niewielkim, biednym domku, 23 czerwca 1800 r. Jego matka, rychło straciwszy męża, utrzymywała na przedmieściu małą piwiarnię i szynkownię, aby w ciężkim mozole wychować

*) O Marcinkowskim pisali ze współczesnych Jagielski i H. Cegielski. W r. 1891 wydał o nim obszerną i źródłową monografię dr. Zielewicz w Poznaniu.

pięcioro drobnych dzieci. W alkierzu przylegającym do gospody mały Karolek odrabiał zadania szkolne. Lata dziecięce ozłociło mu wspomnienie epoki Księstwa Warszawskiego. Jako sześciolatek widział napoleońskich żołnierzy w przedniej straży Davoust. Po trzyletnim pobycie w szkole reformackiej w Poznaniu, wstąpił dziesięcioletni chłopczyk do szkoły departamentowej, która istnieje po dziś dzień jako gimnazjum Marji Magdaleny. Przez cały czas siedmioletnich studjów był Marcinkowski wzorowym uczniem i w r. 1817 zdał egzamin dojrzałości. Legat jednego z obywateli uczynił chłopca właścicielem 1800 talarów. Można było z tem pójść na medycynę.

Następują czasy berlińskie, okres gorliwej pracy, opromienionej młodzieńczą swobodą i wesołością. Już w gimnazjum znany był młody uczeń z rozumu, wyjątkowej dobroci i nieskazitelnego charakteru, lgnęły więc do tej niepospolitej natury wszystkie dodatnie pierwiastki, co sprawiło, że Marcinkowski był otoczony całe życie najszczerzą przyjaźnią. Węzeł sympatji między nim a wybitniejszą młodzieżą szlachecką Księstwa, zadzierzgnięty już w szkole, tutaj silniej się zawiązał. Marcinkowski rej wodził wśród studentów Polaków. Że prądy, jakie w tym czasie przebiegały umysły całej polskiej młodzieży, i do Berlina dotarły, dowodzi ten fakt, że Marcinkowskiemu przerwało studja 14-miesięczne więzienie. Była to kara za stowarzyszenie akademickie „Polonja,” którego założycielem był nasz młodzieniec.

Po zdaniu egzaminów w r. 1823, Marcinkowski wrócił do Poznania i zamieszkał tam jako pierwszy lekarz Polak. Do tego czasu medycyną umiejętną trudnili się w Księstwie Niemcy, z pomocą krajowych cyrulików-partaczy. Marcinkowski odrazu zajął stanowisko wyjątkowe i odrębne, dzięki swej prawdziwej wiedzy i niezwykłemu duchowi poświęcenia dla cierpiącej ludzkości. Jako dziecko poznańskie znany był całemu Księstwu; szukano więc jego rady z zaufaniem i życzliwością. Przez kilka lat młody lekarz pracował przy szpitalu Sióstr Miłosierdzia bez określonego rządowego stanowiska, dopiero w r. 1828 otrzymał posadę lekarza zakładowego. Pensję całą oddawał jednakże na lekar

stwa dla biednych, jak zresztą każdy grosz, który mógł odjąć swoim własnym potrzebom. Poznań też już wtedy zaczyna go uważać za swego dobroczyńcę; podczas choroby modlą się za niego publicznie po kościołach, a razem z miastem obywatele zaczynają go wyróżniać i składać mu dowody uznania — niezwykajnego dla człowieka lat dwudziestu kilku.

W początku grudnia r. 1830 wyjechał do Warszawy. Po szeregu przygód znalazł się w kilka miesięcy w Kłajpedzie, gdzie zajął się ratowaniem chorych tak gorliwie a skutecznie, że magistrat podziękował mu uroczystym adresem i pierścieniem z inicjałem nazwiska. W jesieni r. 1831 widzimy Marcinkowskiego w Szkocji.

Po kilkumiesięcznym pobycie w Edynburgu i Londynie, gdzie się oddawał pracy nad udoskonaleniem się w zawodzie, przybywa do Paryża w sierpniu r. 1832. Studjuje tu pilnie anatomję, chirurgję, choroby umysłowe, pracuje po szpitalach i klinikach. W końcu r. 1833 dostaje za pracę o cholerye złoty medal zachęty od paryzkiej Akademji Nauk. Marcinkowski zamiast medalu wziął 1000 fr. jego wartości i złożył jako zapomogę dla studentów medycyny w kasie Towarzystwa Naukowej Pomocy. Czas wolny od pracy zawodowej poświęca Marcinkowski sprawom publicznym. Ze współczesnej korespondencji widać, że ceniono jego zdanie, zapraszając do udziału w każdej ważniejszej robocie. Przez pewien czas widzimy go w Towarzystwie Literackiem. Bolał go przecież wrzenia i męty tej gromady przebywających we Francji Polaków; nieraz skarży się w listach do generała Chłapowskiego na oszczerstwa, niesnaski i współzawodnictwa, jak nas to plami we własnych oczach i w obcych, naraża na pośmiewisko. Do Poznania wrócił w 1835 roku.

Z tą chwilą nadchodzi okres najpłodniejszej działalności w życiu Marcinkowskiego. W dziejach rozwoju Księstwa są to lata niezwykle bujne i ruchliwe. Obok Libelta, Jędrzeja Moraczewskiego, Potworowskiego i Macieja Mielżyńskiego, stał szereg ludzi czynu i dobrej woli, którym wydała się jedynym ratunkiem w obecnem położeniu zjednoczona praca nad krajem, jego oświatą i ekonomicznem wy-

zwoleniem. Z utęsknieniem wyglądali ci ludzie dowódcy i przyjęli Marcinkowskiego bez szemrania. W tych czasach Księstwo był to jeszcze kraj rdzennie i wyłącznie polski. Zasoby materialne tej dzielnicy nie były, obiektywnie rzecz biorąc, większe niż dzisiaj, ale były nasze i znajdowały się przeważnie w ręku obywateli, którzy otaczali Marcinkowskiego. Rządy Fryderyka Wilhelma IV zapewniły Księstwu od r. 1840 względną swobodę, bo dały możność oddychania, myślenia i rozwoju. Powstało kilka pism codziennych i tygodniowych, mogących się pochlubić jakąś treścią i sumieniem społecznym. Życie umysłowe krążyło szybszym biegiem. Libelt mówi i pisze, za nim Moraczewski, dr. Matceki, Trentowski, August Cieszkowski. Poznańczycy z Marcinkowskim na czele robią u rządu daremne starania o pozwolenie na założenie uniwersytetu i stałej polskiej sceny. Gdzie tylko dzieje się coś pożytecznego, tam, poszukawszy głębiej, znajdujemy Marcinkowskiego w pomyśle lub wykonaniu. Dwa dzieła zawdzięczają jemu głównie swoje istnienie: Bazar poznański i Towarzystwo Naukowej Pomocy dla młodzieży Księstwa Poznańskiego.

Roboty przedwstępne do założenia Spółki Bazarowej trwały od r. 1838 — 1842. Celem tego towarzystwa było wspieranie rolnictwa i handlu, a środków początkowo miał dostarczać dom, zwany jeszcze dzisiaj bazarem, wystawiony na rogu ulicy Nowej i alei Wilhelmskich. Górną część tego gmachu zajął hotel z obszerną salą, w dolnej mieściły się sklepy polskie. Marcinkowski chciał stworzyć rodzimy handel i przemysł, gdyż do tego czasu był jeden i drugi w rękach żydowskich lub niemieckich. Akt urzędowy Bazaru postanawia, że trzecia część dochodów z przedsiębiorstwa służyć będzie ekonomiczno-społecznym celom Spółki. W pierwszych latach istnienia Bazaru członkowie tak gorąco byli przejęci ideą Marcinkowskiego, że większość oddała swoje dywidendy, dosyć znaczne, na rzecz towarzystwa. Wypieszczonem marzeniem dr. Karola, które chciał urzeczywistnić z pomocą Spółki Bazarowej, było otworzenie w Poznaniu szkoły rolniczej. Ta intencja rozbiła się o brak wytrwałej oślarności u ogółu i zrozumienia potrzeb społeczeństwa,

a zaprawiała życie patryjoty niejedną goryczą. Do Dyrekcji pierwotnego Bazaru należeli: kanonik Brzeziński, Grabowski, Jaraczewski, Koczorowski, Łubiński, Marcinkowski, Maciej hr. Mielżyński, Mioduszewski, Gustaw Potworowski i Józef Szuldrzyński.

Spółka Bazarowa zmieniła się w ciągu lat na towarzystwo akcyjne z innemi celami na oku. Z dawnej instytucji pozostało obecnie tylko imię.

Ideąłem życiowym Marcinkowskiego było podniesienie narodu przez uspołecznienie jego niższych warstw. Dwie drogi biegą równolegle do tego celu: praca i oświata. Lekarz poznański znał dobrze ze swojej filantropijnej praktyki bezradność i wady naszej klasy ubogiej. W r. 1845 Marcinkowski organizuje „Towarzystwo ku wspieraniu ubogich i biednych w Poznaniu,“ z udziałem wszystkich stanów, narodowości i wyznań. Po jego śmierci myśl jego poszła w niepamięć, ale została mowa, którą Marcinkowski powiedział na walnem zebraniu. To jedna z najcenniejszych po nim pamiątek, bo zamyka część wszystkich pragnień tej żarliwej duszy. Marcinkowski wybiegał ponad współczesnych żywym odczuciem cierpień społecznych i głębokiem zrozumieniem środków kojących.

W roku poprzednim 1844 przedstawił Marcinkowski społeczeństwu drugą część swojego programu na walnem zebraniu Towarzystwa Naukowej Pomocy. „Wszystkie zabiegi nasze, dążące do ulepszeń socjalnych, płonną tylko będą igraszką, błędnem wyobraźni świeatełkiem, jeżeli swej podstawy nie oprą na rzetelnej dążności wykształcenia dusz naszych do samodzielnego samych siebie uczucia. I równość socjalna sama przez się się rodzi, skoro każdego do najwyższego szczybla pojęć umysłowych doprowadzisz.“

Lekarz-filantrop od lat wielu oddawał połowę swoich znacznych dochodów uczącej się młodzieży. Pomagali mu w tem działaniu znajomi i przyjaciele. Marcinkowski rozumiał, o ile taka czynność mogłaby stać się żywszą i skuteczniejszą, gdyby jej dano ścisłą a umiejętną organizację. W r. 1840 czytamy w *Tygodniku Literackim* „projekt do wspierania kształcącej się młodzieży Wielkopolski“, przypisywany

Libeltowi. Pismo obieгло całe Księstwo. Libelt popierał sprawę słowem i piórem, wszyscy rozumniejsi agitowali za nią i ostatecznym wynikiem tych usiłowań było potwierdzenie ustawy towarzystwa przez naczelnego prezesa Księstwa, hr. Arnima. W pierwszej dyrekcji zasiadają: Marcinkowski jako prezes, Gustaw Potworowski z Goli, Wojciech Lipski z Lewkowa, Karol Stablewski z Zalesia, Antoni Kraszewski z Tarkowa, Józef Szuldrzyński z Lubasza, prof. Popliński, X. kanonik Jabczyński, Jędrzej Moraczewski. Libelt pełnił urząd sekretarza, później zajął jego miejsce X. kanonik Brzeziński i przez 36 lat służył sprawie publicznej z niezmiernem oddaniem i gorliwością. Do dzisiaj nie zabrakło w Księstwie ludzi dobrej woli, gotowych do pracy w Pomocy Naukowej. Po Marcinkowskim pełnili urząd prezesa jego dwaj przyjaciele: Gustaw Potworowski i hr. Maciej Mielżyński. Pierwotny, skromny fundusz Towarzystwa, zebrany ze składek, rósł z każdym rokiem, zwłaszcza gdy na wyraźne żądanie arcybiskupa Dunina, całe duchowieństwo Księstwa przystąpiło do Pomocy Naukowej. Rząd w pierwszych latach patrzył na nią życzliwie, uwalniając od opłaty za listy i przesyłki, lecz rychło się ta sympatja popsula.

Możnaby myśleć, że społeczeństwo poznańskie uściele Marcinkowskiemu drogę kwiatami do samego grobu. Przez pewien czas istotnie wszyscy spoglądali z uwielbieniem na tę postać, mizerną i wychudłą, która się pochylała tak często nad chorymi i biedakami.

Lecz i Marcinkowskiego nie minęła zwykła korona cierniowa, którą świat tym kładzie na głowę, co go ukochali jak brata. Z Francji płynął już od kilku lat do Poznania podziemnym gankiem strumień innych zachceń i poglądów. Marcinkowskiego chwytala rozpacz na myśl, że zbrojna ruchawka całą jego pracę w zgliszcza obróci. Przekonywał, groził, zaklinał daremnie. Swą bezinteresownością właśnie i zacnością stawał się ten długoletni dyktator dla niejednego przykrym i wymagającym uzurpatorem, którego należało władzy pozbawić. Przyszło do tego, że prawie wszyscy od niego się odsunęli. Ostracyzm zawsze w modzie. Napiętnowali go imieniem zdrajcy, odsądzili od czei

i wiary. Że Marcinkowski cierpiał wtedy ponad ludzką miarę, to więcej jak pewne.

Od dawna zagnieżdżona gruźlica płucna poczęła się teraz szerzyć z przerażającą gwałtownością w osłabionym organizmie. W sierpniu r. 1846 chory wyjechał do Dąbrówki Ludomskiej, własności pp. Łakomickich. Koledzy i przyjaciele chcieli go ratować, lecz choroba była już wszechpotężną. Oddał ostatnie tchnienie 7 listopada 1846 r., na rękę Łakomickich i Macieja Mielżyńskiego. Dziedzic Dąbrówki uczcił pamięć zmarłego, wznosząc mu pomnik w ogrodzie. Od kilku lat Dąbrówka z pomnikiem Marcinkowskiego przeszła w ręce... Banku hakatystów.

Z po za grobu ten sam człowiek przemawia do żyjących w swoim testamencie. Trudno się łzom obronić wobec tej rzewnej prostoty i świętości. „Byłem całe życie nieprzyjazny okazałościom pogrzebowym, razi mnie dreszcz, kiedy myślę, że mogliby mnie z pompą pochować. Trumna ordynarna, czecheł, zwyczajne podkładne, koszta wywiezienia i zagrzebania, bez tego się obejść nie można, ale też żądam, żeby nic więcej nie było. Pochować ciało prosto w ziemię, gdzie kolej wypadnie, nie kłaść żadnego znaku na grobie. A jak tylko grosik się oszczędzi, rozdać między ubogich“. Dalej tłumaczy się, dlaczego, rozdając wszystko co zarabiał, nie zostawia po sobie majątku: „Mnie było miło dogodzić sobie natychmiast i patrzeć za życia na skutki mych usiłowań. I dobrze mi tak było“. Odpowiada jeszcze na pytanie, które ludzie zadawać sobie będą po jego śmierci: „Dlaczego ten człowiek jak zapamiętały pracował do upadłego, nie zważając na żadne udzielane mu rady?“ „To tylko ten odgadnie i zrozumie, kto kiedykolwiek w swojej duszy żywo uczuł, co to jest pełnić powinność. Tego żądła, tej niespokojności inaczej poskromić nie mogłem, jak ciągle zajmując się pracą. Mnie jeść i spać, choćbym był najbardziej zmęczony, nie prędzej smakowało, ażem codzienną pracę ukończył“.

Dziwny czar rzucają na czytelnika te kartki, z których wieje cudna piękność i poezja życia. Patrjota poznański należał do rzadkiego typu ludzi, którzy wychodzą z zapasów

życiowych z duszą tak czystą, białą i nieskalaną, jak szata chrześcijańskich katechumenów.

Wśród wspomnień, żyjących dotąd w tradycji kilku rodzin wielkopolskich, znajduje się jedno, świadczące, że była chwila, w której młode serce zadrgało uczuciem ziemskim i egoistycznym, choć bardzo uprawnionem. Mocą idealnego doboru dusz ludzkich, lekarz poznański pokochał jedną z bardzo szlachetnych naszych kobiet ówczesnych, pannę Emilję Szczaniecką. Później uczucie straciło swą żywotność i energję, zamieniło się w spokojną przyjaźń.

Marcinkowski, mimo trudów i zawodów ostatnich lat, obrał lepszą część niż ta, co była gwiazdą polarną jego młodych lat, nie patrzył, jak panna Szczaniecka, na coraz wstrętniejszą gospodarkę pruską i na coraz większe ciosy polskiego żywiołu. Przez Poznań wionęła biało-czarną chustą nowoczesna morowa dziewczyna, a „gdzie przeszły stopy takiego widziadła“, „niejedno więdnę i usycha, wszystko się zmienia.

O Marcinkowskim mówią teraz w Księstwie nie wiele chyba wśród tak rzadkich okoliczności, jak stuletnia rocznica urodzin wielkiego obywatela, obchodzona parę miesięcy temu. Dla ogółu zresztą postać jego zawisała w mgle wspomnienia, bardzo powiewnej i nieuchwytniej; objaw tem zwłaszcza dziwniejszy, że społeczeństwo wielkopolskie codziennie ogląda wspaniałą po nim spuściznę, przecudny kwiat jego życia: Naukową Pomoc imienia Karola Marcinkowskiego.

Genealogja byle jakiego „wirtuoza“ zajmuje nas więcej, niż dzieje człowieka, co stworzył dzieło tak żywotne i silne, że od niego zawisała w znacznej mierze cała w Poznańskim egzystencja umysłowa i narodowa.

Jednakże dla sprawiedliwości należy przyznać, że nasze społeczeństwo, zapominając o ojcu, otacza pieczołowitością i staraniem umiłowane dziecko Marcinkowskiego *).

*) Obecny skład Dyrekcji Towarzystwa Pomocy Naukowej stanowią: Hr. Józef Mielżyński prezes, X. kanonik Echaust, zastępca prezesa, radca dr. Zielewicz, sekretarz, poseł Władysław Jerzykiewicz, podskarbi, poseł szambelan Cegielski.

płyną obficie ze wszystkich stron i wszystkich sfer Księstwa, nawet rzemieślniczych i włościańskich; prawie co rok fundusze Towarzystwa pomnażają się znaczniejszym legatem, gdyż ustalona jest opinia wśród społeczeństwa, że Pomoc Naukowa to kamień węgielny, na którym budować trzeba, że więc każdy, co ten fundament umacnia, krajowi rzetelną usługę oddaje. W r. 1899 ogólna suma stypendjów wynosiła 60,000 marek. Zapomogi udzielane są uczniom gimnazjalnym, studentom uniwersytetów, politechnik i wyższych szkół zawodowych.

Pomoc Naukowa jest obecnie instytucją społeczną, do której zwraca się każdy potrzebujący bez fałszywych wstydów i ambicji. Czerpią z niej synowie wszystkich klas od najniższych do najwyższych. Niejeden chłopiec z pierwszych rodzin Księstwa zostaje stypendystą Towarzystwa, z chwilą, gdy na ziemi jego pradziadów rozbija swój namiot osadnik niemiecki. Ból bólem zostanie! dobrze jednak, że nas stać jeszcze na jakieś lekarstwo. Ten lekarz-apostoł nie wiedział, gdy od nas odchodził, jak bardzo potrzebować będziemy jego kropli na wzmocnienie serc i mózgów. Nasi bracia z państw innych mówią podobno, że zgermanizowane Księstwo robi na nich wrażenie bardzo przykre i przygnębiające. Być może. Zarzucają nam też przeróżne wady, jedne gorsze od drugich. I to prawda. Nie dosyć jednakże popasać gdzieś w drodze do wód niemieckich, przejechać się wzdłuż i wszerz po kraju, nie dosyć śledzić życie danego społeczeństwa, trzymając rękę na jego pulsie — przez zwoje gazet i wątpliwych korespondencji—aby zawyrokować: „Otoacy są Poznańczycy!“ Na to trzeba żyć z nami czas dłuższy, nie jako gość przelotny, wśród takich okoliczności, w jakich my żyjemy. Każdy nieuprzedzony przyzna wtenczas, że Poznańczycy pracują w warunkach, bodaj nie najtrudniejszych.

ski, X. kanonik dr Dziedziński, radca sprawiedliwości J. Głębocki, poseł Wawrzyniak, radca dr. Koehler, hr. Mieczysław Kwilecki, hr. J. Mielżyński, X. kanonik Pędziński, X. prałat Woliński, dr. St. Jerzykowski, wice-marszałek hr. Teodor Żółtowski.

Mieszkańcy odległych prowincji niemieckich kręcą głowami, konstatując z niedowierzaniem i zdziwieniem, że na wschodzie monarchji pruskiej *wird noch polnisch gesprochen*. Dla innych Polaków byłoby to może obelgą, w każdym razie nie wielką satysfakcją. Dla nas te słowa zawierają komplement, którego lubimy słuchać. Że na niego jeszcze zasługujemy, zawdzięczamy to w znacznej mierze Naukowej Pomocy. Ona szukając źródeł w głębszych, dotąd nietkniętych podkładach, zasila co kilka lat naszą dzielnicę świeżym, ożywczym strumieniem. Jeśli mimo to pole naszego umysłowego i społecznego działania nie porasta zbyt bujnem kwieciem, winą już jest naszej srogiej aury prusko-poznańskiej: posucha i mrozy na przemian. Naukowa Pomoc wydała już dużo ludzi nauki i czynu. Daj Boże oglądać czempredzej spadkobiercę idei Marcinkowskiego, bo nam go bardzo potrzeba.

Kromka chleba.

NOWELA

Franciszka Coppée.

Młody książę de Hardimont bawił u wód w Aix dla poprawienia zdrowia swego... wyścigowca, który od czasu przeziębienia w Derby stał się dychawicznym. Siedział właśnie przy śniadaniu, gdy, rzuciwszy okiem na gazetę, wyczytał smutną nowinę — klęskę pod Reichshoffen.

— Znowu pobici!...

Książę zasępił się mocno, co jednakże nie przeszkodziło mu wychylić do dna wykwintnego Chartreuse. Nie zaniebdał też złożyć wedle zwyczaju serwetki, poczem głosem spokojnym kazał służącemu spakować swe rzeczy do podróży. W dwie godziny później znalazł się w wagonie paryskiego ekspresa, i niebawem stanął w biurze poborowem jako ochotnik do pułku linjowego.

Choć się strawi kwiat życia w stajniach wyścigowych, choć się wyczerpie siły i umysł przytępi denerwującym sportem, bywają jednak chwile, gdy niepodobna zapomnieć, że Henryk de Hardimont zginął z poświęcenia w czasie zarazy w Tunisie, że Jan de Hardimont dowodził w Wielkiej Armji, że Franciszek de Hardimont padł w ataku na Fontenoi.

Młody arystokrata, na wieść o porażce rodaków na własnej ziemi, uczuł, że krew przodków nie zastygła w nim jeszcze. Wieść ta obudziła w nim wyrzut straszny, wezwała do opamiętania, i oto na początku listopada 1870 roku potomek owych Hardimontów wstępuje do Paryża jako strzelec trzeciego bataljonu, a wkrótce potem staje na straży przed redutą Hautes Bruyères.

Miejsce to było nad wyraz smutne i ponure. Nagie drzewa sterczały przy drodze, obok pełno śladów koni i wozów, błotem zalanych, w pobliżu kilka domostw, pomieszczeń dla chorych, a tuż przy owej drodze stara karczma opusz-



czona. W dodatku, podziurawione od kul płoty, przetrącone drzewa, kora, świecąca białymi bliznami, świadczyły o niedawnej tu walce. Widok zaś domu przejmował dreszczem nawet odważnego. Dach strzaskany pociskiem armatnim, ściany krwią zbryzgane, oberwane i podeptane wino złowrogo odbijały od reklam i szyldów: „Gabinety,“ „Absynt,“ „Vermouth,“ „Wino po 60 centymów za litr“... Po nad ten brzydkie niebo zimowe, chmury ciężkie, powietrze duszne, rzekłbyś, wszystko tchnące złością i nienawiścią.

Przed drzwiami domostwa stał de Hardimont z karabinem niedbale przerzuconym przez plecy, rękoma w tył za-

rożonemi i w czapce nasuniętej na oczy. Stał i patrzył bawczo na wzgórze, z kąd co chwila dochodziły odgłosy strzałów armatnich, i obłoczki dymu przedzierały mglistą atmosferę.

Nareszcie uczuł, że jest głodny. Wyjął z tornistra duży kawał chleba, a nie mając czem przekroić, próbował gryźć. Była to cierpka próba dla zębów panicyzka; przełknąwszy z trudem parę kąsków, stracił ochotę do jedzenia.

Doprawdy — pomyślał — twarda to służba ta żołnierka. I stanęły mu w myśli owe „skromne“ śniadanka, gdy po przejeździe się i przepiciu nocy nazajutrz żądał tylko jaj ze szparagami, małego kotlecika, popijając dla strawności buteleczką Leoville'a. „Przegryzało się czasem chlebem, ale takiego chleba, dalibóg, nawet z głodu jeść niepodobna.“

I rzucił w błoto swą kromkę żołnierską.

* * *

W tej chwili człowiek jakiś wyszedł z chaty, schylił się, podjął chleb i otarłszy rękawem, począł zajadać z apetytem.

Henryk de Hardimont zawstydził się swego czynu i z uczuciem litości przypatrywał się biedakowi. Wysoki i przygarbiony, z brodą i czupryną zaniedbaną, wejrzeniem gorączkowem, wyglądał na rekonwalescenta, wypuszczonego ze szpitala; wynędzniały był tak, iż łopatki sterczały wyraźnie pod płaszczem łatanym.

— Głodnyś, kolego? — zapytał, zbliżając się do nędzarza.

— Jak widzisz, — mruknął, nie przerywając jedzenia.

— Wybacz, przyjacielu! Gdybym wiedział, nie cisnąłbym chleba.

— Nie szkodzi! Nie jestem wybredny.

— Zawsze wyrzucam sobie, że źle zrobił; nie chcę, abyś miał o mnie złe wyobrażenie. Dalibóg, mam w torbie trochę koniaku; napijemy się, dobrze?

Zbiedzony wojak spojrzał wdzięcznie, wyciągnął rękę do butelki i łyknął porządnie raz i drugi.

— Nazywasz się?... — spytał.

— Hardimont,—rzekł książę, wymijając swój tytuł i przydomek. — A ty?

— Jan Wiktor... Właśnie powracam do oddziału; wypuszczono mię ze szpitala. Zostałem raniony pod redutą Châtillon. Ah, dobrze było w lazarecie, dawano nam rosół z koniny. To jednak krótko trwało; rana moja była lekka, zagoiła się, i major wypisał mię ztamtąd. Trzeba znów przymierać głodem. Wierz lub nie wierz, alem ja całe życie był głodny.

Wyraz ten był okropny. I panicz, który dopiero co żałował kuchni stołecznej „Café Anglais,” stał w osłupieniu przed swym towarzyszem broni. Ten uśmiechnął się gorzko, ukazując zęby białe, wielkie, sterczące, smutny kontrast z chudością i ziemistą cerą twarzy.

— Chodź pan, — rzekł żołnierz, przestając tykać nieznanego, w którym odgadł możnego i szczęśliwszego. — Warto się rozgrzać na tę brzydką pogodę. Przejdźmy się; opowiem panu rzeczy, o jakich pan pewnie nie słyszałeś.

— Na imię mi Jan Wiktor, nazwiska nie mam; jestem podrzutkiem, a jedynie miłe wspomnienie dzieciństwa mam z przytułku. Mielśmy tam pościel czystą i bieliznę; bawiliśmy się w ogrodzie, wśród wielkich drzew. Dobra siostra, młoda a zawsze mizerna, blada jak воск—zmarła biedaczka na suchoty—lubiła mię więcej od innych. I ja wołałem z nią się przechadzać, niż bawić się z dziećmi; czuję dotąd jej rękę gorącą na mem czole. W dwunastym roku życia, po



pierwszej komunji, skończyło się to wszystko; oddano mię na naukę do wyplatacza krzeseł na przedmieściu Ś. Jakóba.

— Żadne rzemiosło zarobić nie da na życie; dowodem, że wkrótce mój majster nie mógł dostać innych uczniów, jak tylko dzieci z przytułku dla niewidomych. Tam też znalazłem głodu po raz pierwszy. Majster i majstrowa byli skąpi okropnie. Żywiono nas suchym chlebem, wydzielając po kromce, reszta leżała pod kluczami; wieczorem, przy kolacji, majstrowa nalewając zupe, wzdychała za każdą łyżką, a sarkała srodze, gdy ktoś zapaścił „żórawia“ do wazy. Moi współtowarzysze, niewidomi, byli szczęśliwi; nie dostawali wprawdzie więcej odemnie, ale nie widzieli złowrogich spojrzeń matrony, gdy podawała jadło. Ja zaś, na nieszczęście, miałem apetyt wilczy; czyż to moja wina?

— Uczyłem się tam przez trzy lata. Trzy lata ciągłego głodu! Każdy posiłdzie to rzemiosło po miesiącu, ale zarząd się w to nie wdaje i nie wie, jak wyzyskują pracę dzieci. I czy pana teraz dziwi, żem podjął chleb z błota? Wszak to przyzwyczajenie; nabierałem się dosyć skórek po śmietnikach, a skoro ich ugryźć nie mogłem, moczyłem przez noc w miednicy. Bywały wprawdzie i kaski łakome, porzucone przez żaków szkolnych kawałki chleba, czasami nawet z masłem; odbywało się po nie wyprawę. A potem, jak nauka się „skończyła“ i poszedłem w świat, znów głód cierpiałem, bo wyplataniem nie mogłem nakarmić swego żołądka.

— Próbowiałem innych zajęć. Posługiwałem mularzom, byłem parobkiem w składzie, froterem i Bóg wie, czem jeszcze; często służby brakowało, a jadła nigdy nie miałem pod dostatkiem. Ogarniała mię nieraz oskoma, gdym przechodził koło piekarni. Szczęściem, w największej nędzy miałem zawsze w pamięci ową dobrą siostrę opiekunkę; w chwili, gdym patrzył na chleb cudzy, czułem jej ciepłą rękę na czole... I nie sięgałem poń nigdy. Nareszcie, w ośmnastym roku zaciągnąłem się do szeregów; żołnierz ma dosyć jadła, wiadomo to panu. I oto zaledwiem zaczął służyć — oblężenie, głód, choroba!

— Nie kłamałem więc, mówiąc, żem zawsze, całe życie był głodny.

Książę słuchał w milczeniu. W tej rzadkiej chwili uczuł, że ma serce... Skarga biedaka, żołnierza, którego mundur czynił jego towarzyszem, jego słowa proste a wymowne, postać godna litości, poruszyły go mocno. „Dandy“ stracił zwykłą flegmę, i gdyby nie wiatr suchy, ktoś byłby świadkiem łez jego.

— Janie Wiktorze! Jeżeli przeżyjemy tę wojnę, zobaczymy się jeszcze niewątpliwie, i mam nadzieję, że ci będę pomocnym. Tymczasem zechciej się ze mną dzielić chlebem żołnierskim, którego racja jest dla mnie i tak za duża.

Serdeczny uścisk dłoni był mu odpowiedzią.

Noc zapadała; weszli więc do chaty, gdzie spało kilkunastu żołnierzy, i strudzeni czuwaniem, rzucili się na słomiane posłanie.

Około północy obudził się Jan Wiktor. Wiatr spędził chmury, i jasny promień księżyca padł na twarz śpiącego Hardimonta. Przejęty jego dobrocią, żołnierz patrzył z lubością na towarzysza, którego delikatne rysy i piękna głowa o bujnych, jasnych kędziorach, przypominały śpiącego Endymiona.

W tem drzwi skrzypnęły i wszedł sierżant, wzywając pięciu ludzi do zmiany warty. Książę należał do liczby wyznaczonych; spał jednak twardo i wołania nie słyszał.

— Hardimont, wstawaj!—krzyknął podoficer.

— Jeżeli pan pozwolisz, ja go zastąpię,—rzekł Jan Wiktor,—powstając.—Śpi tak smacznie, jest znużony.

— Jak ci się podoba.

Po wyjściu warty chrapanie znów rozległo się w izbie.

Niedługo jednak trwał sen żołnierzy. Huk donośny, potem drugi, trzeci, cały szereg wystrzałów tuż w pobliżu poruszył wszystkich. Zerwali się, pochwycili strzelby i chyłkiem wymknęli się ze starej karczmy.

— Któraż to godzina?—spytał książę.—Miałem trzymać wartę tej nocy.

Odezwał się głos jakiś:

— Jan Wiktor zastąpił pana na posterunku.

W tej chwili nadbiegł żołnierz zadyszany.

— Co się stało? — pytano zewsząd.

— Napad Prusaków... jest ich dużo... cofajmy się do reduty.

- A towarzysze z posterunków?
- Uciekają też, brak tylko jednego.
- Jakto, kogóż?
- Jana Wiktora. Kula strzaskała mu czaszkę, padł na posterunku, jak rażony.

* * *

Nocy zimowej, około drugiej godziny nad ranem, ksiązę de Hardimont wyszedł wraz z przyjacielem, hr. de Saulnes, z klubu, gdzie przegrał kilkaset luidorów.

— Możebyśmy się przeszli, Andrzej; nabawiłem się bólu głowy tego wieczora, pragnę świeżego powietrza.

— Owszem, jakkolwiek chodniki tutaj niekoniecznie są dobre, a oświetlenie niezbyt rzęsiście.

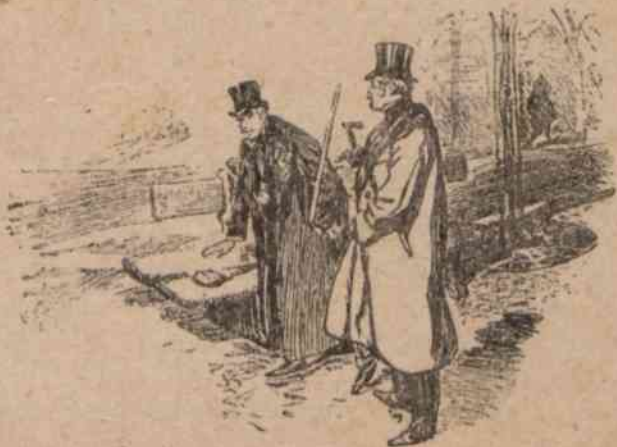
Odesłali karety i udali się pieszo w stronę rzeki. Idąc bulwarem, de Hardimont potracił nogą jakiś przedmiot, który odleciał parę kroków. Był to kawałek chleba. Ksiązę podniósł chleb, otarł go z błota chustką i położył na ławce, w świetle latarni gazowej.

Hrabia de Saulnes patrzył zdumiony, wreszcie parsknął śmiechem.

— Co pan robisz? Czyś oszalał?

— Nie śmiej się, kochany hrabio. Czynię to na wspomnienie człowieka, który umarł za mnie.

W głosie jego czuć było dziwne wzruszenie...



Szerokie projekty.

I. Kolej środkowo-azjatycka.

Budowa kolei syberyjskiej jeszcze nie dobiegła końca, a już nie tylko w prasie i w kołach wielkich kapitalistów przedsiębiorców, lecz i w sferach decydujących roi się wiele projektów. Kolej syberyjska pochłaniała i jeszcze pochłania wszystkie tak zwane „wolne zasoby“ skarbu, wszystkie jego oszczędności, wszystkie przewyżki dochodów nad wydatkami.

Niezadługo jednak, po dokonaniu tego dzieła, przyjdzie kolej na inne, przedewszystkiem zaś na przedsięwzięcia, mające na celu zbliżenie bogatego i dalekiego Wschodu, i otwarcie doń szerokich wrót przez Rosję dla całej Europy.

Chcemy więc zapoznać czytelników z ważniejszymi z tych projektów, nietylko dla tego, że są to rzeczy same przez się interesujące, ale i ze względu, że urzeczywistnienie niektórych z tych projektów nie będzie obojętne i dla naszego kraju. Obecnie jest rozpatrywana w sferach właściwych kwestja połączenia kolei środkowo-azjatyckiej z ogólną siecią kolejową Cesarstwa, a zatem utworzenia nieprzerwanej komunikacji kolejowej między Azją Środkową i całą Europą. Istnieją dwa projekty takiego połączenia: według jednego, punktem wyjścia sieci kolejowej Cesarstwa ma być

Orenburg, a punktem zetknięcia z koleją azjatycką — Taszkent; według drugiego zaś—Aleksandrow-Gaj (naprzeciw Saratowa, na wschodnim brzegu Wołgi) i Czardżuj, stacja kolei azjatyckiej i miasto nad rzeką Amu-Darją. Delegowane w zeszłym roku specjalne komisje do zbadania obydwóch kierunków ukończyły swe prace. Obydwa kierunki mają gorących stronników zarówno w prasie, jak w sferach handlowych i przemysłowych. Rozwiązanie tego sporu ma niebawem nastąpić, gdyż chcieliby przystąpić do budowy tej kolei bezzwłocznie, jeszcze na wiosnę r. p.

Zbytecznem byłoby mówić o politycznem i wojskowem znaczeniu tej kolei. Napomniemy tylko, że od Kuszki (końcowy południowy punkt kolei środkowo-azjatyckiej), do Kwetty (najbliższy punkt na sieci kolejowej Indji-Wschodnich), jest tylko 600 wiorst. Z zbudowaniem więc kolei Kuszko-Kwetta utworzyłoby się nieprzerwane połączenie kolejowe Indji z Europą. Jakkolwiek obecnie, ze względu na teraźniejsze, nieufne, a nawet dość otwarcie nieprzyjazne stosunki między Rosją i Anglią, połączenie Kuszki z Kwettą musi pozostać tymczasem w krainie marzeń, jednakże kiedyś musi to nastąpić; trzeba się więc liczyć z tą perspektywą przy wyborze kierunku kolei, mającej połączyć Azję Środkową z Cesarstwem, a to tembardziej, że zaprojektowana przez Niemcy kolej: Konstantynopol-Bagdad-Bassora, będzie konkurentem kolei, łączących Rosję z Indjami Wsch. Lecz w tego rodzaju walce konkurencyjnej decyduje krótkość drogi i bezpośrednio zależna od niej szybkość przejazdu i taniość transportu. Gdyby ten wzgląd uznano za decydujący, w takim razie wypadłoby oddać pierwszeństwo kierunkowi Aleksandrow-Gaj do Czardżuja, bo odległość od Calais we Francji do Kwetty w Indjach wynosi:

Według niemieckiego projektu, przez Konstantynopol i Mezopotamię	7,017 wiorst
--	--------------

Według rosyjskich projektów:

przez Aleksandrow-Gaj i Czardżuj	6,642 "
" Orenburg i Taszkent	7,825 "

A więc droga przez Aleksandrow-Gaj jest o 375 wiorst krótsza od niemieckiej, na której nadto szybkość komunika-

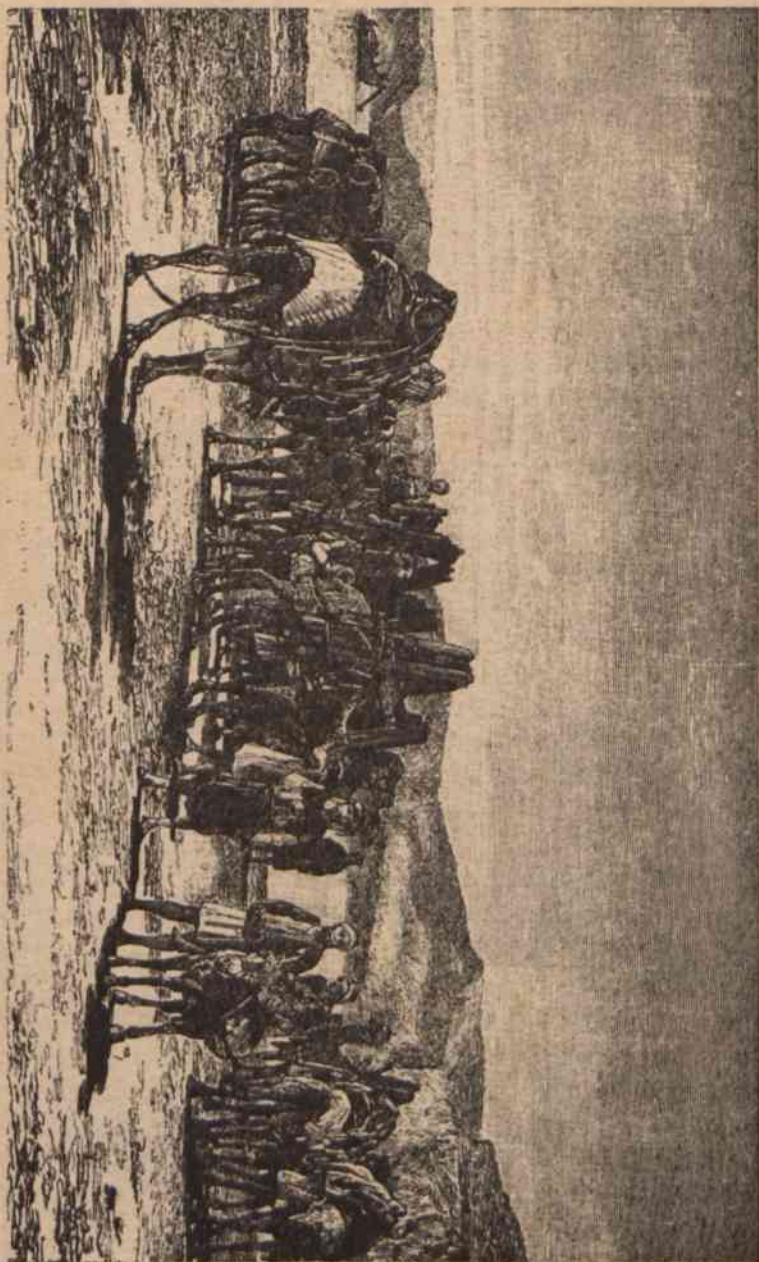
cji będzie zmniejszona wskutek dwukrotnego przeładowania w przeprawie przez Bosfor; kierunek zaś przez Orenburg-Taszkent jest dłuższy o 808 wiorst od niemieckiego i o 1183 od drogi przez Aleksandrow-Gaj.

Lecz i w granicach państwa, kierunek przez Orenburg jest dłuższy od kierunku na Aleksandrow-Gaj: dla Moskwy o 1073 wiorsty, dla Warszawy o 1178 wiorst. Wskazane powyżej różnice w odległościach dotkliwie odbiłyby się na kosztach przewozu i na wydatkach na zaopatrzenie kolei we wszystko, co potrzeba; na sam tabor (lokomotywy i wagony) dla kolei przez Orenburg wypadłoby wydać o 17 milionów rubli więcej, niż przy kierunku na Aleksandrow-Gaj. Linja więc przez Orenburg okazuje się kosztowniejszą i znacznie mniej korzystną dla tranzytu i handlu nawet przy najkrótszym jej kierunku, projektowanym przez komisję.

W projekcie tym dla skrócenia drogi pominięto nawet ważniejsze miasta, któreby wypadły o kilkadziesiąt lub kilkaset wiorst od nowej kolei. Taki np. Taszkent, najgłówniejszy punkt Turkestanu, znalazłby się o 49 wiorst od stacji kolejowej.

Na linii Aleksandro-Gajskiej, w okolicach m. Gurjewa, znaleziono obfite źródła nafty, prawdopodobnie nieustępujące bakińskim. Miałyby więc ztąd kolej nietylko znaczną ilość ładunków, lecz i tani opał z odpadków naftowych. Tyle tylko można powiedzieć na korzyść tej linii; na całej bowiem prawie długości przeszłaby ona przez kraj bezludny, przez stepy piaszczyste, pozbawione wody, a ztąd na wieki jałowe. Przeciwnie, linja Orenburska przecięłaby kraj daleko więcej żyzny, zaludniony i połączyłaby najbogatsze i najprodukcyjniejsze prowincje środkowej Azji (Fergan, Bucharę i t. d.); najważniejszy dla Cesarstwa i Królestwa produkt Azji Środkowej, bawełnę dostarczają właśnie Fergan i Buchara. Dla tak zwanego Stepu Głodowego, gdzie dokonywają się obecnie ogromne roboty irygacyjne, które z czasem przetworzą go w kraj równie produkcyjny, jak pomienione prowincje, kierunek orenburski będzie bez porównania korzystniejszy.

Któryż z tych dwóch kierunków jest bardziej pożądanym dla naszego kraju? Sądzimy, że orenburski, bo na



Karawana w Azji Środkowej.

korzyści z tranzytu Indo-Europejskiego wypadnie chyba czekać bardzo długo, a bawełny tamecznej nasze fabryki zużywają za wiele milionów rocznie. Bardziej nas obchodzi dogodniejsze połączenie z Ferganem, Bucharą i Stepem Głódowym, niż z Kuską, na granicy zupełnie obojętnego dla nas Afganistanu. Przytem rozszerzenie uprawy bawełny w Azji Środkowej jest obecnie jaknajściślej zależne od urodzajów i cen pszenicy w tych krajach, bo dowóz zboża z Cesarstwa wypada za drogo, musi więc tamtejsza ludność żywić się własną produkcją. Połączenie zaś kolejowe z żyznemi prowincjami nad Wołgą musi wywołać w Azji zmniejszenie uprawy pszenicy, którą zastąpi uprawa bawełny, z czego skorzysta nietylko nasz przemysł, lecz i rolnictwo, bo zasypujące nas swoją mąką i zbożem gubernje nadwołżańskie znajdą dla tych produktów inne, wcale znaczne rynki na wschodzie. Tymczasem wszelkie transporty idą znaczną część drogi karawaną, na grzbiecie wielbłądów.

Nie ulega wątpliwości, że połączenie kolejowe z Azją środkową odbije się wyraźnie nietylko na naszym handlu i przemyśle, ale pośrednio i na rolnictwie.

II. Koleje uzupełniające.

Dość rzucić okiem na sieć kolei żelaznych jakiegobądź państwa, aby się przekonać, że budowane one były bynajmniej nie według jakiegoś z góry obmyślonego planu, lecz dorywczo, zależnie od różnych względów i okoliczności. Względy strategiczne i większe uwzględnienie potrzeb handlu z zagranicą (importu i eksportu), niż wewnętrznego, wreszcie wpływ dawnego, koncesyjnego systematu budowy kolei żelaznych, przez towarzystwa akcyjne, a raczej przez bogatych i wpływowych przedsiębiorców prywatnych, których cele dobra ogólnego nie bardzo obchodziły, wszystko to miało ten skutek, że właśnie potrzeby handlu wewnętrznego w wielu wypadkach zostały niezaspokojone w spo-

sób odpowiedni. Te organiczne wady sieci kolejowej stają się jeszcze bardziej oczywiste, gdy przy każdej z kolei, chociażby tylko magistralnych, oznaczymy rok ich otwarcia dla ruchu. Pokazuje się, że przedewszystkiem zbudowano koleje, służące do wywozu (przedewszystkiem do portów morskich) i kolej warszawsko-petersburską, czysto strategiczną, zaniedbującą prawie zupełnie handel wewnętrzny. To samo da się powiedzieć i o kolejach nowszych, jak nadnarwiańskiej i różnych liniach łącznych.

Do ważnych i pożądanых kolei, które jakoś nie mogą się doczekać wejścia do projektów bieżących, należałaby linja ku Multanom, posiadającym już oddawna kolej przez całą długość z północy na południe, aż do Gałacu, z jego portem na Dunaju, dostępnym dla okrętów i statków handlowych. Kierunek ten posiada następujące, ważne zalety: Po pierwsze, kolej ta skróciłaby o 100 wiorst połączenie kolejowe Bałtyku z morzem Czarnem (o którem mowa w dal-szym artykule). Powtóre, skróciłaby połączenie Królestwa i całego Zachodu państwa z półwyspem Bałkańskim co najmniej o wiorst 300, gdyż obecnie trzeba zbaczać z drogi prostej w różnych kierunkach (ze Zdołbunowa przez Kozia-tyn, Żmerynkę, Birzułę, Rozdzielną, Bendery i Kiszyniew). Dalej kolej umożliwiła by zbywanie bogactw drzewnych Po-lesia do Rumunii, Turcji i t. d., i skróciłaby znacznie drogę wywozu z Wołynia i Podola, przez morze Czarne. Nakoniec przecięłaby ona te okolice w kierunku z północy na połu-dnie i połączyłaby z siecią kolejową Kamieniec - Podolski. Prawda, że na kolei tej, 300 wiorst długiej, trzeba zbudować dwa mosty, przez Dniestr i Prut, lecz w górnych, wązkich jesz-cze częściach tych rzek, co niebyłoby zbyt kosztowne. Na-leży się zapewne spodziewać, że budowa tej pożądaney kolei jest tylko kwestją czasu. Gdyby trwał system koncesyjny, budowa tego koniecznego uzupełnienia naszej sieci kolejowej nie dałaby tak długo czekać na siebie.

III. Kanał południowy.

(Połączenie morza Czarnego z Kaspijskiem).

Znaczenie morza jako najdogodniejszego środka komunikacji, oraz jego wpływ klimatyczny nie od dziś są znane. To też daje się słyszeć coraz więcej głosów o potrzebie połączenia morza Czarnego z Kaspijskiem. Jeden z najbardziej kompetentnych badaczy, wytrawny znawca krajów nadkaspjskich i środkowo-azjatyckich, M. Weniukow, tak się odzywa w tej sprawie:

„Wody Wołgi, Dniepru, Buga, Dniestru, Dunaju, Kizyl-Irmaka, Czoroka, Rionu, Inguru i Kubani, muszą kiedyś popłynąć przez morza, Czarne i Azowskie, oraz dolinę Manyczu do m. Kaspijskiego i znacznie je rozszerzyć. Będzie to największym historycznym czynem narodu rosyjskiego; nie ma wyrachowania odkładać nadal wykonanie tej wspaniałej i dobroczynnej pracy, chociaż by ze względu na coraz częstsze posuchy, nieurodzaże i głody w południowo-wschodnich częściach Rosji Europejskiej. Poziom morza Kaspijskiego jest niższy od Czarnego o stóp 85; przeprowadzenie więc odpowiedniego kanału jest rzeczą zupełnie możliwą, chociaż, ma się rozumieć, będzie wymagało olbrzymiej pracy i nakładów. Mapy hydrometryczne i pomiary niwelacyjne miejscowości, otaczających morze Kaspijskie z północo-zachodu, północy i wschodu, wskazują, że jeżeli poziom jego podniesie się tylko o stóp 40, w takim razie zaleje ono w ziemi kozaków tereckich, w gub. Astrachańskiej i w kraju Zakaspijskim około 3,000 mil geograf. kwadratowych. Lecz dzięki temu, powiększyłaby się w dwójnasób powierzchnia tego morza i wszystkich jezior stepowych, a ztąd nagie sąsiednie stepy stałyby się ziemią żyzną i urodzajną.

Z takiego przewrotu mogą być niezadowoleni tylko mieszkańcy miast Astrachania, Gurjewa i Kizlara, gdyż wypadnie im przesiedlić się i to nie bardzo blisko; lecz cóż znaczą ich straty i wydatki na przesiedlenie, w porównaniu z olbrzymimi korzyściami, z pozyskania *kilku tysięcy* mil

kwadr. ziemi urodzajnej? Ogromnie też skorzysta Turkestan, szczególnie w tym razie, jeżeli rzeka Amu-Darja będzie skierowaną do morza Kaspijskiego, co też ogromnie się ułatwi przez rozszerzenie tego morza w kierunku wschodnim. Skorzysta również Turkmenia i dalsze ziemie aż do Hindukuszu, z których dopływ wody uczyni raj środkowo-azjatycki. Muszę zaznaczyć, że całe to poprawienie przyrody może być dokonane stopniowo i bez szkody dla ludności. Mieszkańcy miast: Petrowska, Derbentu, Banu, Lenkoranu, Resztu i Astrabadu będą tylko cieszyć się z podniesienia wód w sąsiednim morzu, a przytem z podniesienia bardzo stopniowego, w miarę rozszerzenia kanału Kumo-Manyczskiego. Przenieść na inne miejsca wypadnie tylko nadbrzeżne chaty rybaków, gdyż brzegi są wysokie i strome; podniesienie poziomu wód o 6 sążni nie dosięgnie domów w tych miastach, chyba w rzadkich wyjątkach. Lecz Astrachań, Gurjew i Kizlar zostały by zalane“.

Przechodząc do dalszych widoków, związanych z tym projektem, Wiśniuków czyni uwagi następujące:

„W r. 1893 ilość rosyjskich kolonistów w Turkestanie wynosiła 54,246 ludzi, t. j. zaledwie 2½% ogółu ludności; kolonistów tych przybywa, lecz przy terażniejszych warunkach, przyrost wkrótce się zatrzyma, bo gruntów, zdalnych do produkcji zboża bez irygacji—już prawie niema, i zaczyna brakować wody do dalszego rozszerzenia przestrzeni uprawnej. Zwiększyć w Turkestanie obszar ziemi uprawnej można tylko przez powiększenie morza Kaspijskiego. Wtedy będzie mogła też wzrastać i kolonizacja“.

Trudno zaprzeczyć, że w tym śmiałym co najmniej projekcie są strony bardzo pojętne, jeśli uwierzmy p. W. na słowo, że zwiększenie powierzchni morza Kaspijskiego o 3,000 mil kw. geogr., spowoduje obiecywaną przez niego, dobroczynną zmianę klimatu nie tylko we wschodnich prowincjach Rosji Europejskiej, lecz i w Turkestanie, t. j. w pierwszych, powiększy ilość opadów atmosferycznych, a Turkestanowi da należytą ilość deszczów, których obecnie ogromny ten kraj w lecie jest prawie zupełnie pozbawiony. Któż zdoła obliczyć, kto może zapewnić, że skutki zalania 3,000 mil

kw. będą tyle doniosłe, że w Rosji Europejskiej susze i spowodowane przez nie nieurodzaje i głody znikną na zawsze, a Turkestan, któremu brakuje tylko wody, bo słońca i ciepła ma aż nadto, a glebę (tak zwany żółtoziem), posiada nadzwyczaj bogatą i żyzną, stanie się rajem ziemskim, zdolnym wyżywić jaką setkę milionów ludności? Nie ulega kwestji, że wpływ tej olbrzymiej meljoracji działałby właśnie w tym wysoce dobroczynnym kierunku, że musiałby wywołać wielce pożyteczne skutki, jednak co do miary tego wpływu i co do doniosłości tych skutków, nie stanowczego i ścisłego przecie powiedzieć z góry nie można.

Przeprowadzenie kanału, łączącego morze Czarne z Kaspjskiem, zapewniłoby i inne korzyści. Oto najważniejsze:

1). Ogromne ułatwienie komunikacji z morzem Azowskiem i Czarnem, a przez nie z morzem Śródziemnem, a więc południową Europą i Afryką północną, a nawet z całym rynkiem europejskim. Z ułatwienia tego skorzystałyby: olbrzymie niziny rzek Wołgi i Uralu, całe przykaspjskie wybrzeże Kaukazu, cała Azja Środkowa (bo w takim razie skierowanie rzeki Amu-Darji do morza Kaspjskiego stałoby się zadaniem o wielekroć łatwiejszem i tańszem), dalej Afganistan i Persja. Wszystkie te kraje skorzystałyby na połączeniu ich z Europą taną drogą morską. Dla naftowych produktów z Baku otworzyłaby się droga morską, nierównie dogodniejsza i tańsza od dzisiejszej komunikacji lądowej z Europą przez kolej kaukaską, co dałoby nafcie bakińskiej nierównie lepsze warunki konkurencyjne na rynkach europejskich i afrykańskich. Można ręczyć, że ruch towarowy na projektowanym kanale byłby tak wielki, że zamortyzowanie wydatków na jego zbudowanie byłoby zapewnione, i z czasem kanał ten stałby się źródłem znacznych dochodów dla kraju, jeżeli przedstawiciele tegoż, nie zaś jakieś towarzystwo akcyjne, ani konsorcjum kapitalistów prywatnych, będą wykonawcami tego wspaniałego dzieła, tembardziej, że państwu zależy na posiadaniu tak ważnej arterji komunikacyjnej.

2). W dalszych następstwach można przewidzieć, że ustalenie taniej i dogodnej komunikacji handlowej z Europą całą Azji Środkowej, musi przyspieszyć pożądane połącze-

nie kolei wschodnio-indyjskich z koleją zakaspijską, której południowy kraniec znajduje się w Kuszku, tuż przy granicy Afgańskiej. Można się spodziewać, że ogromne korzyści handlowe, wpływające z takiego skrócenia drogi z całych północnych Indji Wschodnich do Europy, uczyniłyby Anglję skłonniejszą do ustępstw w tym przedmiocie, na czem znów zyskałby handel i przemysł całej Europy. Należy się spodziewać, że połączenie kolei Zakaspijskiej z siecią kolei indyjskich nastąpi dobrowolnie i to wkrótce po przeprowadzeniu kanału.

3). Kanał ten oddałby też ważne usługi pod względem militarnym. Obecnie byłoby zbyt ryzykowne budowanie pancerników i wszelkich okrętów wojennych w portach czarnomorskich, gdyż kosztowne urządzenia, w razie wojny, byłyby narażone na skutki bombardowania, lub przynajmniej na zupełną bezczynność i bezużyteczność przy blokadzie portów. Lecz przy istnieniu połączenia morza Czarne-go z Kaspijskiem to ostatnie, jako bezpieczne, będzie odpowiedniem miejscem na warsztaty inżynierji morskiej, tak wojskowej, jak i handlowej.

Rosja posiada wszystkie materiały, do budowy statków potrzebne, lecz przemysł ten nie może się należycie rozwinać wskutek niekorzystnego położenia jej mórz, a raczej wybrzeży morskich, nazbyt dostępnych w razie wojny dla flot nieprzyjacielskich. Żaden armator statków morskich nie zechce z tego właśnie względu urządzać swoich warsztatów ani nad Pontem, ani nad Bałtykiem, ani nawet nad morzem Białem. Tutaj zaś Wołga dostarczy drzewa z olbrzymich lasów północnych, żelaza i stali z Uralu; kanał dostarczy tych samych metalów i węgla kamiennego z hut i kopalni południowych, przeważnie drogą wodną, t. j. najtańszą. Lecz te korzyści staną się możliwemi do osiągnięcia tylko w razie połączenia morza Azowskiego z Kaspijskiem przez kanał morski, t. j. dostępny dla dogodnej żeglugi statków morskich; musi więc być dostatecznie głęboki i szeroki dla umożliwienia jednoczesnej żeglugi takich statków w obie-dwie strony.

Następują tu ważne pytania, czy przy takim pro-

flu kanału, któryby odpowiadał tym warunkom dla największych statków wojennych, nie uczyniłoby go to zanadto kosztownym, i czy tak szeroki i głęboki kanał nie okazałby się za wielkim, ze względu na zbyt wielką ilość dostarczonej wody, która płynąc przez niego zalałaby przestrzeń znacznie większą od pożądaną? Znaczący twierdzą, że o to ostatnie niema obawy, co zaś do kosztów, to pomimo konieczności wielkich nakładów, opłacą się one sowicie, dzięki korzyściom tak olbrzymim i rozmaitym.

4). Z powiększeniem o 3,000 mil kwadratowych morza Kaspijskiego wzrośnie w odpowiednim stosunku i jego fauna wogóle, a więc i jego bogactwo rybne, i dziś już znakomite. Lecz jakie zmiany w faunie rybnej nastąpią wskutek połączenia kanałowego? Więcej niż prawdopodobnie, że bardzo korzystne. Obecnie główną zdobycz w morzu Kaspijskim i w jego dopływach stanowią ryby duże, przedewszystkiem różne jesiotry: wyzie, jesiotry właściwe, siewrugi i najmniejsze z nich, lecz najlepsze i najdroższe — sterlety; oprócz tego poławiają się dość obficie białorybice, pokrewne sigom, sielawom i siejom, lecz o wiele większe i delikatniejsze. Morze to jednak jest ubogie w dobre gatunki ryb niewielkich; poławiana w niem w ogromnych masach wobła (inaczej tarań), konsumowana w konserwie, posiada smak nieszczególny i woń nieprzyjemną, tak, iż spożywają ją tylko wstanie zasuszonym, i to prawie wyłącznie niższe warstwy ludności. Przeciwnie, morze Czarne, ubogie w ryby duże, obfituje w wiele gatunków wybornych ryb drobnych, stanowiących przysmaki w stanie świeżym i w konserwach, do których znakomicie się nadają i są konsumowane w ilościach ogromnych. Wyrób konserw z tych rybek rozwinął się w znaczny przemysł. Otóż, według wszelkiego prawdopodobieństwa, fauna Kaspijska wzbogaci się w te ryby morza Czarnego, a nie odwrotnie, bo prąd wody w kanale, z góry na dół, z morza Czarnego i Azowskiego pociągnie je z sobą, ryby zaś kaspijskie nie pójdą do kanału z inną, różną wodą od ich żywiołu — bo mniej słoną i gęstą. Zyska więc rybołówstwo kaspijskie nie tylko na ilości, lecz także na jakości i na różnaitości swej fauny rybnej.

Dziwnem wydać się może, że mówimy o takiej drobnostce—jak rybołówstwo, w porównaniu z klimatycznym, kulturalnem, handlowem i wojskowem znaczeniem projektowanego kanału. Lecz ta drobnostka daje rocznie produktów więcej niż za 10 milionów rubli, i to według cyfr urzędowych, a łatwo się domyśleć, że dzierżawcom tego rybołówstwa bynajmniej nie chodzi o ujawnienie prawdziwej, niewątpliwie znacznie większej ilości i wartości połowu. Zwiększenie więc rocznego dobytku produktów rybnych o jakie 50, a gdyby nawet tylko o 30%, i podniesienie ich wartości przez rozmnożenie gatunków szlachetniejszych i droższych, przyniesie w wyniku rachunkowym co najmniej z jakie 5 milionów rubli rocznie, a to przecie stanowi procent od setki milionów, o jaką wzrosłoby, dzięki kanałowi, bogactwo ogólne.

Do tego wszystkiego dodać jeszcze musimy uwagi co do wpływu tego kanału na nasze stosunki handlowo-przemysłowe, a nawet i rolnicze. Po pierwsze, produkty naftowe z Baku będzie można sprowadzać drogą wodną aż do Warszawy, z jednym przeładowaniem ze statków morskich na rzece w ujściu Dniepru. Tak samo rzecz się będzie miała z całą bawełną turkestańską, jeżeli Amu-Darja będzie skierowana do morza Kaspijskiego; a gdyby nawet to nie przyszło do skutku, to i w takim razie przewóz bawełny koleją zmalałby, przy istnieniu projektowanego kanału co najmniej o całą odległość Carycyna od Warszawy (co wyniesie w przybliżeniu 1800 wiorst). Będą to niemałe korzyści dla naszego zapotrzebowania nafty i dla całego naszego przemysłu bawełnianego.

Co do rolnictwa, wiadoma rzecz, że nasz rynek zbożowy, jest zasypywany zbożem i mąką z południowo-wschodnich gubernji, które produkując znacznie taniej i korzystając z protekcji taryf różniczkowych, pomimo znacznej odległości, znajdują pewne zyski na sprzedaży tych produktów w Królestwie Polskiem. Lecz rozszerzenie kultury bawełny

w Turkestanie jest możliwe tylko przy odpowiednim zmniejszeniu uprawy zbóż, których dowóz, właśnie z gubernji południowych, jako najbliższych i obfitujących w te płody rolnictwa, jest koniecznym warunkiem rozwoju w Turkestanie uprawy bawełny. Im więcej przypłynie zboża z rosyjskich gubernji do Azji Środkowej, tem mniejszą będzie walka konkurencyjna na naszym rynku zbożowym. Zresztą, dla naszych fabrykantów, rzemieślników i kupców zjawi się możność korzystania z nowej, dogodnej i taniej komunikacji, aby zwiększyć wywóz naszych wyrobów w te dalekie kraje, w których przy nowych, stworzonych przez omawiany kanał, daleko korzystniejszych warunkach dla rozwoju ekonomicznego, musi wzrosnąć zapotrzebowanie na wszelkie wyroby przemysłu.

Tyle możemy zaliczyć na korzyść tego projektu, lecz i strony ujemne jego są także wielkie i rozmaite. Przebiecie kanału, przelewającego niezmierne masy wody bezpośrednio z morza Azowskiego do Kaspijskiego, według wszelkiego prawdopodobieństwa, musi przyspieszyć zanik morza Azowskiego, który już teraz daje się zauważyć. Niektóre miasta i wsie, jeszcze na początku wieku bieżącego nadbrzeżne, obecnie znajdują się o wiorstę, dwie i więcej od morza. Obrońcy kanału mogą wprowadzić powiedzieć, że to tem lepiej, bo ubytek ziemi wskutek rozszerzenia morza Kaspijskiego, będzie w pewnej części wynagrodzony przez wyschłe dno Azowskiego morza. Niestety, odszkodowanie takie nie wiele będzie warte, bo cały niemal przybytek składa się ze szczyrych piasków, które tylko rozszerzają tak zwane wydmy, t. j. wzgórza piaszczyste, przenoszone przez wiatry w głąb kraju. Zresztą i co do ilości, wynagrodzenie byłoby marne, bo gdyby nawet całe morze Azowskie wyschło doszczętnie, to jednak przestrzeń nabyta stanowiłaby tylko $\frac{1}{14}$ lub $\frac{1}{15}$ obszaru, zalanego wodami morza Kaspijskiego. Zresztą obrońcy projektu mogą słusznie twierdzić, że przecie tu idzie bynajmniej nie o nabytek w ziemi (która i na wschodnich wybrzeżach Kaspijskich jest licha i piaszczysta), lecz właśnie o powiększenie przestrzeni wód morskich, których parowanie ma wywrzeć dobroczynny wpływ

na klimat, czyniąc go bardziej wilgotnym. Jest to dowodzenie słuszne dla korzyści ogółu. Miasta nad morzem Azowskim, które dobrobyt i znaczenie handlowe zawdzięczają li tylko bliskości morza, byłyby zupełnie zrujnowane.

Miasta zaś nad morzem Kaspijskiem, jak Astrachań, Gurjew, Kizlar, Krasnowodzk byłyby skazane na zupełną zagładę, zarówno jak i wszystkie wsie okoliczne, znajdujące się na przestrzeni, przeznaczonej do zalania. Wywłaszczenie posiadaczy nieruchomości w tych miastach i wsiach podniosłoby o znaczną sumę kosztu przeprowadzenia kanału, które i tak byłyby bardzo ogromne, gdyż cała długość jego wyniosła by najmniej 565 wiorst.

Zarazem byłyby stracone raz na zawsze obfite źródła nafty, niedawno odkryte w okolicach Gurjewa, i nieprzebrane pokłady wosku ziemnego (ozokerytu) na Czelekanie. Zresztą, któż może wiedzieć, jakie jeszcze skarby zostałyby pogrzebane na wieki na ogromnej, niezbadanej prawie zupełnie wgłąb przestrzeni, zawierającej 3,000 mil kwadratowych, t. j. większej o trzecią część od Królestwa Polskiego (2276 mil kw.?).

Do wszystkich tych strat trzeba dodać koszt budowy kanału, który może być znacznie zmniejszony przez skorzystanie z jeziora Manycz, długiego na 115 wiorst, a ciągnącego się w kierunku kanału i innych jezior, długich na 50 w. Długość więc właściwego kanału skróciłaby się do 400 w., pogłębienie zaś jezior kosztowałoby daleko taniej, niż wykopanie 165 wiorst kanału. Skorzystanoby też niezawodnie z najbliższej do ujścia części rzeki Kумы, co też zmniejszyłoby długość samego kanału jeszcze co najmniej o wiorst 50. Pomimo jednakże tych wszystkich dobrych warunków, kanał 350 wiorstowy, mający koniecznie prowadzić wody morza Czarnego i Azowskiego, do morza Kaspijskiego, byłby nierównie kosztowniejszy, niż kanał tej samej długości, mający służyć tylko dla żeglugi; projektowany bowiem kanał, ze względu na jego cel główny, nie może być szluzowany; musi on posiadać ciągły, nigdzie nieprzerwany spadek w kierunku ku morzu Kaspijskiemu, co o wiele zwiększy roboty ziemne. Praca to ciężka i droga, szczególnie na

przestrzeni między morzem Azowskiem i najwyższym na linii kanału poziomem lądu, od którego zaczyna się już naturalny spadek ku morzu Kaspijskiemu, t. j. na zachodniej części kanału, długiej na jakie wiorst co najmniej 380 (licząc już w tem jezioro Manycz).

Osobliwych trudności technicznych przekopanie tego kanału nie napotka. Z twardemi pokładami skalnymi nie będzie do czynienia; najoporniejszy kamień na linii kanału stanowi wapień, łatwy do skruszenia nawet małemi ładunkami prochu lub dynamitu, co niepomąłu przyczyni się do ułatwienia i do zmniejszenia kosztów tych robót.

Sama myśl polepszenia klimatu przez powiększenie przestrzeni mórz nie jest zupełnie nową. Już przeszło trzydzieści lat temu, za panowania Napoleona III, francuzcy inżynierowie projektowali zalanie wszystkich niższych od powierzchni oceanu części Sahary, przez kanał z morza Śródziemnego, mianowicie z zatoki Gabes, w granicach Tunisu, w celu uratowania południowej Europy od zgubnego wpływu wiatru afrykańskiego *sirocco*. Ale ostatni z cesarzów francuzkich nie mógł już popierać podobnego przedsięwzięcia, większego niż kanał Sueski; zresztą Tunis był wtedy niezależnym od Francji. Dla dzisiejszej zaś, choć bogatej rzezypospolitej francuzkiej, lecz pożeranej przez walki partyjne, jest to zadanie nie na siły jej władców, pochłaniane przez walki partyjne, i nawet uznanie protektoratu Francji nad Tunisem nie zbliżyło do urzeczywistnienia wielkiego dzieła.

I w Rosji omawiany tu projekt nie jest pierwszym. W r. 1873, upamiętnionym przez straszliwą posuchę, nieurodzaj i głód w guberniach nadwołżańskich, odezwały się pierwsze głosy ostrzegawcze o zgubnem pogorszeniu klimatu. Wówczas też inżynier p. Demczenko wystąpił z projektem zalania stepów Kirgizkich i innych nizin w Azji Środkowej, przez skierowanie na południe rzek Syberji Zachodniej. Według jego obliczeń, kosztem jakichś 300—350 milionów rubli na przebicie kanałów w wyniosłościach, dzielących Zachodnią Syberję od Azji Środkowej, w tej ostatniej po 28 latach utworzyłoby się olbrzymie morze Śród-

ziemne, łączące w jedną całość morza Kaspjskie i Aralskie, sięgające na południe aż do gór Hindukuskich. Oprócz korzyści handlowych, wynikających z morskiej komunikacji z Indjami Wschodnimi, morze to raz na zawsze usunęłoby zgubne posuchy, coraz częściej trapiące cały wschód Rosji Europejskiej.

Zdrowa, jędrna myśl zasadnicza, lecz jakże spaczona! „Trzeba korzystać z wód rzek syberyjskich”—pierwszy wygłosił p. Demczenko. Lecz dalej powiada, że wody te przeznacza nie dla irygacji, nie na to, aby zachodnia Azja Środkowa zakwitła na całej przestrzeni, żeby zabezpieczyła los milionów ludzi i wielu pokoleń, żeby stworzyła nowe obszary, zdadne do uprawy, lecz ażeby deszczów w Rosji Europejskiej było jak najwięcej.

Nadto kompetentni ludzie wykazali, że projektowane przez p. Demczenko dobrodziejstwo mogłyby być szkodliwe dla rolnictwa Rosji; wskutek bowiem bezpośredniego sąsiedztwa z morzem wody słodkiej, a zatem parującym silniej, niż morza z wodą słoną, Rosja została by zalaną przez nadmiar opadów atmosferycznych, a wtedy mogłoby być... za wiele dobrego. Swoją drogą, zasadnicza myśl powyższa jest dobrą, i kiedyś, gdy zacznie brakować ziemi i chleba dla potomków żyjących pokoleń, rzeki Zachodniej Syberji popłyną na południe i użyznią olbrzymie przestrzenie ziemi, obecnie zupełnie bezpłodnej, lub zdatnej tylko na pastwiska dla stad koczowników.

IV. Kanał Ponto-Baltycki.

(Połączenie morza Baltyckiego z Czarnem).

Blizszym urzeczywistnienia, niż projekt kanału południowego jest opracowywany już obecnie w ministerjum komu-

nikacji projekt połączenia morza Czarnego (Pontu) i Bałtyckiego kanałem, dostępnym dla żeglugi statków morskich.

Kwestja takiego połączenia mórz była podniesiona po raz pierwszy 9 lat temu. Polecono wtedy wypracowanie odnośnego projektu byłemu francuzkiemu ministrowi spraw zagranicznych, p. Flarens, który też przedsięwziął odpowiednie badania przy pomocy biegłych inżynierów. Badania te zajęły sporo czasu i zostały ukończone dopiero w r. 1894. Przekonano się, że kanał ten najdogodniej przeprowadzić od zatoki Ryskiej przez rzeki: Dźwinę, Berezynę i Dniepr do Pontu, z urządzeniem odpowiedniego portu koło m. Chersona, oprócz tego kanał ma posiadać dwie odnogi: jedną, łączącą go z portem w Libawie, a na południu—z wojennym i handlowym portem przy Nikołajewie.

Długość samego głównego kanału (bez odnóg), głębokiego wszędzie co najmniej na stóp 20, wyniesie 1607 kilometrów. Roboty mogą być ukończone w ciągu lat sześciu, a co najwyżej siedmiu; koszt ich obliczono na 500 milionów franków, czyli przeszło 200 milionów rubli. Obliczono także, że te olbrzymie wydatki opłacą się i to sowicie. Kanał ten byłby *drogą*, której konieczność uczuwano jeszcze w samych początkach historycznego istnienia Rosji. Nie ulega kwestji, że ruch towarów, tak przejściowy, jak i miejscowy, a szczególnie pierwszy, będzie w tym kanale ogromny.

Znany jest fakt, że wszelkie gatunki zboża są droższe od 15 do 20% w portach Bałtyckich, niż w Czanomorskich; przewyżka ta musi przyciągnąć do kanału wielką masę ładunków zboża z gubernji południowych i małosyjskich, wywożących zboże przez Odesę. Lasy całego Polesia i dorzeczy Dźwiny i Dniepra, również jak i ich dopływów, skorzystają też z tej nowej, tak dogodnej, a przytem taniej komunikacji. Cukier, wyrabiany w największych ilościach na Podolu i Ukrainie, pójdzie do Petersburga i do wszystkich zachodnich części Cesarstwa tą drogą, która przyciągnie też towary z Kaukazu i z całego, tak zwanego „*blizszego Wschodu*“. W odwrotnym kierunku pójdą wszelkiego rodzaju wyroby fabryczne, dostarczane Rosji południowej nie tylko z okręgu przemysłowego petersburskiego i ryskiego,

lecz i z Anglii, która dziś musi wysyłać je drogą kilka razy dalszą, bo okrążając całą niemal Europę. Kanał ten ożywiłby gubernje nadbałtyckie i litewskie, obecnie dość zafarne pod względem ekonomicznym, co musi wpłynąć dodatnio i na interesy kraju naszego, który tym sposobem posiadałby sąsiada zamożniejszego, a zatem i więcej potrzebującego wyrobów naszego przemysłu fabrycznego i rękodzielnictwa.

Wąż morski.

Istnienie węża morskiego — to bajka wierutna. Tak twierdzą powszechnie, a tymczasem fakty dowodzą, że wąż morski istnieje rzeczywiście. Być może, że słuszniej byłoby wierzyć, że w oceanie mieszkają potwory, których nauka dotąd nie zakwalifikowała do żadnego gatunku. Może być jednak, że jest ich niewiele i że nazwa węża nie jest tu stosowną.

Pamiętajmy, że do niedawna za bajkę także uważana była olbrzymia ryba piła, której istnienie nie podlega już wątpliwości.

Chcemy właśnie poznać czytelnika z opowiadaniem, które dowodnie potwierdzają istnienie węża morskiego. Większa część tych opowiadań jest pochodzenia norweskiego.

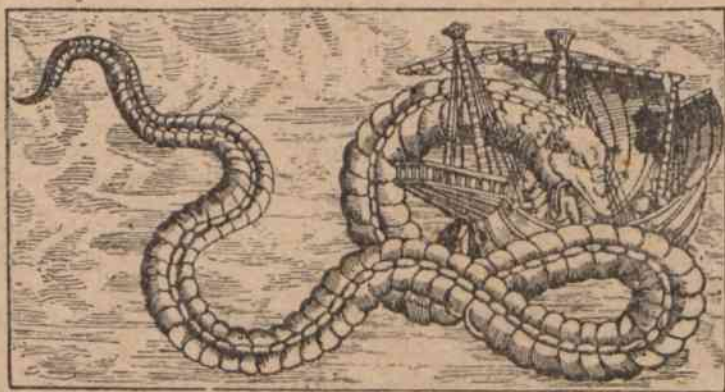
W pewnej norweskiej księdze podróży wydanej w XVI wieku, znajdujemy opis potwora morskiego, który zjawił się u brzegów Norwegji w 1522 r. Autor artykułu, Olaf Magnus, opisuje węża morskiego, jako potwora, mającego do 200 stóp długości i 20 grubości, o ognistych oczach i krótkiej grzywie. Do opisu dołączony jest dość oryginalny rysunek, wyobrażający węża, który wyskoczył zupełnie z wody i porywa człowieka z pokładu okrętu.

Hans Edged, który został później biskupem, odbywał w 1734 r. podróż do Grenlandji, jako misjonarz. W dzienniku tej podróży znajdujemy opis potwora morskiego, który ukazał się blisko okrętu w dniu 6 lipca.

„Głowa potwora — mówi misjonarz, — gdy ją podniósł w górę, była na tej samej wysokości, co wierzchołek naszego

głównego masztu. Pysk miał długi i wąski, od czasu do czasu wyrzucał zeń strumienie wody, jak wieloryb. Miał olbrzymie pletwy i grubą skórę, pokrytą łuską. Kształtem ogólnym potwór przypominał węża; gdy zanurzał się w wodę, to koniec ogona, sterczący z wody, zdawał się być oddalony od reszty ciała na długość okrętu. Towarzysz Edgeda, także misjonarz, naszkicował widok potwora, jak obok podajemy.

Eryk Pontoppidan, biskup bergeński, słynny przyrodnik, nie wierzył w istnienie węża morskiego, później jednak, w księdze wydanej w r. 1755 przyznaje się, że niewiara jego została silnie naruszona, gdyż dostały mu się, jak sam pisze, „przekonywające dowody istnienia węży, od setki doświadczonych i godnych wiary żeglarzy, którzy wi-



Wąż morski, opisany przez Olafa Magnusa.

dzieli te potwory“. Biskup opowiada, że wogóle węże morskie, (które uważa za jedno z biblijnym Lewiatanem), przebywają stale na dnie oceanu i tylko w okresie mnożenia się, w lipcu i sierpniu, podczas spokojnej pogody, wychodzą na powierzchnię morza. Biskup odróżnia dwa gatunki węży: grenlandzkie i norweskie; grenlandzkie okryte są łuską, norweskie zaś mają skórę gładką, i na szyi grzywę, zwieszającą się na podobieństwo pęków trawy morskiej. Opierając się na świadectwach wielu naocznych świadków, Pontoppidan przypuszcza, że węże dochodzą do 600 stóp długości. Gdy morze bywa spokojne, potwory lubią przebywać na powierzchni wody i wtedy ciało ich wygląda, jak długi szereg pierścieni. Obadwa gatunki mają po większej części czoło

wysokie i szerokie, trafiają się jednak osobniki o płaskiej i ostrej paszczy. Oczy mają duże, niebieskawe, skórę koloru ciemno-brunatnego, miejscami centkowaną.

Gazeta „Zoologish“ za r. 1847, zawiera wiele raportów o zjawieniu się węzów morskich w flordach norweskich. Jednem z najciekawszych i najwiarogodniejszych jest opowiadanie oficerów załogi okrętu angielskiego „Doedalus“. Jest to raport oficjalny kapitana M. Quhae, złożony admirałowi, sir. W. Gage.

„Doedalus, okręt Jej Królewskiej Mości, Hamoaze, 11 października, 1848 r.

W odpowiedzi na list, w którym JWPan żąda wyjaśnień, tyjących się podanej przez „Times“ wiadomości o wężu morskim, spotkanym przez załogę okrętu „Doedalus“,



Wąż morski, opisany przez misjonarza Hansa Engeda.

w drodze z Indji, mam zaszczyt donieść, że 6 sierpnia o godz. 5 po połud., pod $24^{\circ}44'$ sz. poł. i $9^{\circ}22'$ dł. w., sternik Sartoris spostrzegł coś olbrzymiego, zbliżającego się do okrętu. Doniósł o tem natychmiast dyżurnemu oficerowi, porucznikowi Edgarowi Drummond, który znajdował się wtedy w towarzystwie majstra okrętowego, W. Barrett i mojem. Załoga spożywała śniadanie.

W kierunku wskazanym ujrzeliśmy olbrzymiego węża, który płynął z głową podniesioną na 4 stopy nad poziom wody. Na podstawie spostrzeżeń, możemy twierdzić, że część ciała potwora, wynurzająca się z wody, dochodziła 60 stóp długości. Wąż poruszał się z wielką szybkością i przepłynął obok okrętu tak blisko, że na tej odległości mógłbym gołem okiem rozpoznać rysy twarzy kogoś znajomego.

Zwierzę płynęło bez żadnego zboczenia, w kierunku południowo-zachodnim, z szybkością 12 — 15 mil na godzinę. Zwierzę miało skórę koloru ciemno-brunatnego, z centkami jaśniejszemi przy szyi; coś w rodzaju grzywy, lub pęka trawy morskiej, zwieszało się na grzbiet. Płetw nie zauważyliśmy.

Oprócz mnie i wyżej wspomnianych oficerów, widzieli węża kwatermistrz, młodszy sternik i chłopiec okrętowy.

Dołączam przy niniejszem rysunek, podług zrobionego natychmiast szkicu.

Mam honor i t. d. Kapitan M. Quhae.

Jest to świadectwo najzupełniej wiarogodne, gdyż podane przez ludzi wykształconych i doświadczonych żeglarzy.

Wkrótce potem w gazecie „Globe“ zamieszczony został list, donoszący o zjawieniu się podobnego (a być może, tego



Wąż morski, podług szkicu kapitana M. Quhae.

samego) potwora obok okrętu amerykańskiego „Daphne“, o 20° dalej na południe.

Kapitan Nelson, komendant okrętu amerykańskiego „Sacramento“ donosi, że widział niezwyklego potwora morskiego 30 lipca 1877 r., pod 31°48' sz. pół. i 37° dł. zach. Sternik, John Harte, pierwszy spostrzegł potwora i mógł lepiej mu się przyjrzeć, zanim zaś kapitan wyszedł na pokład, zwierzę już oddaliło się znacznie. Sternik widział część ciała potwora długą na 40 stóp. Kapitan zrobił ołówkiem szkic, z którego widocznem było, że potwór nie był podobny do żadnego z widzianych dotąd przez żeglarzy węzów i przypominał raczej przedpotopowego Ichtyosaurusa.

Godny uwagi jest raport oficera okrętu „Plumper“. „Rano, 31 grudnia 1848 r., pod 41°13' sz. półn. i 12°31' dł. zach. nawprost Oporto, spostrzegłem długie, czarne zwierzę, z zakończoną ostro głową, płynące w kierunku półn.-zachod.

Długości potwora nie można było oznaczyć, lecz część korpusu wynurzająca się z wody miała długości przynajmniej 20 stóp, głowa zaś 6—8 stóp. Ponieważ okręt płynął w przeciwnym kierunku, nie mogłem zrobić dokładniejszych spostrzeżeń. Nasi oficerowie i majtkowie, którzy znali dobrze wieloryby, twierdzili, że widziany przez nas potwór nie miał żadnego do nich podobieństwa. Na grzbiecie miał coś w rodzaju grzywy“.

W kilka lat później, w „Illustrated London News“, ukazało się znowu sprawozdanie, z którego podajemy wyjątek.

„Dnia 25 września, 1853 r. Ajentura Kolo-njalna 4 Cullum, St. London“.

Załączamy wyjątek z dziennika okrętu „Princess“. Wtorek d. 8 lipca 1853 r., 34°56' sz. połud., 18°14' dł. wsch. O godz. 1 po południu spostrzegliśmy olbrzymią rybę o sześciu parach płetw. Grzbiet miał długości 20—30 stóp kończył się bardzo długim ogonem. Prawdopodobnie był to wąż morski. Jeden z załogi strzelił z fuzji i ranił zwierzę w okolicy głowy“. Potwór widziany był przez kapitana Morgana, pasażera na „Princess“.



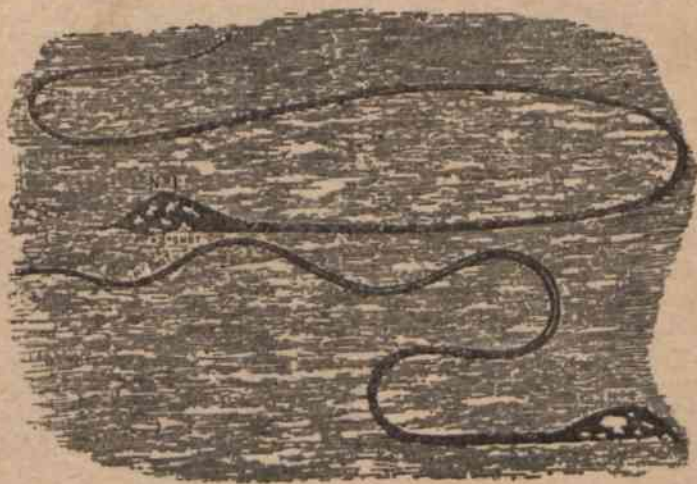
Wąż morski, podług szkicu kapitana Nelsona.

Dokładny i wiarogodny opis pochodzi od dr-a Biccarda z Cape Town. Było to w lutym 1857 r. Około godziny 5-ej po połud., doktor znajdował się w latarni morskiej Green Point, gdy wezwał go dozorca latarni, aby zobaczył potwora morskiego“.

„Wszedłem na górę,—opowiada dr. Biccard i ztamtąd ujrzałem na powierzchni morza, w odległości 150 jardów od ładu, węża, o którym niedawno czytałem w dziennikach. Wąż znajdował się w pozycji, wskazanej na rysunku (fig. 1). Wziąłem od obecnego p. Hollesa fuzję i strzeliłem do potwora. Kula upadła o 4 jardy od węża, który nie okazał

żadnej trwogi. Po drugim wystrzale, z którego kula upadła tylko o stopę od węża, zwierzę zaniepokojone wyciągnęło się na całą długość ciała i skryło się w wodzie. Po upływie dziesięciu minut, wąż pokazał się znowu, o 40 jardów od poprzedniego miejsca i popłynął wolno. W tej chwili nadszedł syn mój, i strzelił raz jeszcze. Na nieszczęście fuzja się zepsuła i nie można było z niej strzelać. Tymczasem wąż powrócił na dawne miejsce, gdzie przybrał pozycję, wskazaną (fig. 2), następnie odwrócił się i zniknął pod wodą“.

Doktór Biccard dodaje, że wąż miał długości 200 stóp; o grubości nie powiedzieć nie może, ponieważ widoczny był



Wąż morski, widziany przez d-ra Biccarda.

tylko sam grzbiet. Zgrubiałość na jednym końcu uważa za głowę, oczu jednak nie dostrzegł. Skórę miał potwór ciemną, z białymi na głowie centkami. Morze było zupełnie spokojne. Oprócz doktora jeszcze siedem osób widziało węża.

Jeden z rysunków naszych przedstawia wielkiego amerykańskiego węża morskiego, z którego młodych jedno zostało schwytane i zbadane przez członków bostońskiego towarzystwa imienia Linneusza. Z powodu ciągłych pogłoszek, że w sierpniu 1817 r. wiele osób widziało w przystani Gloucester, i na otwartym morzu, niedaleko ztamtąd, wielkiego węża morskiego, towarzystwo pamięci Linneusza wy-

brało komitet, którego zadaniem było zebrać wszystkie dane, dotyczące się istnienia i ukazania przy brzegach Ameryki podobnego potwora. Po pewnym czasie ogłoszone było sprawozdanie komisji, i jeżeli wnioski dokumentu tego mogły być podane w wątpliwość, to o miesiąc później, gdy schwytano prawdziwego żywego węża morskiego, fakt istnienia potwora stał się niewątpliwym. Schwytany egzemplarz został uznany za młodego olbrzymiego węża i nazwany *Scoliophus Atlanticus*. Zabity został na brzegu morza blisko przylądka Ann. Załączony rysunek wzięty jest z broszury, wydanej w swoim czasie przez towarzystwo i zawierającej opis potwora.

Najbardziej zadziwiającą wiadomość o wężu morskim podał Drewer, kapitan trójmasztowego okrętu „Pauline“, którą wobec sędziego potwierdził on sam i towarzysze jego. Podajemy poniżej w skróceniu raport kapitana.

„Trójmasztowy okręt „Pauline“, 8 lipca 1875 r., 5°13'



Wąż morski młody, podług broszury wydanej przez bostońskie towarzystwo im. Linneusza.

s. p. i 35° d. z. Przylądek Rock na Pół-Zach. Brazylii, godz. 11-a rano.

Pogoda piękna, niebo czyste, wiatr umiarkowany, morze spokojne. Spostrzegliśmy na powierzchni wody ciemne jakieś plamy, nad niemi zaś słup biały, wysokości około 35 stóp. Z początku wzięłem to wszystko za grupę skał, gdyż woda rozbryzgiwała się tam, jak fontanna, a słup biały wzięłem za ostry szczyt, oświecony promieniami słońca. Nagle słup upadł, rozsypując się na miliony kropel, a wkrótce pokazał się drugi podobny słup. Zjawisko to powtórzyło się jeszcze kilka razy.

Przez lunetę dopiero spostrzegłem, że nie były to skały, lecz potworny wąż morski, podwójnym pierścieniem opasujący wielkiego wieloryba. Przednia część i ogon węża, długie po 30 stóp, działały jak drągi, obracając się z nadzwyczajną szybkością i jednocześnie obracając ofiarę. Pograżały się w wodę i znów pokazywały się nad powierzchnię.

nią, nie przestając obracać się i walka ta wieloryba z wę-
żem, której świadkami były dwa inne wieloryby, zamieniała
morze w tem miejscu w prawdziwy odmet, nad którym uno-
sił się głośny, przeciągły hałas.

Dziwna ta scena trwała około kwadransa i zakończyła
się tak, że tylna część ciała wieloryba nagle uniosła się w górę,
kołysząc się gwałtownie i z wściekłością rozbijając wodę
w śmiertelnej walce, aż wreszcie wieloryb znikł, pogrążając
się w wodę głową naprzód, i prawdopodobnie stał się na dnie
morza zdobyczą węża. Dwa inne wieloryby tak wielkie, że
podobnych nigdy już w życiu nie widziałem, powoli odpły-
nęły z miejsca walki



Walka węża morskiego z wielorybem.



Koniec walki węża z wielorybem.

skiego, głowa węża zdawała się największą częścią ciała,
być może dlatego, że przez cały czas potwór miał paszczę
otwartą.

Pisząc te słowa, nie spodziewałem się, że węża tego
zobaczę raz jeszcze. Dnia 13 lipca, o godz. 7 rano, pod tą
samą szerokością, o 80 mil na wschód od Saint-Rock, z wiel-
kiem zdumieniem, spostrzegłem tego samego—lub podobnego
potwornego węża. Przepłynął blisko okrętu, trzymając nad
wodą głowę i część tułowia, długą na 40 stóp.

Wszystko to jest szczerą prawdą. Potwór obserwowa-

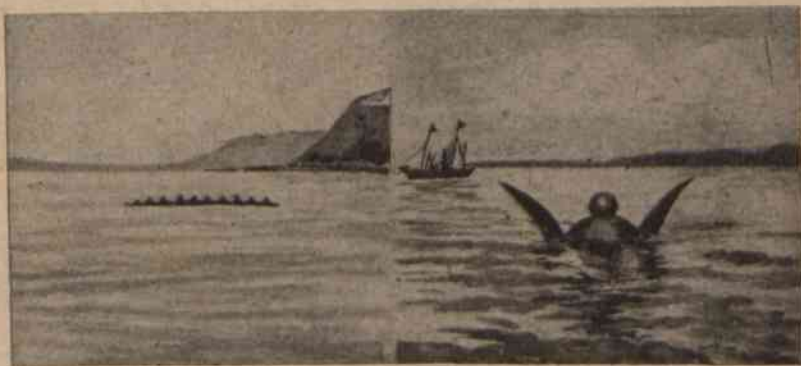
nęły z miejsca walki
w kierunku ku okręto-
wi naszemu, lecz trzy-
mały się wyżej, niż zwy-
kle, na powierzchni wo-
dy i płynęły bez szele-
stu, jakby sparaliżowa-
ne ze strachu. Ja sam
czułem zimny dreszcz
po ciele, gdy obserwo-
wałem ostatnie chwile
walki nieszczęsnego
zwierzęcia, które w ob-
jęciach straszliwego potwora
zdawało się tak bezsilnem, jak
mała ptaszyna w szponach ja-
strzębia...

Wziąwszy na uwagę, że
wąż obejmował tułów wielory-
ba podwójnym pierścieniem,
trzeba przypuścić, że wąż miał
160—170 stóp długości, a 7—8
stóp grubości. Kolor skóry po-
dobny był do węgorza mor-
skiego.

ny był, oprócz mnie przez innych oficerów i większą część załogi, i wszyscy gotowi jesteśmy w każdym czasie prawdę słów naszych stwierdzić przysięgą... Pewien okręt trzy lata temu został przewrócony przez jakiś potwór morski na Oceanie Indyjskim. George Drewer“.

Ponieważ większość dzienników traktowała opowiadanie to z wielkiem niedowierzaniem, kapitan Drewer z kilkoma oficerami i majtkami swojej załogi stawiał się u sędziego Raffles w Liverpoolu i tam opowiadanie o wężu uroczyście i oficjalnie stwierdzili.

Hassel, kapitan okrętu „Saint Olaf“, płynącego z Newport do Galveston (Texas), zapewnia, że na dwa dni przed przybyciem do ostatniego portu, 13 maja 1872 roku, widział olbrzymiego węża morskiego, leżącego na powierzchni wody.



Wąż morski, podług opisu i rysunku porucznika Heinsa z jachtu Osborne.

Część tułowia, będąca na powierzchni, osiągała 70 stóp długości: wzdłuż grzbietu zauważono 4 jakby pletwy. Grubość zdawała się 6 stóp; skóra koloru zielonawo-żółtego z brunatnymi plamami. Jeden z towarzyszków kapitana zrobił odręczny rysunek, wyobrażający potwora w dwóch pozach.

W czerwcu 1877 r., oficerowie i załoga jachtu królewskiego „Osborne“, napotkali potwora morskiego niedaleko od brzegów Sycylii. Porucznik Heins opisuje go w sposób następujący:

„Naprzód zauważyłem długi rząd zębów nad powierzchnią morza, w odległości 200 jardów od okrętu. Zęby te były rozmaitej wysokości i ciągnęły się po linii prostej na 30—40 jardów. Po kilkunastu sekundach zęby znikły, a w tem samem miejscu ukazała się przednia część ciała

potwora. Zwierzę płynęło w kierunku wprost przeciwnym do naszego okrętu, a ponieważ płynęliśmy z szybkością $10\frac{1}{2}$ węzła, nie mogłem przypatrzeć mu się staranniej. Rysunek przedstawia, co i jak widzieliśmy.

Kształt głowy przypominał kulę armatnią o średnicy 6 stóp, osadzoną na bardzo krótkiej szyi. Potwór poniżej szyi mógł mieć 15—20 stóp grubości, z boków widać było jakby skrzydła, długie 15 stóp, które, poruszając się, pomagały zwierzęciu płynąć. Od głowy do części tułowia, zanurzonego w wodzie, mogło być około 50 stóp, co stanowiło, jak mi się zdaje, $\frac{1}{3}$ całej długości. Widzialna część tułowia była okryta zupełnie gładką skórą. Zęby, które widzieliśmy najprzód, musiały znajdować się na tej części tułowia, która pozostawała w wodzie.

Są także daleko świeższe fakty, dowodzące istnienia węża morskiego. Kapitan parowca „Umfli“, jednego z dziesięciu okrętów, krążących po linii Natalu, podczas jednej podróży zapisał do dziennika okrętowego następujące zdarzenie:

„Parowiec „Umfli“. Poniedziałek d. 4 listopada 1893 r., godz. 5 m. 30 po południu, 23° szer. półn., 18° dł. zach. Zauważyliśmy w odległości około 500 jardów od okrętu potworną rybę, w kształcie węża, około 80 stóp długą, z błyszczącą skórą i krótkimi na grzbiecie pletwami, oddalonymi od siebie o 20 stóp; grubością wąż przypominał dużego wieloryba“.

Wskazane tu położenie geograficzne dowodzi, że zdarzenie miało miejsce niedaleko od brzegów Afryki, na południe od wysp Kanaryjskich. Pytany o bliższe szczegóły, dotyczące się potwora, kapitan odpowiedział, że ani on, ani jego majtkowie nie podobnego przedtem nie widzieli. Słuchacze, żartując z łatwowierności kapitana, przekonywali go, że i on, i majtkowie jego i pasażerowie „Umfli“ byli ofiarą dziwnego złudzenia. Kapitan jednak był najmocniej przekonany, że wzrok go nie mylił.

„Morze wtedy było zupełnie spokojne, — mówił, — najmniejszych fal na powierzchni nie było. A przecież ten dziwny potwór znajdował się przed oczami wszystkich przeszło pół godziny, i utraciliśmy go z oczu tylko z powodu zmierzchu“.

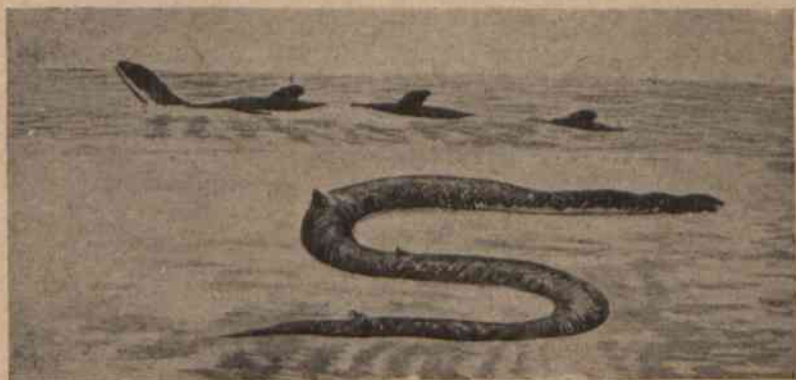
Na zapytanie, jak daleko zwierzę owo mogło znajdować się od okrętu, kapitan mówił:

— Myślę, że około 400 jardów. Potwór poruszał się z wielką szybkością i piersią przecinał wodę z taką samą siłą, jak parowiec. Trzy razy widziałem dokładnie jego gło-

wę i szyję, długości około 15 stóp. Trzy razy przednia część ciała zanurzała się w wodę i znów pokazywała się nad powierzchnią morza, tułów zaś widoczny był przez cały czas. Potwór najpodobniejszy był do olbrzymiego działu artyleryjskiego, w części zanurzonego w wodzie, nad którym widoczne były trzy oddzielne wypukłości.

Kapitan zrobił ołówkiem lekki szkic, podług którego zrobiony został podany przez nas rysunek.

— Tułów potwora,—mówił dalej kapitan,—był o wiele grubszy od szyi i dlatego nazywam zwierzę wężem. Gdyby wiatr był silniejszy i morze mniej spokojne, miałbym może niejaki wątpliwości. Ale powtarzam, morze było spokojne, i dlatego nie waham się twierdzić, że widziałem potwora morskiego. Zmieniłem nawet kierunek, aby zbliżyć się do nie-



Rysunek węża morskiego, zrobiony przez kapitana parowca „Umfil.”

go i rzeczywiście przez czas niejaki byliśmy daleko bliżej potwora, aniżeli poprzednio. Na nieszczęście jednak, słońce zaczęło zachodzić, nastąpił zmierzch, byłoby więc szaleństwem w podobnych okolicznościach kierować statek bliżej lądu.

Na pytanie, czy zwierzę było pokryte łuską, kapitan odpowiedział, że zdaje mu się, że nie. Skóra była na pozór zupełnie gładka, koloru ciemno-brązowego. Przez jedną chwilę zwierzę znajdowało się tak blisko okrętu, że jeden z pasażerów, posiadający pewne wiadomości przyrodnicze, był pewny, że słyszy jakiś świst, wydawany przez potwora, okazało się jednak, że był to szum wody, przecinanej pierśią potwora. Pasażer ten miał z sobą nawet aparat fotograficzny, wskutek wzruszenia jednak zapomniał o nim.

Z opisu, znajdującego się w dzienniku okrętu „Umfilii”. dowiadujemy się, że oficer, opisujący zdarzenie, obserwował potwora z pomocą lunety. „Widziałem wyraźnie, pisze on, paszczę potwora, którą otwierał i zamykał. Długość szczęk dochodziła do 7 stóp, paszcza uzbrojona była w olbrzymie zęby”. Kapitan nic o tem nie mówił.

Kończąc opowiadanie o zdarzeniu z d. 4 listopada, kapitan dodał:

— Tyle już razy wyśmiewano mnie z powodu tej historii, że często żałuję, że zdarzyło się to mnie, nie komu innemu. Wmówiono we mnie, że było to stado delfinów, lub też wysepka utworzona przez morskie porosty. Gdyby to wysepka taka mogła płynąć z szybkością 14 węzłów na godzinę, lub delfiny mogły wyskakiwać z wody wysoko na 15 stóp—to co innego. Ale to przecież niemożliwe.

Na trzy miesiące przed tem, miał sposobność obserwować podobne zwierzę, lecz przy bardziej sprzyjających okolicznościach, dr. Farquhar Matheson, z Londynu.

Dr. Matheson, doświadczony naturalista, należał do ludzi, jak najmniej podlegających złudzeniom. Prawie natchmiast po zdarzeniu, opowiadał o niem znajomym, którzy, jak zwykle w takich razach, wyśmieli go na razie, później jednak doszli do przekonania, że bądź co bądź, w opowiadaniu doktora musi być część prawdy, gdyż znali go jako człowieka trzeźwego i ostrożnego.

Doktor dał komuś ze znajomych krótką notatkę o potworze, jaki widział. Opis ten był wydrukowany w jednym z pism, lecz nie zwrócił uwagi, gdyż nie był przez doktora podpisany.

Zdarzenie miało miejsce we wrześniu, 1893 r., w czasie bytności dra Mathesona w jego posiadłości na północno-zachodniem wybrzeżu Szkocji. Pewnego dnia doktor wybrał się z żoną na wycieczkę po cieśninie Loch Alsh, która oddziela wyspę Skye od brzegów Szkocji.

— Dzień był cudowny—opowiada dr. Matheson.—Słońce świeciło jasno, niebo było bez chmurki. Było to między godz. 1—2 po południu. Podniosłem żagiel, łódź nasza sunęła cicho a szybko po gładkiej powierzchni, gdy nagle przed nami podniosło się z wody coś długiego, prostego, jakby szyja jakiegoś olbrzymiego zwierzęcia. To coś było wysokie jak maszt naszej łodzi. W pierwszej chwili nie mogłem zdać sobie sprawy, co to być może. Na razie, zdało mi się, że zjawisko ukazało się na lądzie.

— Czy widzisz — zapytałem żony. Odpowiedziała, że widzi, i jak zauważyłem, była cokolwiek wzruszona. Zjawi-

sko było przed nami o jakieś dwieście jardów i po chwili zaczęło się przybliżać do naszej łodzi. Nagle zaczęło powoli wciągać szyję do wody i wtedy spostrzegłem wyraźnie, że był to olbrzymi potwór morski, zdaje się, z rodzajów wielkich płazów. Potwór okryty był skórą koloru brunatnego, w miejscu połączenia głowy z szyją było widoczne zgrubienie; szyja z głową przypominała żyrafę, lecz szyja była o wiele dłuższa i głowa osadzona inaczej, to jest nie pod kątem prostym, lecz zdawała się przedłużeniem szyi. Potwór obracał głowę na wszystkie strony i wtedy widziałem, jak słońce odbijało się na mokrej skórze.

Na pytanie, czy zwierzę miało łuskę, doktor odpowiedział przecząco. Po dwóch minutach znikło pod wodą, potem ukazało się znowu i powtarzało zanurzenie jeszcze trzy razy w odstępach po parę minut. Nad powierzchnią wody trzymało się pionowo, oglądając się na wszystkie strony.

„Gdy ujrzałem potwora po raz drugi,—brzmi dalej opowiadanie doktora Mathesona,—oddalał się od nas, poruszając się z wielką szybkością. Zaciekawiony, zwróciłem łódź w tę stronę, lecz potwór płynął daleko prędzej od nas i kiedy pokazał się po raz ostatni, był już od nas przynajmniej o milę... Ciała jego nie widziałem, lecz w odpowiednim miejscu widoczne było silne falowanie. To pewne, że do podtrzymania takiej szyi i głowy potrzeba było olbrzymiego kadłuba.

Co do przypuszczenia, że w danym wypadku doktor stał się ofiarą złudzenia optycznego, odpowiadał: „Tak mówią najczęściej. Lecz zjawisko, widziane przezemnie, wyklucza wszelką możliwość złudzenia. Przy złudzeniach optycznych, przedmiot, który pokazuje się zupełnie wyraźnie, potem błędnie i stopniowo niknie. Tutaj było inaczej. Zwierzę po prostu zanurzało się powoli w wodę, lub powoli wynurzało się z morza, poruszając głową, tak, że widziałem odbłyśki światła na gładkiej mokrej skórze.

„Gdy tego samego wieczora, przy obiedzie, — tak kończył dr.,—opowiadałem o swojej przygodzie kilku znajomym, najprzód wyśmiali mnie, a następnie usiłowali w rozmaity sposób przekonać mnie i siebie, że byłem wprowadzony w błąd. Zdołałem jednak przekonać ich i w rezultacie uwierzyli, że ów wąż, czy nie wąż, lecz olbrzymi potwór morski nie jest mytem, jak wogóle dotychczas sądzono“.

Przeobrażenie Chin w świetle nauki

przez Jana Hess.

Uczony, zarówno jak ekonomista i polityk zainteresowani są tak zwaną *kwestją chińską*. Chodzi tu o obszar ziemi, stanowiący czwartą część powierzchni Azji, i o czwartą część ludności całej kuli ziemskiej. Polityk dowiadyuje się, kto będzie dzierżył rządy tego olbrzymiego państwa? Ekonomista bada ciekawie, kto będzie ciągnął korzyści z pracy tylu milionów ludzi, osiadłych na tych ogromnych przestrzeniach? Cywilizacja nowa, parta siłą pary, naciera gwałtownie na cywilizację chińską, najdawniejszą, jedyną w rozwoju swoim, wolną od wstrząsnień, opartą na tradycji.

Wyższe nad politykę i ekonomję polityczną jest zagadnienie, nad którem rozmyśla człowiek nauki. On bada, czy utrwali się ciągłość w tym rozwoju, istniejącym lat tysiące, czy też tryumf nad nim odniesie przewrót przez żywioł obcy wniesiony? Czy wysoce praktyczny rozum chiński zdolnym będzie utrzymać na Dalekim Wschodzie ster w życiu społecznem, przyswajając sobie ku własnej obronie środki walki, praktykowane przez Europejczyków, czy też owym niespokojnego ducha Europejczykom przypadnie rola kierowników?

Pytania te, stanowiące najżywotniejsze zagadnienia ludzkości, są celem dociekań uczonych. Dokładne ich poznanie wymaga skupionego światła wszystkich połączonych nauk.

Nie jesteśmy tyle zuchwali, iżbyśmy, dotykając owych zagadnień, rozstrzygać je chcieli ostatecznie; pragniemy tylko w szkicu, który w braku innych zalet ma tę dodatnią stronę, iż był długo przygotowywany na gruncie faktów, po-

dać niektóre wiadomości, dające już dziś możność racjonalnego badania kwestji chińskiej. W ten sposób dojdziemy prędzej może do logicznego kierunku, w jakim prowadzić należy akcję naszą na Dalekim Wschodzie.

Głównem jądrem tej kwestji jest: ziemia i człowiek, człowiek krajowiec i przybysz. Badania nad ziemią są stosunkowo łatwe i dość daleko już posunięte; człowiek przeciwnie, nie jest dotychczas dokładnie poznany, a właśnie na jego poznaniu najwięcej w tym razie zależy.

1. Ziemia. W geografji kraju najpierwszem zadaniem jest zbadanie charakteru powierzchni gruntu. Patrząc na mapę z nakreślonymi linjami projektowanych kolei żelaznych, dochodzi się do wniosku, że orografja Chin do chwili obecnej nie jest jeszcze znana w szczegółach. Dzisiaj nie wiemy o niej wiele więcej nad to, co Jezuici w swoich pięknych, oryginalnych pracach głosili w początkach XVIII wieku. Z głównych jednak linii, dokładnie przeprowadzonych, wytworzyć sobie można wyobrażenie ogólne.

Na północ Yang-tse i na zachód pod 110 stop. szer. geograf. ciągną się góry coraz wyższe i coraz więcej zwartym łańcuchem do środka Tybetu, na wschód równiny, pochylające się stopniowo ku morzu. Na południe Yang-tse wznoszą się równoległe pasma wzgórz z piętrzącymi się szczytami w pobliżu Tybetu.

Wśród tych trzech odmiennych powierzchni gruntu, rozłożone cztery wielkie doliny: Pei-Ho, rzeki Żółtej, rzeki Niebieskiej i Sikjang'u. Klimat i produkty ziemi wytwarzają trzy strefy:

1-a strefa północna o klimacie ostrym w stronach najdalej ku północy położonych, obejmuje wielką płaszczyznę, nadającą się do hodowli koni całego Chin. Na tej równinie widzimy pastwiska i pola pod uprawę zboża i jarzyn.

2-ga strefa środkowa, dolina Yang-tse, to gleba jedna z najurodzajniejszych na kuli ziemskiej; klimat w niej umiarkowany sprzyja hodowli jedwabników, plantacjom herbaty, ryżu, bawełny.

3-a strefa południowa o klimacie zwrotnikowym pozwala uprawiać te same rodzaje roślin, ale w gorszych gatunkach, z wyjątkiem ryżu, który tam bywa lepszy.

Ziemia wszędzie obfituje w bogactwa mineralne. Na północy w Mandzurji kopią złoto; żelazo i węgiel znajduje się wszędzie.

Zastanawiając się nad rozwojem żeglugi handlowej po spławnych wewnątrz kraju rzekach, zrozumieć łatwo można, że Chińczycy nie będący nawet reakcjonistami, ani fanaty-

czynnymi nieprzyjaciółmi postępu, różnić się mogą w poglądach swoich na potrzebę budowy kolei od Amerykanów i Europejczyków, fabrykantów i agentów dostarczanych lokomotyw i szyn. Być może, iż doszedł do wiadomości mieszkańców Niebieskiego państwa fakt, że z chwilą, gdy sieć kolei żelaznych dochodzi najwyższego stopnia rozwoju, zainteresowana w tej sprawie publiczność żądać zaczyna przywrócenia i polepszenia dróg komunikacji wodnej. Ludzie nabierają przekonania, że szybkość transportu nie zawsze nagradza podwyżkę kosztów. Jeśli zaś w tym względzie w Europie różne są zdania, to tem więcej w Chinach nie godzą się z sentencją, że czas, to pieniądz.

2. Ludność. Na gruncie chińskim, gdzie góry, doliny i rzeki wytworzyły trzy typy ludności: góry górników i tragarzy, doliny rolników, rzeki wioślarzy, ten sam stopień cywilizacji objął dwadzieścia odrębnych plemion. W ten sposób zrównana cała ludność Chin pozostaje pod jednym panowaniem. Cyfra tej ludności w różnych epokach różnie była obliczana:

w r. 1743 przez ojca Amyot na . . .	160,260,475
w r. 1792 przez lorda Macartney na . .	333,000,000
w r. 1813 w urzędow. spisie ludn. na .	360,279,897
w r. 1842 przez Sacharowa na . . .	413,686,994
w r. 1868 przez Wasilewicza na . . .	404,945,514
w r. 1883 w raportach celnych na . .	380,000,000

Wreszcie, będąc w Pekinie w r. 1899, z zebranych wiadomości od misjonarzy, którym długie podróże po kraju dały możność powzięcia dokładniejszego wyobrażenia o istotnem jego zaludnieniu, doszedłem do wniosku, że cyfra mieszkańców państwa chińskiego waha się od 400 do 500 milionów.

Cyfry, podawane jako ścisłe, nie mają wartości; niema bowiem możności obliczenia ludności w Chinach *dokładnie*, jak w krajach Europy.

Gęstość zaludnienia odpowiada urodzajności gleby, a Chińczycy umieją więcej wyciągać z ziemi, niżeli inne narody. Zwiedziwszy okolice Kantonu i Nankingu, zrozumiałem dopiero, czym jest przeludnienie. Urodzajne, mułem pokryte wybrzeża rzek są jakby mrowiskiem ludzkim, którego obraz na zawsze pozostaje w pamięci. Widok ten byłby pouczający dla przedstawicieli dyplomacji europejskiej, którzy na papierze kierują losami tych dalekich ludów. Ile razy czytam lub słyszę wymawiane słowa: podział Chin, tyle razy ów obraz milionowych tłumów, zwartej masy chińskiego na-

rodu staje mi w pamięci i nie mogę wyobrazić sobie, jak można by jego podziału dokonać.

3. Rząd i administracja. Ułudne mniemanie polityków europejskich, o biernej uległości Chińczyków opiera się na fakcie, że ten 500 miljonowy naród pozwalał narzucać sobie kolejno panowanie obcych, zaborczych dynastji, które największem na kuli ziemskiej państwem rządzią z pomocą 10,000 urzędników i mniej niżeli 100,000 żołnierzy.

Pozornie władzę reprezentuje w Pekinie cesarz, dwie rady wyższe i sześć ministerjów. Po za tem w skład państwa wchodzi: 18 prowincji z 11 wicekrólami i 18 namiestnikami; 182 departamentów; 544 okręgów, 1423 powiatów z naczelnikami, mającymi dwóch do trzech przybocznych doradców. Prócz tego na każdą prowincję jeden poborca podatkowy, jeden sędzia kryminalny, jeden inżynier główny i kilku inżynierów, prowadzących roboty publiczne. Z dodatkiem 80,000 tatarskiego wojska, stanowi to całą administrację centralną i administrację prowincjonalną w państwie zajmującym — powtarzam — czwartą część powierzchni kuli ziemskiej i liczącem czwartą część ludności globu.

Fakt ten wydaje się nieprawdopodobny, gdy się nie zna bliżej ustroju społeczeństwa i państwa chińskiego, po ściślejsz wszelakoż obserwacji tak jednego jak drugiego wedle modły stosunków na Zachodzie dochodzi się do wniosku, że Chińczycy z uległością a nawet tchórzostwem gotowi poddać się biernie pierwszemu lepszemu obcemu rządowi, który narzuci mu swą władzę siłą, względnie małożnączącą, skoro potrzebuje przełamać tylko niewielką wagę mające rządy obecnej dynastji.

Błędem jest przecież jednoczyć w pojęciach naród chiński z rządem chińskim. Wyobrażenie nasze mieszkańców Zachodu, często nas narażają na tę pomyłkę. Wszystkie państwa europejskie wytworzyły się w następstwie gwałtownych akcji, pociągających za sobą samowładną centralizację i tworzących z owej centralizacji i rządów nie wyraz, symbol, reprezentację ludu i narodu, ale jakby urzeczywistnienie dążności owego ludu — narodu.

Chcąc studjować Chiny i zrozumieć je dokładnie, należy zapomnieć o tych pojęciach. W socjologii manja przy stosowywania wszystkiego do siebie nadaje obserwacjom fałszywy kierunek. Wielu z tych, którzy badali Chiny, żyjąc w nich na miejscu czas dłuższy, nie umieli pozbyć się kolorowych szkielek, przez wyobrażenia i przesady europejskie nakładanych im na oczy. Patrzeć umieli tylko badacze wyjątkowo uzdolnieni; do nich należy Simon, autor „miasta

chińskiego" (*cité chinoise*), a że jest niedorzecznością chcieć przerabiać to, co jest dobrze zrobione, przytaczam jego zdania o rzeczach, tyjących się państwa i rządu chińskiego.

„Podług Chińczyków — mówi on — ciało polityczne, któremu nadają miano państwa, polega na ścisłym złączeniu ziemi i jej mieszkańców w warunkach niezawisłości; żadne państwo nie może być uważane za demokratyczne, o ile takie złączenie nie jest urzeczywistnione dla każdego z jego poddanych. Wówczas dopiero bowiem osobnik staje się prawdziwym obywatelem kraju, jednostką polityczną, istotną częścią państwa. Własność ruchoma, a do pewnego stopnia własność fabryczna, z powodu niestałości swojej nie może być poczytywana za równoważnik ziemskiej posiadłości, tem samem nie może służyć do wytworzenia osobistości politycznej. Do tak ukształtowanego państwa doszli Chińczycy przed 1400 lub 1500 laty, przechodząc poprzednio w ciągu kilku wieków próby formy rządu despotycznego; wówczas ziemia i w niej zawarte bogactwa mineralne *tienn-mienn* i *tienti* czyli grunt i jego używalność, stanowiły własność zbiorową w rękach naczelnika państwa, a następnie własność możnowładców, dzielących ziemię między pewną liczbę książąt.

Wiadomo, że zgodnie z filozoficznymi zasadami religji Chińczyków, ziemia uważana jako zbiorowa własność ludu a przysądzana prawem używalności temu, który ją uprawia, jest tak rozdzielana, aby z tych działów nikt nie był wyłączony. W Chinach jednostkę polityczną stanowi rodzina, działająca przez swego pełnomocnika, nie jako jednostka pojedyncza, oderwana, ale jako ciało zaopatrzone we wszystkie organa: religijne, prawodawcze i obywatelskie. „Rodzina — mówią Chińczycy — musi być małym państwem.”

Trudno dalej posunąć autonomję.

„Niezawisłość pojedynczego obywatela jest koniecznym warunkiem istnienia państwa. Nie należy bowiem brać jedno za drugie: państwa za jego rząd; pomyłki i błędy rządzących nie powinny na szwank narażać wolności i całości państwa.”

Tu Simon czyni uwagę, nad którą zastanowić się wypada głębiej. „Francja i Anglja w r. 1860 mogły pobić rząd chiński i narzucić mu swój traktat, nigdy jednak nie mogły zmusić narodu chińskiego do uznania tego traktatu. Nie był obwieszczany po prowincjach, a ile razy który z jego artykułów, przeciwnych uczuciom ludu chińskiego, miał być wprowadzony w wykonanie, tyle razy lud ten protestował czynnie i bronił praw swoich demonstracjami takimi, jakie miały miejsce w Kantonie, Tientsinie i t. d. Wówczas gro-

zi niebezpieczeństwo nie tylko życiu Europejczyków, ale życiu urzędników i istnieniu samego rządu.“

Nie sądzę, aby przy zaprowadzaniu w Chinach tego, co nazywają improwizowanym postępowaniem, zdawano sobie dostatecznie sprawę z rzeczywistych sił tego kraju. Należy się też obawiać wielu działań odpornych, zrozumiałych, gdy się te siły zna dostatecznie, niepojętych, gdy się ich nie zna. „W Chinach odpowiedzialnymi są za rząd wszyscy urzędnicy aż do cesarza włącznie. Nie istnieje tam ciało prawodawcze, czemu dziwić się nie należy: w społeczeństwie, wykształconem od tak dawna, wszystkie prawa muszą już być ustanowione. I są one niemi istotnie... Dla Chińczyków prawo wypływa z warunków życia pojedynczych osób lub całego społeczeństwa. To prawo tkwi w samym człowieku; trzeba mu tylko pozwolić rozwijać się swobodnie. Wolność jest zatem pierwszym prawem, a raczej podstawą wszelkiego prawa. Drugim warunkiem bytu jest solidarność, trzecim równość, bez której solidarność byłaby czerem słowem. Wolność, solidarność i równość wytwarza rodzinę chińską i państwo chińskie, będące niby wielką rodziną.“

Oto z czego urosły od wieków zasadnicze prawa chińskie. Gdy nieprzewidziany wypadek wywołuje potrzebę nowych ustaw, nie żądają ich od władz, gdyż nie pojmują, iżby władze stanowić je mogły, ale zwracają się z tem do zgromadzenia uczonych, któremu jedynie przyznają prawodawczą zdolność. Tym sposobem akademja w Pekinie jest jedyną prawodawczą władzą w Chinach.

„Zatem naród na pierwszym miejscu — mówi Simon — akademja nauk na drugim, a z nią wszyscy uczeni stanowią rząd istotny w Chinach.“

Tłomaczy to chwiejność zachowania się organów rządowych, znających niemoc swoją, gdy cudzoziemcy wymagają od nich rzeczy przeciwnych uczuciom narodu. Wyświetla to również obecne wypadki w Pekinie, których nie rozumieją nasi dziennikarze, zarówno jak i nasi politycy.

„Traktaty nie mają żadnego znaczenia, jeżeli uznania ich warunków nie zaleciły narodowi organa naukowe; ambasadorowie europejscy zatem powinni by starać się o listy wierzytelne nie tylko do cesarza, ale i do uczonych akademji nauk w Hanlin.“

„Zdawałoby się — mówi jeszcze Simon — że Chińczycy zapatrują się na rząd swój jak na obcego intruza, od którego obecności postęp zwalniać ich będzie stopniowo, a przynajmniej zredukują do minimum jego rolę.“

Uwagę podróżujących po Europie Chińczyków zwraca

głównie nieznośny — ich zdaniem — wpływ rządu, wywierany na obywateli kraju. Opowiadano mi w Tsung-li-Yamenie, że wysoki dygnitarz powróciwszy świeżo z Francji, przywołany przed cesarza i radę ministrów i zapytywany o zdanie co do cywilizacji Zachodu, z której „miał sposobność korzystać,” odpowiedział: że „ta cywilizacja jest przykrym do zniesienia uciskiem. Dywany w moich pokojach były brudne i służący chcieli je wytrzepać na dworze. Naraziło mnie to na rozliczne i niemiłe zajścia z władzami, jak gdyby wytrzepanie zakurzonych dywanów stanowiło występki.”

Był to kaprys, paradoks, ale w duchu czysto chińskim. Cywilizacja chińska nie rozumie tej opieki administracyjnej, tej czynności rządu, rozciąganej od chwili urodzenia nad obywatelem Zachodu, a kończącej się dopiero z jego śmiercią. Długie wieki nawyknienia nie dają nam odczuwać tego ciężaru. Przeciwnie, długie wieki swobody czynią je w wyobrażeniu Chińczyków cięższymi, niżeli one są w rzeczywistości. W tym porządku rzeczy zawarta cała serja faktów psychologicznych, z których nie zdajemy sobie dostatecznie sprawy.

W teorji nie widzę nigdzie państwa, społeczeństwa, administracji, rządu, których doskonałość ustroju mogłaby równać się z doskonałością takich organizacji w Chinach, przyznających jednostce największą sumę swobód, zgodnych z cywilizacją. Faktycznie owa doskonałość ma niejedną skazę, a tą skazą właśnie, rażącą badaczów Chin, są przedewszystkiem przez nich opisywane. Urzędnicy kradną; wykażę tego przyczyny, mówiąc o finansach. Sędziowie bywają częstokroć sprzedajni. Władze centralne wreszcie i jej reprezentanci dają dowody największego niedbalstwa w utrzymywaniu i prowadzeniu robót publicznych. Wiele osób z podróży do Pekinu zachowuje tylko wspomnienie uszkodzonych pomników, nieporządków po ulicach i dróg pełnych wybojów.

Z punktu jednak, z jakiego Europejczycy zapatrują się obecnie na sprawy chińskie, uwagi te mają drugorzędne znaczenie. Faktem najgłówniejszym — nacisk na to kładę — jest owa wielka niezawistość obywateli. Jeśli państwo tak ogromne może być rządzone przez tak małą stosunkowo liczbę urzędników i trzymane w korbach przez tak nieliczne wojsko, nie dowodzi to, iżby Chińczycy byli stadem potulnych owiec, prowadzonym przez kilka psów, ale raczej, że każdy osobnik, strzegąc wolności swojej w rodzinie, od wieków już władzę rządu ograniczył do minimum. Ile razy ów rząd próbował wtargnąć w dziedzinę swobód rodzinnych, tyle ra-

zy wybuchały straszliwe bunt, a bunt Taipingów nie zatarł się jeszcze w pamięci ogółu.

Dziś również w obrębie Chin istnieją groźne stowarzyszenia tajne, budzące postrach w Pekinie. Profesor Henryk Cordier upatruje w nich najczynniejszy organ literacki obecnej epoki. „Prawdziwym Chińczykiem — mówi on — jest dla mnie członek tych tajnych stowarzyszeń, których publikacje tworzą jedne z najciekawszych wydawnictw literatury współczesnej.”

Rozmawiałem z kilku członkami owych tajnych stowarzyszeń w Hong-Kong i w Cholen w Indo-Chinach. Rozgłaszano o przerażających ich planach na przyszłość. Oni dowodzą, że między Europejczykami i Chińczykami mogłoby nastąpić porozumienie, o ile pierwsi umieliby pogodzić własny interes z interesem Chińczyków, to jest na sprawiedliwości opierali działalność swoją, a nie mieli, tak jak dotychczas się dzieje, wyłącznie korzyści własnej na celu. Obecnie reakcjonistom ułatwia zadanie fakt widoczny dla wszystkich mieszkańców Państwa Niebieskiego: zjawienie się cudzoziemców pociągą za sobą zwiększanie się ciężarów prywatnych i publicznych.

Powtarzam, co mi mówiono: Nie tają oni, że gdy ich interes wymaga zwalczania europejskiego postępu, poruszają wszystkie sprężyny, mogące podniecać tłumy, w czem najważniejszą rolę w Chinach, bardziej niż w Europie, odgrywa nadzwyczajna łatwowierność ludu.

Wszyscy ci wichrzyciele należą do klasy inteligentnej ludzi, pełniących lub nie pełniących urzędy, stosownie do tego, czy przeszli, czy też odpadli od egzaminów, a z ludu pochodząc, wywierają na lud wpływ bardzo wielki.

Zastanawiano się nieraz nad przyczyną trwałości tak starożytnej cywilizacji chińskiej i jej rozwoju bez gwałtownych wstrząśnień. Przyczyna tkwi w tem właśnie, że jest to cywilizacja prawdziwie demokratyczna: gdzieś daleko w górze tron, potem lud bez żadnych podziałów kastowych. Administracja nie tworzy odrębnej kasty, bo często bywa zasilana świeżym dopływem członków z ludu. Jedynie nauka i złożony z niej egzamin daje prawo do urzędów. Student, bakałarz, licencjusz, doktor — przechodząc kolejno te stopnie, dziecko najuboższego mieszkańca Chin dojść może do stopni tronu. Li-Hung-Czang jest synem biednego mieszczanina z Sen-Chou, w prowincji Ngan-Honei. Szkielet administracji, wątły bardzo, w tem tylko czerpie siły, że się odżywia raz po raz w owych warstwach ludu.

Nie wszyscy jednak studenci i uczeni wytrzymują szczę-

śliwie próby egzaminu. Mówiono mi, że w zeszłym roku w Pekinie na 6896 kandydatów przyjętych było tylko do urzędów 320; „odpaleni“ wracają do ludu, podnosząc wśród niego poziom intelektualny najniższych profesji. Jednocześnie jednak organizują wszędzie grupy, których niespokojna działalność wytwarza to, co zowiemy niepewnością chińskiego jutra.

4. Charakter rolnictwa przemysłu i handlu. Dwa pojęcia: pojęcie rodziny jako wszechwładnej jednostki, stanowiącej podstawę ustroju państwa, i pojęcie przeznaczenia człowieka, związane ściśle z jego stosunkiem do ziemi, będąc źródłem, z którego wypływa wszystka mądrość, filozofja, religja, wyznająca cześć dla pracy, zrobiły z Chin kraj cierpliwych robotników, kraj, w którym rolnictwo, przemysł i handel nawet zachowuje charakter rodzinny.

Rozdrobnienie ziemi na działki odpowiednie do liczby rodzin wytworzyło mocną kulturę, której ani do naszej porównywać nie można. Dzięki ogromnej ilości robotników, uprawiających pewną przestrzeń gruntu, zbierany z niego miejscowego typu plon jest tak obfity, jakby ziemię uprawiano na wielką skalę. Ponieważ jednak ta ziemia w działkach wystarczać musi na wyżywienie całej rodziny, poza typowym gatunkiem zawsze uprawiają na niej wszystkie inne rodzaje produktów—żywności. Racjonalne zużytkowanie nawozu ludzkiego, uważanego za cenny materiał, który marnować byłoby grzechem, pozwala wielu ludziom żyć z niewielkiej przestrzeni gruntu, nie wyczerpując jego urodzajności.

Gęste zaludnienie, ilość rąk do pracy więcej niżeli potrzeba, ułatwia uprawę roli i zasila przemysł, prowadzony również sposobem rodzinnym. Nie znają tam liczenia się z oszczędnością pracy ludzkiej. Zdawałoby się przeciwnie, że celem jest danie zajęcia największej ilości rąk roboczych przy jednym rodzaju pracy. Dążnością tych umysłów, kształconych na zasadach filozofji religijnej, praktykowanej od wielu tysięcy lat, jest nie chciwość gromadzenia, zabijając się pracą, ale chęć zbierania tyle, ile potrzeba do życia. Tu występuje fakt, uprawiający w podziw ekonomistów konsularnych, aplikantów w biurach bankowych, tragarzy domów handlowych: w kraju tak silnej kultury, tak czynnego przemysłu, tak rozwiniętego handlu niema kapitału, w tem znaczeniu, jakie mu cywilizacja nasza nadaje; kapitału w złocie, w srebrze, w machinach nie posiadają Chiny. Za to posiadają kapitał inny, niemniej rzeczywisty: setki milionów ludzi, żyjących i zadowolonych z życia.

Mając ustrój rodzinny i produkując stosunkowo do po-

trzeb konsumpcji państwa, nie wytworzyli kapitału, z którego tak są dumni ekonomiści europejscy, ale nie wytworzyli również proletariatu, stanowiącego bolesną ranę społeczeństw europejskich.

Historja tego przemysłu, zredukowana do jego cech czysto chińskich, byłaby bardzo zajmującą. Znajdujemy ją tylko w książkach chińskich, z których niewiele było tłumaczonych. W kwestji chińskiej obecnie najważniejszą rolę odgrywa przemysł kopalniany i metalurgiczny. O nich kilka „chińskich” szczegółów podać możemy.

Thien-Kong-Khai wydaje przepisy co do wydobywania złota, srebra, żelaza i t. p. Złoto wybierają z rzek, płuczając je i oczyszczając ze zwiru. Srebro wydostają z minerałów, w których znajduje się ono w połączeniu z ołowiem. Minerale te, po wypłukaniu przetapiają w piecach 25 stóp wysokich. Palą w nich węglem drzewnym z kasztanów. Stopione bryły przetapiają ponownie w piecach ziemnych, w których ołów oddziela się od srebra, tworząc warstwę spodnią. Wyciąga się także srebro z piasku srebroadajnego, po oczyszczeniu go w płuczkach i przetopieniu z ołowiem. Żelazo otrzymuje się z rud ziemistych lub w odmianie drobnoblaszkowej, w związku z innymi minerałami; znajduje się pospolicie na powierzchni ziemi. Zbierane bywa szufelkami, a po opłukaniu, rzucane do pieców objętości 400 kilg.; do przetapiania żelaza używa się węgla drzewnego z domieszką węgla kamiennego. Stopiony metal wlewa się w formy z piaskowca. Opis manipulacji przetapiania żelaza znajdujemy dokładnie skreślony w książce chińskiej:

„Kopie się w ziemi okrągłe wydrążenie na kilka stóp obwodu i kilka cali głębokości, obok wznosi się mur na stopę wysoki. Gdy roztopione żelazo spłynie do owego rezerwuaru, staje na murze kilku ludzi z drągami w kształcie wioseł. Żelazo zwolna stygnie i gęstnieje jak błoto w kałuży i zamienia się na suchy proszek. Natychmiast, za danym przez jednego z nich przez kłaśnięcie w dłoń sygnałem, ludzie stojący na murze mieszają masę drągami tak długo, póki się nie rozżarzy, a wtedy staje się żelazem, przydatnem do wyrobu. Gdy ostygnie, jedni dzielą je na kawałki kwadratowe, inni silniej klepiąc, robią z niego okrągłe sztabki, które następnie sprzedają”.

Podczas mego pobytu w Pekinie, poselstwo francuskie traktowało z rządem chińskim o Zachodnie kopalnie nafty, które zarówno jak należące do tego poselstwa kopalnie rtęci czyli żywego srebra, przeszły w posiadanie towarzystw angielskich. Opis tych kopalni znajdujemy w starych księgach

chińskich. Wzmiankę o nich czyni O. Semedo w swojej *Historji powszechnej Chin*, gdzie mówi:

„Jak my w Europie mamy studnie z wodą, tak w Chinach mają studnie z ogniem na użytek domowy; ci którzy posiadają pod ziemią płonące już kopalnie siarki, potrzebują tylko w tej ziemi zrobić mały otwór, skąd dochodzi tyle ciepła, że wystarcza na ugotowanie wszystkiego, co zechcą. „Zamiast drzewa używają pewnego gatunku kamieni znacznej wielkości.

„Kopalnie, z których wydobywają te palne materiały, są prawie niewyczerpane“.

W Rocznikach „Stowarzyszenia Wiary“ w zeszycie za styczeń 1829 r., p. Imbert mówi o studniach ognia w Ou-Tong-Kiao, w pobliżu Kiating, w Sze-Schouan.

„Wydzielające się z tych studni powietrze łatwo się zapala i dosyć dotknąć do niej pochodnię, aby się ogniem zajęła. Są studnie, z których czerpią poprostu ogień“.

Świeże opisy p. Marcellego Monnier nie różnią się prawie od opisów dawnych autorów, prostują chyba tylko pewne przesadne szczegóły.

Pod względem wyrobów sztuki, przemysł chiński z każdym innym wytrzymuje porównanie, a żaden nadto nie dorównywa mu w ceramice, w obrabianiu brązu, metali, w haftach jedwabiami, w zachwycających tkaninach, w niezrównanem złotnictwie, w wypalaniu cegły, o której trwałości świadczą mury Pekinu. Należy wymienić jeszcze wyroby z drzewa, z papieru, z laku, słowem cały szereg wyrobów wielkiego i drobnego przemysłu.

Rodzina rolnicza i rodzina przemysłowa, szanowały prawo indywidualne. Zdawaćby się mogło, że, stosownie do potrzeb rozgałęzionego handlu, pojęcia rodziny, przechodząc w szerszy zakres stowarzyszenia, zagrażać muszą prawom pojedynczych jednostek. Tak nie jest bynajmniej, Chińczyk w rzeczach, odnoszących się do handlu, umiał oddawna wyzyskać korzyści takich stowarzyszeń.

„Swoboda w stowarzyszeniach—mówił ojciec Hue w r. 1854 jest niemniej potrzebna; jak swoboda w ruchu, używają jej też w zupełności, bez ograniczeń. Z wyjątkiem stowarzyszeń tajnych, zawiązywanych w celu obalenia dynastji mandżurskiej, które rząd ściga surowo, wszystkie inne stowarzyszenia są dozwolone. Chińczycy nadto mają wyjątkową zdolność do tworzenia *houi* czyli korporacji. Związują je wszystkie stany na wszystkie rodzaje przemysłu, interesów, przedsiębiorstw. Nawet żebracy i złodzieje organizują się w stowarzyszenia mniej lub więcej liczne, nikt

w sferze swojej nie pozostaje odosobniony. Jakby instynkt jakiś zbliża jednostki i skłania do zawiązywania spółek, dla osiągnięcia korzyści z posiadanych zasobów. Niekiedy te stowarzyszenia, zawiązywane z własnego popędu, bez udziału rządu, mają zadziwiający charakter siły; działają z rzutnością i energją, na jakie nie umieliby się zdobyć najdumniejsi mandaryni“.

Gametel, od którego zapożyczony ustęp powyższy, ogłosił ciekawe wiadomości o handlowych stowarzyszeniach chińskich. Dołączam do nich własne uwagi, zebrane w ciągu podróży. Bez względu na ograniczenia w ustawach owych stowarzyszeń, Chińczyk faktycznie korzysta z zysków zbiorowych, nie poświęcając nigdy swoich praw osobistych.

Zauważyłem też pewną sprzeczność: żyjąc w bliskich stosunkach z bogatymi kupcami chińskimi, obracającymi milionami, dostrzegałem u nich poglądy głębsze, wielką pomysłowość, cechującą zresztą i większe nasze europejskie stowarzyszenia, których ryzykowne spekulacje tak zbliżone do gry hazardowej. Jednocześnie mają oni spryt małych sklepikarzy, drobnych przekupniów, zaczynających handel z groszowym kapitałem: z pudełkiem zapalek sprzedawanych pojedynczo dorożkarzom na stacjach.

Jedna jeszcze nasuwa się uwaga: ściśle realistyczny umysł chiński wywołał w handlu rezultat, którego zasady religijne nie mogły wytworzyć gdzieindziej. Chińczyk przed tysiącami lat już uznał, że koniecznym warunkiem w transakcjach handlowych jest *uczciwość i poszanowanie danego słowa*, choćby nie popartego podpisem. Zrozumiałwszy to, umiał się do tego zastosować i uczciwość kupiecka jest tam cechą normalną, która pewnie zanikać zacznie przy częstszem zetknięciu z Europejczykami. Dziś jest to jeszcze fakt, zwracający uwagę cudzoziemca—czy dodać trzeba: budzący jego zdumienie? Ani obawa piekła, ani strach przed zandarmem nie miały czasu jeszcze wyrzeć na umysły nasze tego wpływu, jaki oddawna bardzo wywiera na umysł Chińczyka zrozumienie własnej jego korzyści.

Czyż ten „zacofany“ Chińczyk nie mógłby nam niekiedy świecić swym przykładem?

5. Działalność cudzoziemców i siły zbrojne. Przyroda obwarowała Chiny od „barbarzyńców“ z jednej strony pasmem gór niedostępnych, z drugiej strony morzem; naturalne te szanse monarcha pełen pychy uzupełnił słynnym „murem chińskim“, za którym Chińczycy żyć mogli długo w dumnym odosobnieniu. „Barbarzyńcy“ jednak z czasem zorganizowali się w stowarzyszenia, których cechą jest nieustanna potrze-

ba ruchu, rozszerzenia granic swoich, a w następstwie tego spokój Chin został zakłócony. Ow ten ruch nieśmiały, wahający zrazu, rozpoczęty przed dwoma wiekami, wzmógł się w bieżącym stuleciu, wywołując gwałtowne starcia, których świadkami jesteśmy od lat pięćdziesięciu. Może dziś lub jutro nastąpi walka ostateczna.

Z jednej strony państwo ogromne, którego odrębności wskazaliśmy powyżej: ziemia bogactw pełna, mieszkańcy bardzo liczni, pracowici, wdrożeni w cywilizację o charakterze rodzinnym, wyróżniającym się prostotą, bez komplikacji naszego mechanicznego postępu, z pojęciami wszczepionymi wychowaniem, zalecającymi wykształcenie osobiste w celu osiągnięcia pokoju wewnętrznego i szczęścia na ziemi.

Z drugiej strony zaboreczy nacisk cudzoziemców: Japończyków, Europejczyków, Amerykanów północnych; groźby dyplomacji, nacisk wojskowy, ogarnięcie handlu, narzucanie przemysłu, wszystkie gorzkie pigułki obczyzny, ocukrzane pięknymi słówkami „cywilizacji“ i „postępu“.

W rzeczywistości, czego chcą cudzoziemcy? Czego domagają się rządy, z których każdy dąży do zdobycia przewagi nad innymi? Oddawna w Europie, a od wczoraj w Japonji i w Stanach Zjednoczonych rządy odczuwają dwie palące potrzeby: pierwszą jest żywienie przez eksport kosztem innych nadmiaru urzędników, żołnierzy, których zbytne nagromadzenie po większych miastach niemałym jest ciężarem. Drugą potrzebą jest zdobycie monopolu na rynkach zbytu dla wyrobów rzemieślników, przemysłowców, niezdolnych psychologicznie i fizjologicznie do wszelkiego innego zajęcia poza fabryką, do której przywykli z upodobania osobistego lub z praw dziedziczności; zastępów ludzi, którzy pozbawieni pracy, tworzą niespokojną gromadę, trudną do utrzymania w karchach. Te są główne sprężyny wrogiego działania Japonji, Ameryki, Europy przeciw Chinom.

Inna jeszcze napiera na nie siła, wywierająca jednocześnie wpływ na wszystkie narody, to siła kapitału, który nie znajdując dostatecznego obrotu dla siebie na miejscu, tam szuka lichwiarskich procentów, niezbytich na potrzeby wysokich finansistów i wielkich agentów prasy, mających w rękach najwięcej wpływowe dzienniki; są oni istotnymi kierownikami opinji i polityki krajów cywilizowanych, gdzie objawia się dążność zaborecza. Chiny żywić mają nadmiar ich ludności, niezdolnej do pracy; mają kupować nadprodukcję ich przemysłu, mają wysokie procenta opłacać ich kapitałom—oto czego rzeczywście chcą cudzoziemcy.

Ponieważ Chiny na to wszystko godzą się niechętnie,

ściągnęła im ta niechęć, jak wiadomo, wojny w celu uzyskania traktatów, ustępstw terytorjalnych, wolnych portów, swobodnej żeglugi po rzekach, narzucenia prób handlu, przemysłu, pożyczek i t. d. Chiny przechodzą obecnie krytyczną fazę niezdecydowania wobec znoszonych, a nie pożądanych przez nich przeobrażeń.

Zaczepony pierwszy rząd chiński uznał potrzebę zamienienia swojej żandarmerji i policji w armję obronną. Zakupił tysiące karabinów, setki armat, okręty wojenne, sprowadził instruktorów i pobudował arsenały. Od czasu wojny z Japonją pozostał zawiazek marynarki wojennej w Taku i Woosung, oraz 10,000 dobrze uzbrojonych żołnierzy w pobliżu Pekinu. Oto w kilku słowach, co mogłem sprawdzić o ważniejszych, zorganizowanych siłach wojennych Chin.

Lord Karol Beresford studjował pilnie armję i marynarkę chińską. Podaje zebrane cyfry. Ponieważ pragnie on, aby handel brytański kwitł w całym państwie, a rozwój jego wymagałby opieki wobec odpornego oddziaływania pewnych interesów lokalnych, dotkniętych współzawodnictwem cudzoziemskim, przeto oświadcza z góry, że „armja chińska nie jest dość silna do zaopiekowania się handlem brytańskim“, że prócz kilku portów traktatami objętych, niema tam dla niego bezpiecznych przystani. Wice-królowie przyznają, że wrazie rozruchów, do stłumienia ich nie posiadają dostatecznej siły. Nie trzymając się podziału na wojska mandżurskie i chińskie, streszczamy w ten sposób rezultat spostrzeżeń admirała angielskiego: armje północne, dowodzone przez książąt mandżurskich, powinnyby liczyć 170,000 ludzi. Każdy z nich dostaje porcję ryżu i trzy taele miesięcznie. Kosztuje to rząd od jednego do trzech milionów funtów rocznie. Oddziały wojsk mandżurskich, rozrzucone po całym państwie, nie są zależne od wice-królów.

Armja Chih-Li (wiadomości te zbierane przed ośmnastu miesiącami) pod dowództwem generała Yuan-Shi-Kai, liczy 7,400 ludzi, uzbrojonych w karabiny Mausera, sprowadzone z Niemiec. Posiada 10 baterji po 6 armat, od 1 do 10-cio funtowych pocisków. Jest to jedyne wojsko dobrze wyćwiczone na sposób europejski; generał Sung, który powinien mieć 20,000 żołnierza, ma ich tylko 10,000, rozłożonych w Kung-Kow, Chung-Ko-So i Shanhaikwan; karabiny Mauser'a, armaty Krupp'a, oficerowie Niemcy.

Generał Soon-Ching ma 7,000 ludzi w Lutań. Oficerowie Rosjanie. Komendantem tego oddziału wojska jest pułkownik Waranoff.

Generał Tung-fu-Sjan ma w pobliżu Pekinu 10,000 lu-

dzi, Mahometan, odważnych, dobrych strzelców, dobrze wyćwiczonych. Generał Nich dowodzi 13,000 ludzi w Tientsinie, karabiny Mausera, armaty Maxima, oficerowie Niemcy

W koszarach cesarskich, nazywanych obozem strzeleckim Pekinu, stało 10,000 ludzi dobrze uzbrojonych.

Armja mandżurska pod komendą generała Yi-Ketong, liczy od 8, do 15,000 ludzi.

Kawalerja mongolska około 100,000 ludzi wynosząca, jest kawalerją lenną, wiernie przywiązaną do dynastji i... umiejącą strzelać z łuku.

Wice-król Cheng-Che-Tong w Pu-Chang ma 500 dobrych żołnierzy i 6 armat Krupp'a. Reszta jego wojska, rozrzuconego po prowincji, figuruje tylko przy podnoszeniu żołdu.

Armja wice-króla Nanking'u liczy 20,000 ludzi fizycznie silnych: z nich 10,000 pilnuje fortów nad rzeką. Generał Li w Kiangsin ma 3,000 dobrych żołnierzy.

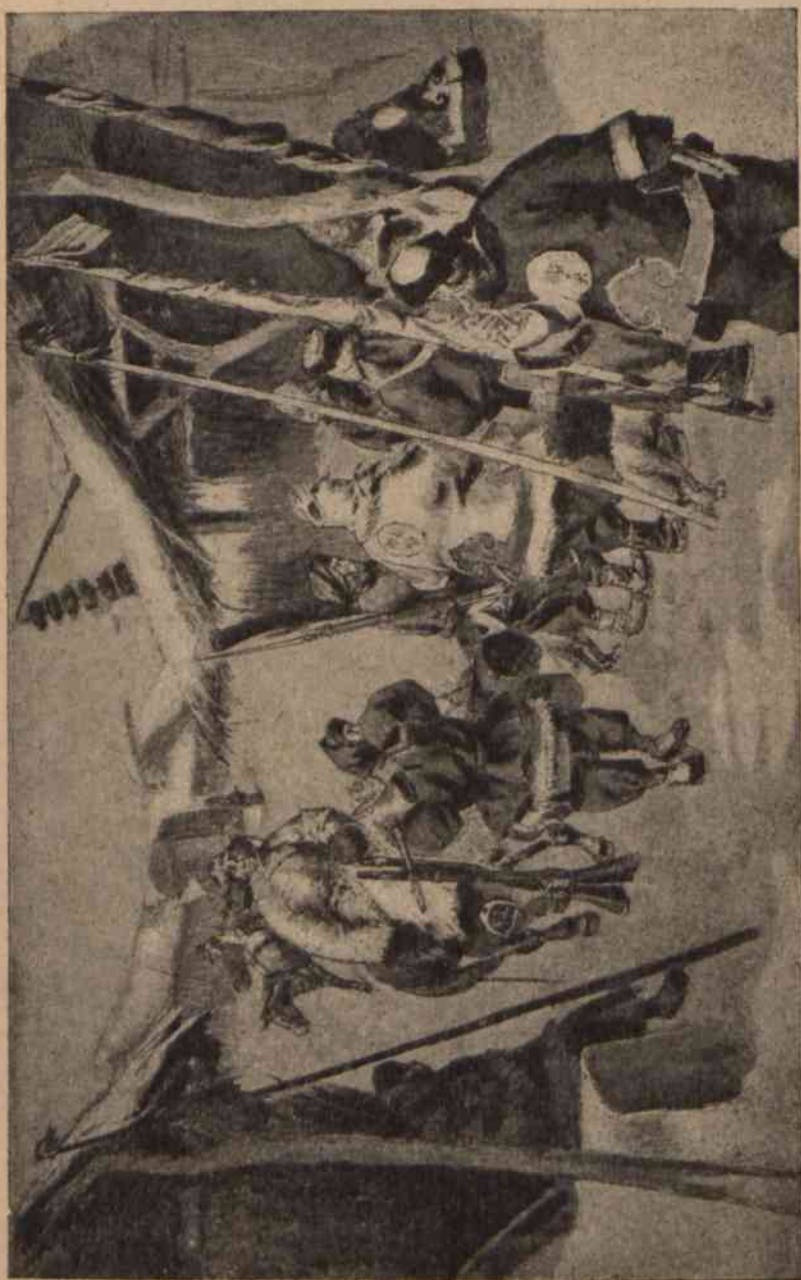
Wice-król w Fu-tcheu posiada 8,000 lichego wojska.

Wice-król w Kantonie, zdaniem admirała angielskiego, ma również źle wyćwiconą 20,000 armję. Część tego wojska jednak w czasie zajścia w Kow-Lon, trzymała w szachu żołnierzy angielskich z Hong-Kong. Po przeprowadzonych układach wice-król Kantonu zwrócił tę armję przeciwko Francuzom pod Kang-Chau-Van. Armja chińska ma karabiny czternastu wzorów.

W Nanking znajduje się w trzyklasowa szkoła wojskowa, której uczniowie należą do najlepszych rodzin. W pierwszej klasie płacą im 6 taelów, w drugiej 4, w trzeciej 2 taele miesięcznie. Uczy ich oficer Chińczyk, wykształcony przez niemieckiego oficera i mustre dobrze wykonywują. Lord Beresford, który tę szkołę zwiedzał osobiście, powiada, że ów zakład jest dowodem, do czego Chiny byłyby zdolne przy dobrej organizacji.

Marynarka składa się z dwóch eskadr:

Eskadra północna posiada: dwa pancerniki o 4,800 ton (Armstrong), trzy krzyżowce o 3,400 ton (niemieckie), jeden torpedowiec (niemiecki). Jest to ów sławny torpedowiec o czterech kotłach, o którym tyle mówiono przed trzema laty, najbardziej wydoskonalony statek morski w szerezeniu zniszczenia. Prócz niego pięć innych torpedowców. Eskadra południowa ma: sześć krzyżowców o 3,500 ton (niemieckie), jeden krzyżowiec o 1500 ton (angielski), cztery stare kanonierki angielskie o 400 ton i sześć dobrych torpedowców niemieckich. Prócz tego pewną liczbę starych statków wojennych, bardzo ciekawych do obejrzenia, ale bez pożytku



Wojśko chińskie.

ze swemi przedhistorycznemi armatami żelaznemi. Ładnie ubierają brzegi rzeki w Woosung i na tem koniec.

Najlepszym arsenałem chińskim był arsenał w Port-Arthur. Jest nim teraz jeszcze arsenał w Fu-tcheu, kierowany przez Francuza; następnie w Tientsin, w Shanghai, gdzie leją armaty, wyrabiają karabiny i naboje różnego rodzaju, w Nanking, w Hangang i w Kantonie.

Są dwie doskonałe szkoły marynarki, w Tientsinie i w Nankingu.

Wszystko to jednak, jak już wspominałem, stanowi dopiero obietnice na przyszłość, mimo ogromnych poniesionych już kosztów.

6. Kwestja monetarna. Poruszywszy kwestję wydatków, mówić muszę o monecie: o finansach, o fluktuacji kursów pieniężnych, o tem wszystkim, co należy dokładnie zbadać, gdy się chce mieć pojęcie o warunkach rozwoju jakiego ludu.

Pod względem monetarnym, to, co jest prawdą w Europie, nie jest prawdą w Chinach. Powinniśmy więc wystrzegać się twierdzeń absolutnych w zakresie warunków życia społecznego, w którym zasady ludzkich wyobrażeń i obyczajów różnią się w najwyższym stopniu, stosownie do środowiska swego. Stwierdzoną doświadczeniem u nas prawdą jest, że czynność handlowa pozostaje w bezpośrednim stosunku z rodzajem systemu monetarnego. W czasach komplikacji monet odmiennej w każdym miejscu wartości handel nie istniał, pozostawał w stanie uśpienia. Przekonajmy się teraz, jak jest w Chinach mimo ujednostajniającego wpływu Europejczyków.

Jednostką monetarną jest *tael*, ale tael nie jest monetą, tylko pewną zmienną wagą srebra, zależną od umowy, a regulującą wartość monety będącej w obiegu, piastra lub dolara z ich zdawkowemi szlakami dwudziestu i dziesięciocentymowemi w srebrze, — drobnej monety chińskiej (zwanej sapek), groszy cynowych, bronzowych różnych aljażów, a także srebra w sztabach i biletów bankowych. Potrzeba by zapisać wiele kart, wymieniając różne wartości taela. W zasadzie jest to jedna *uncja srebra*, uncja chińska, których 16 idzie na *katty*, a ten znowu jest setną częścią *pikula*. Pikul jednak różni się stosownie do miejsca i rodzaju przedmiotu, którego waga ma być obliczana. Traktatami uznany za tael urzędowy jest tael Kantonu, mianowicie 37,783 gr. Tael w obiegu w Shanghai jest 36,6 gr. Tael celny czyli Haikwan, uznany za miarodajny w stosunkach handlowych z cudzoziemcami, ma 98 setnych wartości taela Kantonu.

W całym państwie jest kilka setek odmiennych taelów, z różnicą, wahającą się od 3 do 10%.

W porównaniu z obcemi monetami, wartość taela średnio wynosi rubli 1 kop. 40, franków 3, 73, marek 3,03.

Różne miejscowości mają sztaby odmiennnej wagi; oto co o tem mówią kupcy pp. Bard, Tillot i Fisher: „Z pomocą tych sztab odbywają się większe tranzakcje. Służą za środek wyrównywający szalę owych tranzakcji dziennych. Interesy załatwiają się czekami, które bankierzy muszą realizować z pomocą sztab srebrnych i piastrow.

Bankierzy składają srebro w piwnicach, w skrzyniach po 60 sztab, przenoszonych z pomocą kulisów (tragarzy). To wyjaśnia, że gdy się ma czek do zrealizowania w banku chińskim, należność swoją odbiera się w transporcie, dostarczonym na plecach ludzkich“.

Można sobie zdać sprawę z komplikacji systemu konwersji taelów różnych miejscowości na sztaby, z których każda ma inną wagę i inną próbę. Nadto taksatorzy pewnej miejscowości nie uznają stempla taksatorów innych miast.

Te różnice, powtarzające się w każdej miejscowości, mogą przyprawić o anemię mózgową najbieglejszych matematyków.

Wszystkie te historie zmian doprowadzają do rozpaczy podróżujących po Chinach. Po kilku próbach zaniechałem wszelkiej kontroli. Woląłem strać bez migreny, niż strać z migreną.

Jeszcze gorzej, gdy od srebra przejdziemy do miedzi. Trzebaby zapisać całe tomy dla określenia sapeków i różnej ich wartości.

Bilety bankowe, wyobrażające taela, dolary i sapeki mają tem samem wartość zmienną.

Z podobnym systemem monetarnym tak skomplikowanym, przy najmniejszej zmianie wymagającym rachunków bez końca, w wielu krajach europejskich tranzakcje handlowe byłyby niemożliwe. Zupełnie przeciwnie dzieje się w Chinach. Ruch interesów w Londynie nie jest większym od ruchu w Kantonie, Shanghai i t. d. W całym państwie podróżnik spostrzega to samo zjawisko: handel bardzo ożywiony.

Charakteryzuje to dobrze ducha Chińczyków. Prawo daleko w przeszłość sięgającej dziedziczności obdarzyło ich umysł we władzę niemal instynktowną: szybkich kombinacji rachunkowych. Ta władza posłuży umysłom, nadającym kierunek w sprawach ważniejszych, do przyswajania sobie

naszej wiedzy. Doświadczenie dowodzi tego tak w arsenałach, o których mówiliśmy, jak w wyższych zakładach naukowych.

7. Finanse Poznanie finansowości chińskiej przedstawia tyle trudności, jeśli nie więcej, co poznanie chińskiego systemu monetarnego. Gdym pytał o wiadomości w tym względzie, rozrzuwającą była jednogodność zdań: w Hong-Kong, Kantonie, Shanghai, Hankau, Tientsinie, Pekinie, tak w legacjach, jak w bankach i yamen'ach. „Finanse chińskie... są bardzo skomplikowane; jeden człowiek tylko zrozumiał je w części: to konsul angielski Jamieson; postaraj się pan o jego dzieło“.

Dochód z ceł i podatków wynosi taelów . . 88,979,000.

To są dochody *wiadome*, które wpływają do kas cesarskich, z wyjątkiem jednak tego, co zbierają Europejczycy w służbie celnej, nikt nie wie, jakie są rzeczywiste wpływy. Przypuszczają ogólnie, że administracja podatkowa zatrzymuje dla siebie 80% tego co zbiera.

Przyczyną nadużyć jest to, że urzędnicy chińscy tak cywilni, jak wojskowi są bardzo nędznie płatni. Minister chiński w Pekinie pobiera 50 funtów rocznie. Dochody legalne podnoszą tę pensję do 200 — 250 funtów najwyżej.

Wice-król pobiera 100 funtów, a z dochodami legalnymi od 900 do 1000 funtów. Utrzymanie zaś jego, choćby na najskromniejszej stopie, kosztuje conajmniej od 10,000 do 16,000 funtów rocznie. Generał ma 400 funtów, a wydatki różnego rodzaju ogromne. Następstwa tego fatalne: przywłaszczanie sobie zebranych sum, zdzierstwa, łupieztwa... Mimo to jednak Chińczyk jest najmniej opodatkowanym obywatелеm na kuli ziemskiej.

Łatwo pojąć, że z takimi obyczajami (z jednej strony kradzieże urzędników, z drugiej niechęć Chińczyka opłacania wyższych podatków, niechęć gotowa zawsze za zbytniem podniecaniem objawiać się w buntach), położenie finansowe państwa chińskiego przestało być świetnem z chwilą, gdy stosunki z cudzoziemskimi narodami nałożyły na to państwo nieprzewidywane tradycyjne ciężary. Kiedy rząd chiński, nie posiadając rezerwowego kapitału, bez skarbu, zmuszony był u obcych zaciągnąć pożyczkę, ujrzał się zniewolony dać w zastaw część swoich stałych dochodów, to jest dochody celne. Aby bezpieczeństwo tego zastawu nie było uludne, musiał nawet ogólny zarząd administracji celnej powierzyć Europejczykom. Obecnie na zastaw tych pożyczek oddał nie tylko dochody celne, ale nawet dochody bogatych li-kinów.

Owoż pożyczki i poręczenia pochłaniają w zupełności cła i akcyzę, tak, że Chiny nie posiadają już żadnych pewnych dochodów na poręczenie nowej pożyczki. Kredyt ich wyczerpany. To fakt.

Następstwa tego ciekawe, jeśli chcemy zdać sobie sprawę z ewolucji czy rewolucji bliższej przyszłości. Dla kolei żelaznej Lu-Han poręczona pożyczka 4,000,000 fun. została lokowaną przez syndykat franko-belgijski. Otóż, gdyby Chiny udzieliły nowych podobnych koncesji, gdyby linje, jakie Niemcy, Anglicy, Amerykanie chcą dla grup swoich pozyskać, stały się przedmiotem pożyczek tego samego rodzaju na mocy istniejących traktatów, Chiny byłyby zmuszone udzielić tym emisjom nowych poręczeń. Ponieważ jednak zastawy wyczerpane, jakżeby spadła ich wartość, gdyby szerszy jeszcze przybrały zakres?.. O przeobrażeniu Chin pisze się wiele czezych artykułów.

Prędzej lub później musi nastąpić kosztem Chin ze tknięcie się „potęg“, gdy przestaną je zaprzętać wypadki obecnej chwili. W ten sposób jako najważniejsze w problemacie Chin, występują dane finansowe.

Zdaniem specjalistów różnych narodowości, należałoby do wszystkich dochodów państwa zastosować system kolekcyjny, stosowany w dochodach celnych, a wówczas znalazłyby się rękojmie potrzebne dla uruchomienia kapitałów.

Anglicy życzą sobie zaprowadzenia w Pekinie systemu stosowanego w Kairze. Gotowi nawet ofiarować w tym celu usługi swoje. Posłuchajmy lorda Beresford, najlepszego znawcy stosunków chińskich.

„Ogromna przewaga handlu Wielkiej Brytanji i stałość jej finansów, w połączeniu z powodzeniem jej reform gdzieindziej, upoważnia ją do ofiarowania Chinom pomocy swojej w przeprowadzeniu reform finansowych. Należy stworzyć właściwy wydział finansów; skoro na jego czele stanie Anglik, urzędnicy jego cudzoziemcy mieliby charakter kosmopolityczny, podobnie jak personel wydziału celnego“. Jak dojść do tego? W sposób bardzo prosty, utrzymują Anglicy, przemieszkujący w Chinach. W raporcie lorda Karola Beresford, czyta się, czego żądają kupcy z Hong-Kong: „...a little gentle pressure from Great Britain...“ (małego, *delikatnego nacisku* ze strony Wielkiej Brytanji).

Czy nie mają słuszności ci, którzy obawiają się udziału armat cudzoziemskich w przeobrażeniu Chin? „A little gentle pressure...“ Język angielski nadaje się do takich zgrabnych frazesów, po za którymi czuć... armaty.

Ponieważ w srebrze jest moneta chińska w obiegu

i w srebrze bywają ściągane podatki, a z drugiej strony wypłaty cudzoziemcom procentów od pożyczek i t. p., muszą być dopełnione złotem, w rozważaniu przeto kwestji chińskiej ogromną rolę gra zmiana kursów i spadek pieniędzy.

Od lat kilku cały handel azjatycki znajduje się w stanie przesilenia, z powodu spadania wartości srebra. Przesilenie to dotknęło zarówno Indo-Chiny, jak i Chiny. Piastr spadł o 40%, a jednocześnie sapek podniósł się w kursie.

Dziś złoto jest krwią narodów. Chiny w stosunkach międzynarodowych są słabe dlatego właśnie, że im zbywa na złocie, które, gdy zechcą, będą mogły produkować.

W następnym artykule rozważymy, jak dążą Chiny do zaprowadzenia w państwie nowego przemysłu, kolei żelaznych, wielkiej eksploatacji górniczej i do przekształcenia ekonomicznego przez reformę wychowania.

(dok. nast.).

Rower na usługach wojny.

Rower, tak dziś znany i rozpowszechniony środek lokomocji, służył pierwotnie jedynie dla przyjemności: był to tylko przyjemny i zdrowy sport, nie więcej. W miarę doskonalenia się rowerów, zwróciły na sport ten uwagę sfery wojskowe. Rower posiadał tyle przymiotów, stawiających go wyżej od konia, że zastosowanie go do celów wojskowych stało się rzeczą niezbędną. Pierwsze próby, dokonane w czasie wielkich manewrów wojskowych we Francji i w Anglii, dały rezultat, który przeszedł wszelkie oczekiwania. Od r. 1890 wszystkie niemal państwa cywilizowane posiadają specjalne oddziały wojskowe na rowerach. Czynność cyklistów wojskowych obejmuje głównie służbę, którą dotąd pełniła konnica, a więc badanie terenu, przewożenie depesz i rozkazów, obsadzanie dalej położonych punktów, niepokojenie taboru nieprzyjacielskiego, przez częste atakowanie go, co zmusza do zatrzymywania się, dalej przecinanie i zakładanie komunikacji telegraficznej i telefonicznej w polu i t. d. Szybkość i sprawność ruchów cyklisty, spokój, z jakim je wykonywa i wreszcie okoliczność, że nie potrzebuje wozić z sobą żywności dla swego „rumaka“, stawiają go w wszystkich tych wypadkach znacznie wyżej od kawalerzysty.

Mimo tylu bijących w oczy korzyści z zastosowania roweru do celów wojskowych, nie było dotąd sposobności przekonania się o nich w polu, podczas wojny. I dopiero tocząca się obecnie wojna południowo afrykańska wzbogaciła tę gałąź służby wojskowej całym szeregiem nowych doświadczeń, tem cenniejszych, że Anglia była właśnie pierwszą, która zastosowała rower do służby wojskowej i która

nad udoskonaleniem jego w tym kierunku najgorliwiej pracowała.

W armji angielskiej niema wprowadzie specjalnych oddziałów cyklistów wojskowych, jest tylko przy każdym



Sierżant Rule podnosi ранnego i...



uwozi go z pola bitwy

pułku pewna liczba ordynansów na rowerach, brak ten jednak właśnie dał szerokie pole do popisu ochotnikom, którzy z całym zapałem poświęcają się tej gałęzi służby wojskowej, dokonywując coraz to nowych doświadczeń w dziedzinie zastosowania roweru do celów wojskowych. Oddziały cyklistów w angielskich pułkach ochotników liczą ni mniej ni więcej, jak 4,000 ludzi; pełnią oni służbę nie tylko w piechocie, w charakterze ordynansów, ale i w ambulansach, a nawet w artylerji, składającej się z lekkich, szyb-

kostrzelnych dział Maksima, umieszczonych na trzykołowcach. Ci właśnie cyklisci angielscy stwierdzić mają szeregiem doświadczeń na wojnie, czy rezultaty, osiągnięte podczas manewrów, nie zawiodą oczekiwań.

Angielscy ordynansi wojskowi mają mundury z brunatno-żółtego drelichu; rowery ich są tej samej barwy, ażeby o ile możności jak najmniej odbijali od terenu południowo-afrykańskiego, przez co utrudniają strzelcom boerskim celność strzałów. Drogi w Natalu, w kolonii Przylądka i w Rzeczypospolitej Orańskiej są wprawdzie, w porównaniu do europejskich, znacznie gorsze, w każdym jednak razie nie tak złe, ażeby zupełnie uniemożliwiały użycie roweru. Przed wojną sport cyklowy rozwinięty był we wszystkich miastach, zwłaszcza w Ladysmith i w Johannesburgu. Boerowie nie omieszkali rozwinąć i udoskonalić u siebie tego pożytecznego sportu; cały zastęp wybornych cyklistów, członków towarzystwa w Johannesburgu, którzy zdobywali już niejednokrotnie nagrody na pierwszorzędnym torach europejskich, oddał się obecnie na usługi ojczyźnie. Pełnią oni służbę dobrowolnie, wojsko Boerów nie posiada bowiem oddziałów cyklistów wojskowych.

Cykliści wojskowi nadają się najbardziej do służby wywiadowczej, jako patrole i do niepokojenia nieprzyjaciela. Angielscy cykliści wojskowi wyćwiczani są w strzelaniu

z roweru, bez potrzeby zsiadania z stalowego rumaka. Mają przy sobie długie karabiny, aczkolwiek, zdaniem ludzi fachowych, nadawałby się tu raczej mały karabin, mniej bowiem w czasie jazdy zawadza, a i użycie jego łatwiejsze. Angielski ochotnik nie może się jednak tak łatwo odzwyczaić od długiej strzelby.



Ordynanse Boerów.

Do jakiej zręczności dojść można w używaniu broni w warunkach bardzo nawet trudnych, uzmysławiają najlepiej rysunki: „Strzelanie z roweru“. Już samo strzelanie z roweru, bez zsiadania, przedstawia niezwykle trudności, a cóż dopiero mówić o akrobatycznych iście sztukach, jak ta, którą przedstawia rysunek 2-gi: cyklista sadowi towarzysza, który miał nieszczęście spaść z roweru, na kierowniku i ucieka z nim, podczas gdy siedzący na kierowniku strzela przez jego ramię, kryjąc w ten sposób odwrót.

Ochotnicy angielscy doszli przez ciągle ćwiczenie się w podobnych sztukach niemal do artyzmu. Czy się sztucz-



Strzelanie z roweru.

ki takie udać mogą w polu, w ogniu nieprzyjacielskim — rzecz wątpliwa. Jest to tylko zwyczajna brawura, która się nawet raz kiedyś, w szczęśliwych okolicznościach udać może, na szerszą jednak skalę pozostanie niewykonalna.

To samo powiedzieć można o produkcjach, których bohaterem jest sierżant Rule.

W praktyce przyjąć trzeba jako zasadę, że cyklista nie jest w stanie podczas ruchu ani strzelać, ani wogóle wykonywać jakiegokolwiek czynności, wymagającej nadmiernego wyłożenia sił. Pistolet więc repetjerowy lub

rewolwer stanowić będą jedyną broń, jaką się cyklista posługiwać może w czasie pełnienia służby czy to wywiadowczej, czy ordynansowej. Broni tej używać może w razie napadu i strzelać, bez potrzeby wypuszczania z rąk kierownika. Pałasz jako broń jest zupełnie wykluczony, ani bowiem pojedynczy cyklista, ani nawet cały oddział cyklistów nie może się wdawać w walkę na białą broń, musiałby bowiem przede wszystkim zsiąść z roweru i narazić się na utratę jego. Wyższość i bezpieczeństwo cyklistów polegają głównie na

szybkości ruchów i spokoju, z jakim je wykonują; pałasz utrudniałby ruchy cyklisty, i byłby nadto niejednokrotnie przyczyną zdradzenia jego obecności.

Inaczej się ma rzecz z większymi oddziałami cyklistów, zdolnymi nie tylko do akcji zaczepnej, ale i do skutecznej obrony przeciw piechocie i konnicy, zwłaszcza jeżeli zaopatrzone są w szybkostrzelne działo Maxima. Działo takie osadzone jest albo na dwóch bardzo silnych kołach z obrotami gumowymi i muszą je z powodu ciężaru ciągnąć dwaj co najmniej cykliści, albo też ciągnie je trójkołowiec, poruszany motorem. Sposób drugi jest wygodniejszy, ale nie wszędzie, a zwłaszcza w południowej Afryce, praktyczny; trudno bowiem wozić z sobą dostateczny zapas nafty lub benzyny, a dostać ich w kraju, gdzie czasem 100 klm. przedziela jedno miasto od drugiego, nie tak łatwo. Użycie całych oddziałów cyklistów jest wogóle tam, gdzie drogi bite ustają, bardzo utrudnione; czynność ich ograniczać się więc musi do głównych arterji komunikacyjnych, w pobliżu miast, fortów i twierdz, gdzie oddać mogą bardzo dobre usługi.

Przez artylerję cyklistów rozumie się, rzecz prosta, jaknajłżejsze działo Maxima, wyrzucające pociski wielkości karabinowych, nie jest to więc artylerja w prawdziwem słowa tego znaczeniu. Już sam transport amunicji sprawia trudności niemałe; każdy cyklista wiezie pewien jej zapas w torbie, przytwierdzonej do roweru. Zapas ten jednak, już choćby ze względu na ciężar pocisków, musi być bardzo niewielki, wystarczający zaledwie na ogień kilkunutowy. Z tych względów działalność artylerji na rowerach ograniczać się musi do obszaru bardzo niewielkiego i leżącego w pobliżu magazynów artyleryjskich. Mimo to nie można zapoznawać jej wartości, w niektórych zwłaszcza momentach wojny, jak wykonanie szybkiego ruchu naprzód, zagrożenie linji komunikacyjnej nie-



Strzelanie z roweru.

przyjaciela, wzmocnienie zagrożonej pozycji, lub obrona drogi i t. p.

Większe oddziały cyklistów wojskowych najlepiej nadają się do wykonywania nagłych podjazdów do kraju nieprzyjacielskiego. Szybkie i w ciszy wykonywane ruchy umożliwiają im daleko lepiej, aniżeli konnicy niespodziane zaatakowanie wysuniętej pozycji nieprzyjacielskiej i cofnięcie się, zanim pomoc nadejdzie, zdobycie taboru nieprzyjacielskiego, przecięcie komunikacji telegraficznej, wysadzenie w powietrze mostu lub wiaduktu kolejowego, słowem wy-



Ordynans angielski.

rzącenie znacznych szkód przy szczupłych środkach. Jedyną słabą stroną czynności tych jest, że trzymać się muszą ściśle arterji komunikacyjnych. Dobry cyklista na dobrym rowerze potrafi wprawdzie i złą drogą przejechać, a nawet przez zorane pole, czynność ta jednak odbywać się może tak powoli, połączona jest z takim wyłożeniem siły i z takim niebezpieczeństwem zepsucia roweru, że się środka tego chwycić wypadnie w ostatecznej chybą potrzebie.

Ochotnicze oddziały cyklistów angielskich posiadają również, jak to już na wstępie zaznaczono, oddziały am-

bulansowe, które pod znakiem „Czerwonego krzyża“ docierają z łatwością aż do linii bojowej, unosząc ztamtąd znacznie-
szych rannych, jak wyższych oficerów. Między czterema cyklistami, z których dwaj przedni i dwaj tylni mają rowery spojone wzajemnie żelaznym drągami, rozpięte jest płótno żaglowe, stanowiące elastyczne i nie trzęsące łożo dla ran-
nego. O transporcie rannych w większej ilości nie może być tu, rzecz prosta, mowy, ambulanse takie przeznaczone są

jedynie dla przewożenia rannych, na których szczególnie zależy, jak generałów i wogóle wyższych oficerów.

Mimo niezaprzeczonych korzyści, jakie rower oddać może na usługach wojny, posiada on jedną wadę, która wartość jego znacznie obniża, a mianowicie niemożność użycia go w okolicach, gdzie niema dróg dobrych i w okolicach górskich. Bo i cóż ma począć oddział cyklistów, albo poje-



Francuzcy cykliści wojskowi.

dyńczy cyklista, kiedy, zepchnięty z drogi, znajdzie się nagle w okolicy górzystej, a w Afryce południowej o to nie trudno? O tej ewentualności w Anglii nie pomyślano wcale. Cykliści angielscy zmuszeni są na wypadek, gdy ich nieprzyjaciół napiera, zostawić rowery na jego pastwę.

W Francji i Ameryce natomiast zaradza choć w części

tej smutnej ewentualności użycie roweru składanego. Francuzki sztab generalny pracuje już od szeregu lat bardzo gorliwie nad przystosowaniem roweru do służby w polu; dzięki zachodom majora Gérarda, posiada armja francuzka od r. 1897 począwszy 25 oddziałów cyklistów wojskowych, nie licząc pełniących służbę ordynansową. Oddziały te zaopatrzone są w rowery składane, pomysłu Gérarda. Rower taki, wagi 14 klg., może być przy pomocy kilku naciśnień w ciągu niespełna minuty złożony, poczem żołnierz umieszcza go bez trudności na plecach, na miejscu tornistra. W chwili, gdy oddział znajdzie się na złym gruncie, lub też



Amerykańscy cykliści wojskowi.

zmuszony jest zboczyć z drogi, rozlega się komenda: Rower na plecy! Żołnierz składa rower, umieszcza go na plecach i oddział cyklistów zamienia się w zwyczajny oddział pieszy.

Mimo niezaprzeczonych przymiotów, jakie posiada rower składany, nie brak i poważnych zarzutów, które przeciw niemu przemawiają. Rower taki musi być z samej natury rzeczy bardziej skomplikowany, daleko więc łatwiej narażony jest na uszkodzenie; przytem konstrukcja jego wymaga, ażeby ciężar cyklisty spoczywał na osi tylnego koła, co jest bardzo niekorzystne.



Sanitarny oddział cyklistów.



Cykliści z działem Maxima bronią drogi.



Oddział cyklistów z działem Maxima.

Prócz armji francuzkiej tylko amerykańska zdecydowała się na wykonanie doświadczeń z rowerem składanym. Wprawdzie pułkownik Baden-Powell, tak często podczas wojny transwaalskiej wspominany dzielny obrońca Mafekingu, obmyślił rower składany do użytku cyklistów wojskowych, angielski sztab jeneralny nie bardzo się jednak spieszy z dokonaniem prób. Nazwał on rower swego pomysłu „Tripartite“, rozkłada się bowiem po wyjęciu kilku sztyfcików na 3 części.

Amerykański rower składany, pomysłu Ryana, ma tę wyższość nad francuzkim, że składać się i rozkładać daje w oka mgnieniu, za jednym naciśnięciem na sprężynę, bez wyciągania jakichkolwiek sztyftów, klamer i t. p. Dotąd jednak nie ukończono jeszcze doświadczeń z nowym rowerem i obecnie w amerykańskim wojsku używane są koła rozmaitych systemów i konstrukcji.



Oddział cyklistów z działem Maxima na trycyklu.

W armji niemieckiej każdy bataljon posiada czterech cyklistów; w ostatnich latach formowano na czas manewrów specjalne oddziały cyklistów, a doświadczenia z nimi dały wynik zupełnie zadawalający.

Doświadczenia jednak i próby najstaranniejsze nawet dokonywane w czasie pokoju, nie są w stanie kwestji tej ostatecznie rozstrzygnąć. Zrobić to może tylko wojna. Attachés wojskowi państw europejskich, przyłączeni do armji angielskiej, operującej w Afryce południowej, obserwowali niezawodnie z wielką uwagą nie tylko działanie pocisków z karabinów Mausera i naboju lyditowych, ale i działalność cyklistów wojskowych.

D. L.

Bohaterowie Niagary.

Do najwspanialszych widoków natury należą wodospady. Unoszą się nad niemi turyści, podziwiają badacze, opiewają poeci. Żaden jednak nie sprawia takiego wrażenia, jak spadek Niagary, największy na świecie, a obok potęgi pełen niewystłowionego piękna, dziwnego uroku. Imponujący ten obraz wywiera zwykle na widza wpływ magnetyczny, wywołuje poczucie niemocy ludzkiej wobec sił wyższych, przykuwa wzrok, obezwładnia istotę.

W niektórych jednak ludziach tkwi wrodzona jakaś zuchwałość, pchająca ich do czynów, na pozór niemożliwych i do zużywania sił swoich na dokonanie przez siebie samych wymyślonych, bardzo trudnych i żadnej korzyści ani im ani światu nie przynoszących przedsięwzięć, dla zadowolenia jedynie uczucia, jakie daje przeświadczenie o wyższości sił fizycznych. Zuchwałość ta w połączeniu z wygórowaną ambicją, żądzą rozgłosu i widokami mniej lub więcej zyskownego zarobku wytwarza owych „bohaterów nowoczesnych,” tak dziś częstych; jedni z nich odbywają drogę z Paryża do Petersburga w taczkach, lub z New-Yorku do Liverpoolu na małej łodzi, drudzy wędrują przez Europę wszerek i wzdłuż na szczytach, inni zdobywają rekord pięciodniowy na rowerze, wytrzymują głód 40-dniowy, a jeszcze inni posyłać się każą w pakach, jak towar, z jednego końca świata na drugi, krótko mówiąc, dokonują czynów, dotychczas uważanych za niemożliwe, które wywołują krótkotrwałą sensację, tworzą bohaterów chwili, społeczeństwu jednak ani odrobiny korzyści nie przynoszą.

Do rzędu takich ludzi należą również „bohaterowie Niagary,” z którymi czytelników zaznajomić pragniemy. I aczkolwiek nie są to bohaterowie w szlachetnem słowa tego znaczeniu, bo nie kierowa-

ty nimi jakieś wyższe ideały ludzkości, a tylko żądza rozgłosu i zysków, to jednak odwaga ich, zuchwałość i pogarda śmierci wywołują taki podziw, że już choćby dlatego warto ich bliżej poznać.

Po wielkiej równinie, wśród gęstych borów, toczy swe wody rzeka, jedyna w swym rodzaju na kuli ziemskiej. Szeroka jak dwa razy Wisła, rzeka cała mierzy zaledwie kilka mil długości.

To *Niagara*, „Onyakara“ czyli „Woda piekielna“ w obrazowym narzeczu Irokezów, dzikich Indjan, do niedawna jeszcze panów tej ziemi.

Za czasów czerwonoskórych wojowników inaczej wyglądała cała okolica. W dziewiczych lasach, gdzie promień słońca wdrzeć się nie zdołał, drzymał zwierz dziki i nie mniej dziki człowiek znajdował schronienie. Ciszę tych borów zakłócał wciąż tylko szum wód spienionych i głuchy łoskot wodospadu. Słysząc go było o mil parę — świadczy ojciec Hennepin, pierwszy z przedstawicieli „błędnych twarzy,“ jaki ujrzał ów dziw nad dziwami. Czcigodny jezuita śnać musiał być przejęty wspaniałością spadku, skoro wysokość jego ocenia na 200 metrów, gdy w istocie wynosi ona tylko 50.

Czemu zawdzięcza Niagara taką wód obfitość i taką kataraktę? Oto jeziorom słodkiej wody, wielkim jak morza, których wody przelewa; mianowicie z jeziora Erie rzuca się do Ontario.

Tak, rzuca się ona w całym znaczeniu. Już wypływając z jeziora Erie zdradza rzeka niepokój wielki: biegnie wartkim pędem, wiruje, pieni się coraz bardziej, w podskokach i wytryskach omija głazy, wreszcie strumieniem na kilometr (wiorstę) szerokim zwała się w przepaść. A dalej? W głębi odmet, w górze pył wodny, którego obłoki wznoszą się ponad lasy, po za tem wiry szalone, aż nakoniec w pobliżu celu — Ontario — rzeka uspakaja się powoli, rozlewając za to wszczególnie.

Zanim „blade oblicza“ zawitały w te strony, dziwny panował tu obyczaj wśród ludzi. Co roku składali tu ofiarę okrutni Indjanie. Najpiękniejszą dziewczicę w bieli, ubraną



Kapitan Webb wiry, w których utonął.

w kwiaty, puszczano przy pełni księżyca w wątlęm czółenku na spienione nurty; śpiewy i tany towarzyszyły tej uroczystości. Legendy o strasznym Duchu Niagary mają więc podkład rzeczywisty a tragiczny.

Pomiędzy jeziorami Erie i Ontario istnieje zaporą, głąz kilkumilowy.

Niegdyś, za czasów przedhistorycznych, Niagara spadała wprost do jeziora Ontario. Obecnie spadek cofnął się o 12 kilometrów, woda bowiem splukuje i rujnuje skałę. Geologowie obliczyli nawet, jak prędko wodospad cofnie się aż do jeziora Erie i wtedy istnieć przestanie; ma to być za jakieś



Robert W. Flack.

40,000 lat. Być może jednak, że ludzkość, jak nie widziała powstania wodospadu, tak nie zobaczy jego końca...

Jakże wygląda dzisiaj spadek Niagary?

Sam on nie zmienił się od czasów czerwonoskórych, ale otoczenie jego ucierpiało srodze. Dzikich zgładzono, lasy przetrzebiono, brzegi rzeki związane żelaznemi mosty, ba, nawet pod wodospadem urządzono przejście dla żądnych wrażeń turystów. Wszystko to niewiele ujęłoby uroku Niagarze; lecz, o zgrozo — na ścianach z obu stron rzeki pstrzą się dzisiaj olbrzymie reklamy: mydła, czekoladę, wódkę, za-



Niagara, spadek kanadyjski (Horse Shoe).

chwalają afisze! Z hukiem wodospadu łączy się turkot maszyn, od Niagary bowiem odjęto już kanałem niejeden potok i zaprzężono do młynów obracania. Prawda, że z tych młynów czyli turbin ludzie mają pożytek, bo wszystkie okoliczne fabryki i osady mają siłę roboczą, światło i koleje elektryczne na koszt wody, prawda, że na ogłoszeniach zarabia przemysł, ale majestat Niagary maleje, piękno zanika.

To także prawda, smutna prawda dla miłośników wspaniałej przyrody!

Ale powróćmy do samej Niagary.

Rzeka tuż przed wodospadem dzieli się na dwa koryta, pośrodku niej bowiem wznosi się wyspa zadrzewiona, Goat Island. Węższe koryto czyli *amerykańskie* płynie równiej i spada gładko, szersze *kanadyjskie* wiruje bardziej i skręca tak, iż próg skalny katarakty tworzy wygięcie, z kąd nazwa *Horseshoe Fall* (spadek podkowiały).

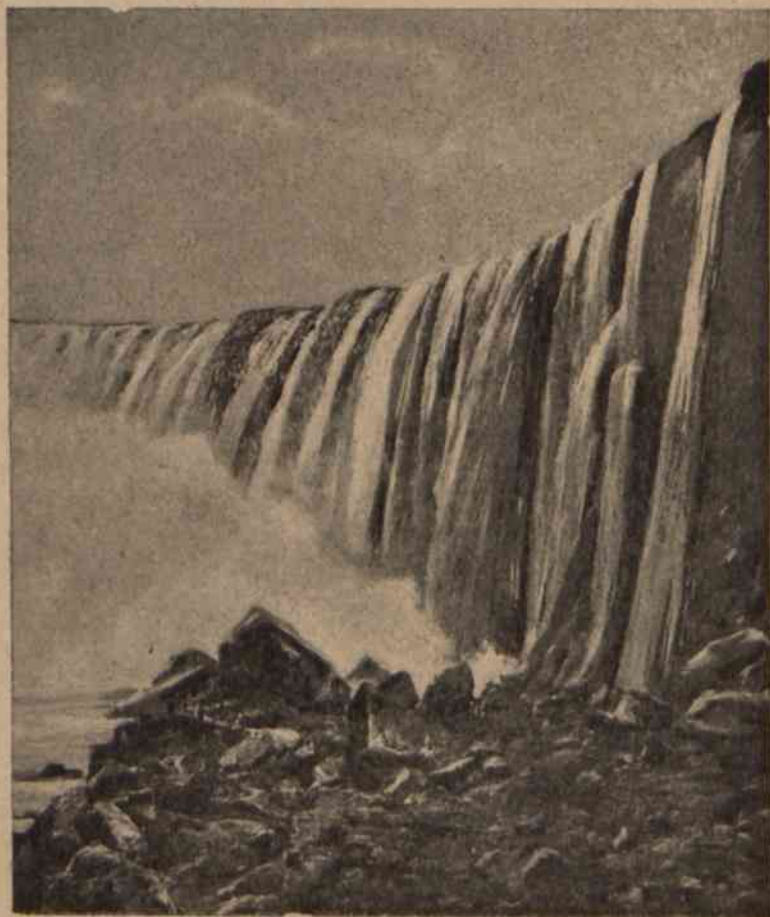
W pewnej odległości, poniżej wodospadu zwęża się Niagara znowu do szerokości 300 metrów,



Walter G. Campbell.

poczem wśród wysokich na 100 m. skał skręca nagle na lewo, tworząc straszne wiry i prądy, znane pod nazwą „Whirlpool-Rapids.“ Olbrzymie masy wody piętrzą się tu, jak walczące olbrzymy, ścierając się wzajemnie na proch; dotąd raz tylko udało się okrętowi „Maid of the Mist“ (Dziewica mgły) przebyć szczęśliwie te wiry i wylądować poniżej, pod miasteczkiem Lewiston, gdzie rzeka toczy się znowu korytem, szeroki na 2700 m.

Było to w r. 1861. Istna legenda, przybrana w pełną grozy szatę, oplotła pierwszą tą podróż, o której opowiadano wstrząsające szczegóły. Nikomu jednak nie przyszło do głowy pójść za tym przykładem. I dopiero w lecie roku 1883



Niagara, spadek amerykański.

przebiegła całą Amerykę wieść nieprawdopodobna. Anglik *kapitan Webb*, mistrz w pływaniu, pokazać chciał światu całemu, że przepłynie straszne wiry, na co dotąd nie odważył

się żaden śmiertelnik. Wieść ta, aczkolwiek brzmiała nieprawdopodobnie, przyjęta została z niebywałym entuzjazmem nie tylko przez koła sportowe, ale i przez szerokie warstwy społeczeństwa. Robiono zakłady za i przeciw, spierano się, kłócono, kapitan Webb jeszcze przed przybyciem do Ameryki stał się bohaterem chwili. Ekscentryczne Amerykanki prześcigały się w wynurzaniu uczuć swoich zuchwałemu Anglikowi, żadna jednak nie odradzała mu niebezpiecznego przedsięwzięcia. W dniu 25 lipca 1883 r., wyznaczonym na popis, dziesiątki tysięcy ciekawych zaległy brzegi Niagary na długości kilku mil.

O godzinie 4 i pół pp. wskoczył kapitan Webb w pobliżu wiszącego mostu do wrzącej otchłani. Minął szczęśliwie pierwszą falę wśród ogłuszających okrzyków zgromadzonych tłumów, poczem znikł pod wodą. W jednej chwili cisza grobowa zaległa wśród hałaśliwych tłumów; dziesiątki tysięcy ludzi z oczyma, utkwionemi w punkt, gdzie znikł śmiały pływak, oczekiwały z zapiętym oddechem, rychło li woda go wyrzuci; napróżno, porwany strasznym wirem, zniknął na zawsze. Przeszukano brzegi i samą rzekę; na czwarty dzień dopiero wyrzuciła woda zwłoki poniżej Lewiston. Pierwszy bohater Niagary życiem przypłacił plan swój zuchwały.

Smutny wynik pierwszej próby nie zniechęcił śmiałków. Zagadnienie, raz postawione, nęciło zuchwałe umysły. Rozwiązać je postanowił w trzy lata później w sposób, któremu nie można odmówić pewnej oryginalności, bednarz z Filadelfji niejaki *Charlisle D. Graham*. Zrobił beczkę, wysokości 2 m., obciążoną z jednej strony tak, że utrzymywała się na wodzie w pozycji stojącej. Z wierzchu beczka była, naturalnie, przykryta. Wewnątrz beczki rozpięty był rodzaj siatki w ten sposób, że siedzący na niej podróżny nie uderzał o ściany beczki. W niedzielę popołudniu, 11-go lipca 1886 r. wsiadł Graham do beczki i dotarł w ciągu 35 minut bez szwanku do Lewistonu. Był bohaterem dnia.

Powodzenie rozzuchwaliło go do tego stopnia, że już 19 sierpnia tegoż roku przedsięwziął nową podróż przez „Whirlpool-Rapids,” tym razem z głową wystającą ponad be-

czkę. I tym razem podróż się udała; dn. 15-go czerwca 1887 r. odbył trzecią, 25-go sierpnia 1889-go r. czwartą wycieczkę. Każda przysparzała mu rozgłosu i dużo gotówki. Prasa amerykańska sławiła go jako zwycięzcę Niagary.

Już po pierwszej jednak podróży groziło mu niebezpieczeństwo, że będzie musiał palmę zwycięstwa odstąpić innemu. Był nim policjant z Bostonu, nazwiskiem *W. J. Kendall*. Jeżeli *Graham*—myślał sobie—może szczęśliwie przepłynąć wir z głową, wystającą z beczki, dlaczegożbym ja nie mógł przepłynąć go bez beczki, jeżeli się tylko potrafię utrzymać na powierzchni wody? Dnia 22-go sierpnia 1886 r. przepłynął, w ubraniu korkowem szczęśliwie wiry.



Charles D. Graham.

Podróż ta, wykonana bez przygotowania i bez reklamy, nielicznych tylko miała świadków; mimo powodzenia, nie miał śmiały policjant odwagi próbować drugi raz. Dość strachu napędziła mu pierwsza próba. *Kendall* pozostał w ten sposób nieznany, nieuszczipając ani trochę rozgłosu *Grahama*.

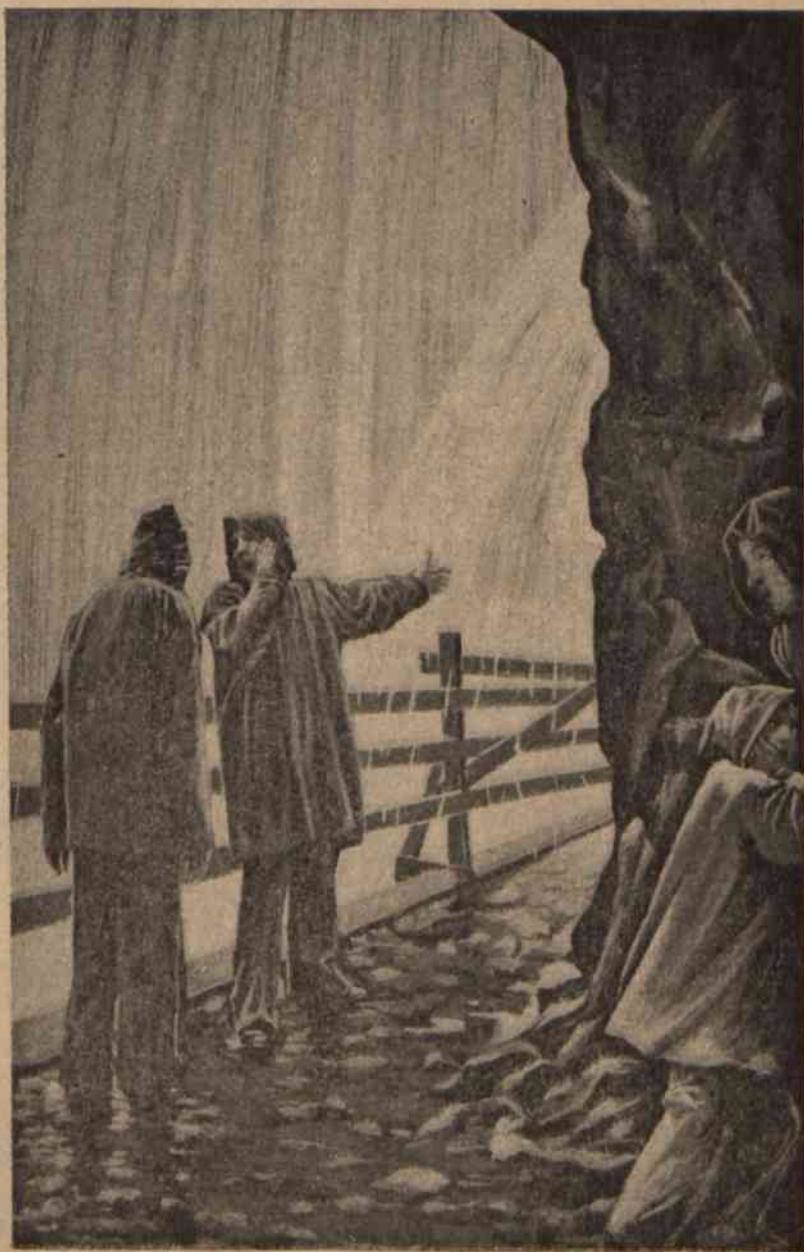
W tym samym roku odbyła się jedna jeszcze ciekawa podróż przez wodospad w beczce. Wykonał ją *George Hazlett* wspólnie z narzeczoną swą, miss *Sadie Allen*. Była to w każdym razie bardzo oryginalna, iście amerykańska podróż po-

ślubna. Skończyła się w pobliżu największego wiru, bez tych wstrząsających chwil, jakie przeżyli inni podróżni, i ciekawą jest tylko z tego względu, że miss Allen była jedyną kobietą, która brała udział w „sporcie niagarowym.“

Podróż w becze przestała już interesować, musiano pomyśleć o czemś nowem. Początek w tym kierunku dał Charles A. *Percy*, z powołania stelmach, który postanowił dokonać niebezpiecznej podróży w łodzi własnego pomysłu. Łódź ta, długości 5 m., a szerokości $1\frac{1}{2}$ m. miała w środku siedzenie do wiosłowania, a z przodu i z tyłu wielkie skrzynie napelnione powietrzem, które zapobiedz miało zatonięciu. W łodzi tej puścił się *Percy* 28-go sierpnia 1887 r. przez Whirlpool-Rapids. Podróż udała się szczęśliwie. Gdy jednak w cztery tygodnie później wyruszył powtórnie w towarzystwie Williama Dietricha, omal obaj śmiałości swej nie przepłacili życiem. Wir nie chciał z początku puścić łodzi, wciągając ją ciągle, mimo energicznych wysiłków obu podróżnych; gdy wreszcie dostali się w spienione fale poniżej wodospadu, łódź wywróciła się, skrzynie z powietrzem napęły się wodą, i obaj śmiałkowie ledwie z życiem ujść zdołali.

Było to w każdym razie zwycięstwo; aczkolwiek niezupełne, stwierdziło jednak, że i na łodzi, przy sprzyjających okolicznościach, przepłynąć można wodospad. Próba *Percy*'ego miała niezaprzeczenie także stronę praktyczną, zachęcała bowiem do obmyślenia łodzi, która, będąc w stanie oprzeć się potężnym uderzeniom falmorskich, oddać by mogła wielkie usługi jako łódź ratunkowa. Ten, któremu by się to udało, zyskałby sławę i majątek. *Percy* zbudował niezwłocznie nową łódź, w której 16-go września 1888 r. przepłynął szczęśliwie do Lewistonu.

Powodzenie jego spędzało sen z powiek Roberta W. *Flacka*, mieszkańca Syrakuz w Stanie New-York. Zbudował on łódź własnego pomysłu, który trzymał w największej tajemnicy, a o której twierdził, że nie da się zatopić i że oprzeć się zdoła najsilniejszym nawet falom. Miał on zamiar wynalazek swój po pierwszej szczęśliwej podróży opatentować,—roił o sławie i bogactwach. Łódź swą nazwał „Phantom“—



Przejście pod wodospadem.

(urojenie). Nazwa ta była złym znakiem, pomysł był rzeczywiście tylko urojeniem, tak jak i nadzieje wynalazcy; podróż próbna zakończyła się bardzo tragicznie. Percy i Flack zrobili zakład o przebycie Whirlpool-Rapids. Wywołać to musiało niebywałą sensację, sprowadzić tłumy ciekawych i obficie napełnić kieszenie śmiałków. Percy wyzwał Flacka publicznie za pośrednictwem dzienników, Flack wyzwanie przyjął.

Znawcy i życzliwi ostrzegali Flacka przed awanturniczą wyprawą, łódź jego bowiem nie budziła wcale zaufania, on jednak, przekonany silnie o dobroci swego pomysłu, nie dał się odstraszyć. Dnia 4 lipca 1888 r. odbył podróż próbną, której z brzegu przypatrywała się żona z dzieckiem, w otoczeniu grona przyjaciół. W pierwszym zaraz wirze łódź zanurzyła się dwa razy, po chwili jednak, jak przewidywał, wydostała się na powierzchnię. Ponieważ, jak to czynią grenlandczycy w swoich kajakach, przywiązał się mocno do siedzenia, nie wyleciał z łodzi, mimo że fale rzucały nią, jak łupiną orzecha. Lecz ta właśnie okoliczność stała się dlań zgubą. Do przebycia miał jeszcze dwie olbrzymie fale, poczem wpływał już na spokojniejszą wodę. Pierwsza wyrzuciła wysoko w powietrze łódź, która spadając w pozycji pionowej zanurzyła się raz, drugi i trzeci, ażeby się więcej nie pokazać na powierzchni. Flack, niemogąc się wydobyć z opasujących go rzemieni, utonął. Rywal jego Percy, z narażeniem własnego życia, wyciągnął łódź z wody. Zapóźno jednak: Flack już nie żył.

Wyszła teraz na jaw pilnie ukrywana tajemnica wynalazku, która zabezpieczyć miała łódź od zatonięcia i wywrócenia. Tajemnica polegała na tem, że boki łodzi wypełnił staremi wiórami, więcej nic. Łatwiejszej drogi do zdobycia rozgłosu i majątku nikt chyba dotąd nie wymyślił. Padł ofiarą własnej głupoty.

Smutny los Flacka nie zakończył szeregu prób przepłynięcia wodospadu na łodzi. Znalazł się szaleniec, który postanowił wykonać niebezpieczną podróż na zwyczajnej łodzi rybackiej. Nazywał się Walter G. Campbell z Youngstown, w Stanie New-York. Odziany w kamizelkę korkową

wykonał 15 września 1889 r. śmiały zamiar. Towarzyszył mu pies. Płynął tak długo, dopóki się łódź na wirze nie wywróciła, poczem dzięki kamizelce korkowej i wielkiej umiejętności pływania wypłynął po stronie kanadyjskiej; psa pochłoneły fale. Cała przygoda trwała zaledwie 20 minut i była wymownym dowodem zuchwałości, ale i naiwności pływaka.

Nieudana próba ta stwierdziła jednak możliwość przepłynięcia wodospadu przy pomocy jedynie kamizelki korkowej. Sposobu tego postanowił spróbować niejaki John L. Soules, dnia 4 lipca 1890 r. Próba zakończyła się smutnie; nie dopłynął jeszcze do największego wiru, gdy fala rzuciła nim tak silnie o jedną z skał nadbrzeżnych, że skutkiem silnych potłuczeń, zaniechać musiał zamiaru.

Niedawno przypomniat światu niejaki Robert Leach z Watertow w Stanie w New-York, dawno już zapomnianą beczkę. W lecie 1898 przepłynął dwa razy wodospad Niagary w beczce: raz w drewnianej, drugi raz w stalowej. Z obu prób wyszedł cało, beczki jednak rozpadły się w kawałki. Nie zyskał ani rozgłosu, ani pieniędzy i będzie prawdopodobnie ostatnim z hołdujących temu sportowi.

Mówimy prawdopodobnie, nie można bowiem twierdzić tego z całą pewnością. Tłum, zwłaszcza w Ameryce zbyt się lubuje w podobnych karkołomnych przedsięwzięciach, stojących na jednym poziomie z walkami gladiatorów; a szczęśliwego śmiałka czeka prócz chwilowego rozgłosu nagroda brzęcząca, nic więc dziwnego, że znajdą się zawsze szaleńcy, których przynęta taka popchnie do zaryzykowania życia.

Przeplýwanie wirów pod wodospadem zużyło się już jednak, nie pociąga dziś z dawną siłą. Niebawem usłyszymy może, że jakiś szaleniec postanowił przepłynąć właściwy wodospad. Dziś projekt taki wylęgnać się może chyba tylko w umyśle chorobliwym; kto wie jednak, czy za jakiś dziesiątek lat nie usłyszymy o „bohaterach wodospadu Niagary“.

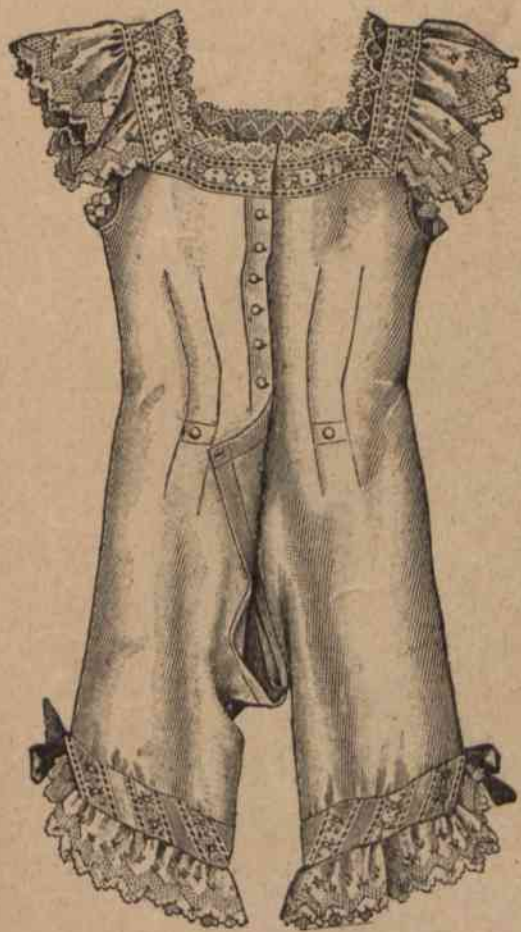
Ze świata kobiecego.

Pogadanka o modach.

Jakkolwiek możemy być najzupełniej zadowoleni, a właściwie „zadowolone“ z teraźniejszości, należy jednak pomyśleć o jutrze i zobaczyć, czy to, co nam moda zachowuje na zimę, wyrówna temu, co nam daje obecnie. Jakie ujrzymy materiały? Sukno, sukienko, w najrozmaitszych postaciach i nazwach; prawdziwą nowością będą grube ostre welny, z włosiem, tak zwane *homes pun*, których dotychczas używano na ubrania męskie, na kostjумы sportowe i podróżne. Materiały przeważnie gładkie, a to gwoździ stębnówce, która panuje wszechwładnie na stanikach, spódnicach, bolerach, żakietach, nawet na pokryciach futer i kapeluszach. Zakładeczki nie złożyły jeszcze broni i stanowią ulubione przyozdobienie sukien, biegnąc zawsze pionowo. Fasony od ostatniego miesiąca uległy zmianom tylko w szczegółach: spódnice zawsze obcisłe na biodrach, rozszerzające się ku dołowi, powłóczyście; należy jednak zaznaczyć, że kontrafałdę rugują dwie lub cztery fałdy, złożone do środka i zastępowane do 10 cent. poniżej pasa; wracają też suknie zupełnie gładkie ztyłu. Fason to bardzo zręczny na zgrabnej figurze, ale niemożliwy przy chudości lub tuszy. Bolero cieszy się wciąż niezmiennemi łaskami, bo też na nie zasługuje.

Uprzywilejowaną kombinację barw stanowi kolor jasno-granatowy, marynarski w połączeniu z ponsowym. Ten ostatni używany bywa na obłożenie stanika i spódnicy; oszy-

wa się ją pasami z ponsowego sukienka szerokości 5 centymetrów, przystębnowanemi kilkakrotnie; odległość pomiędzy jednym pasem, a drugim od 6—7 cent. Pasek szeroki fał-



Koszula z majtkami.



Toaleta zimowa z tyłu.



dowany, z ponsowego atłasu. Przód stanika ponsowy w kształcie V, pokryty czarnymi jedwabnymi aplikacjami,

kołnierz bardzo wysoki z ponsowego atlasu, rękawy granatowe z bufką ponsową przy ręku.

Kolory szaro-zielone i brunatne spotykają się w wielkiej ilości i wyborze, widzimy je nie tylko w sukniach, ale i w żakietach, a w zimie zobaczymy na futrach. Oto wzór ładnej sukni brunatnej z cienkiego sukienka. Spódnica plisowana podłużnie w małe fałdeczki, puszczone wolno od kolan. Pasek szeroki atlasowy czarny, oszyty złotym galonem,



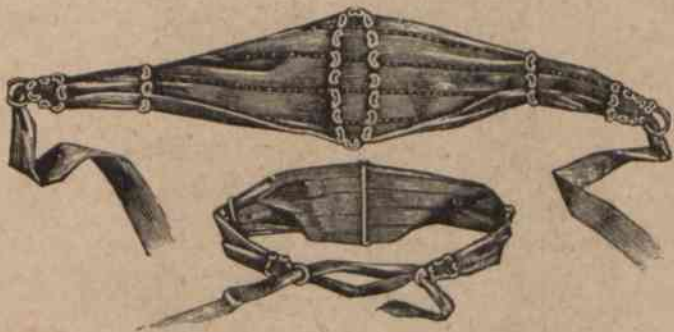
Paltocik półdługi dla starszych pań.

szmizetka biała jedwabna w zakładki, bolero brunatne, oszyte czarnym atlasem ze złotym galonem, krawat z białej jedwabnej gazy spływający w sutym fontaziu. Atlas będzie ulubionym garniowaniem toalet zimowych, w postaci pasów rozmaitej szerokości, ostębnowanych gęsto.

Ponieważ moda lubuje się w ostatecznościach, zatem żakiety zimowe będą albo króciutkie, w mały ząbek z przo-

du i ztyłu, albo też sięgające poniżej kolan, w rodzaju przesztorocznych saków, lecz bardziej wcięte z tyłu, luźno puszczone z przodu. Płaszcz i polonezy bardzo długie, zakończone kolistą falbaną, wloką się niemal po ziemi. Oprócz rotund, które nigdy z mody nie wychodzą, noszone będą pół-rotundy, obcisłe na ramionach, z wysokimi kołnierzami futrzanymi. Jest to fason odpowiedni do naszego klimatu, w którym zima bywa dżdżysta. Rotundę wkłada się zazwyczaj parę razy nie więcej, bo jej długość czyni ją niemożliwą na błoto; pół-rotundy można nosić bez obawy zaszargania się; praktyczniejsze są z tego względu od futrzanych polonez, a cieplejsze od krótkich zakietów.

Kołnierze wysokie, oficerskie, stojąco-wykładane, które zapowiadałam w poprzedniej pogadance, nie znajdują uznania wśród warszawianek; przekładają one fason *Médicis*



Pasek, wiązany z przodu.

w kształcie kielicha i mają słuszość o tyle, że taki kołnierz, ujmując twarz jakby w ramkę, podaje jej powabu.

Z dziedziny kapeluszków zaznaczam bardzo praktyczną nowość, a mianowicie kapelusiki miękkie, fasonem amazonkowym i strzeleckim, zeszyte z prążkowanej materji jedwabnej w rozmaitych kolorach lub z szewiotu, flaneli, sukienka granatowego, w białe paski, białego w paski czarne, w szkockie kraty i t. p. Kapelusze boerskie o pogniecionem denku z paletą przetrwały sezon letni i ukazują się obecnie w filcach; modne są dalej kapelusze filcowe o denku w kształcie rogatywki, z dużem rondem opasanem tylko wstążką lub złotą pletnią, związaną w kokardkę. Stębnówka panuje i na samych kapeluszach i na przybraniach; ładnie wyglądają duże kokardy jedwabne obstępnowane biało.

Udzieliwszy wytycznych wskazówek, co jest i co będzie

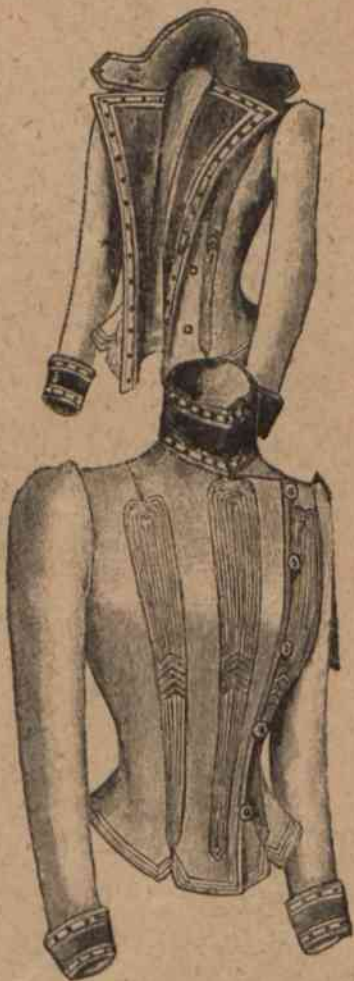


Toaleta zimowa.

noszonem we wszystkich zakresach toalety, pragnę dać kilka rad osobom „pewnego wieku“ i takim, które są dotknięte nadmierną tuszą. Moda jest dla nich bezwzględna: myśli tylko o młodych i zgrabnych. Ale nie wszystkie kobiety mają lat dwadzieścia i szczupłe figurki; inne, cała ta liczna reszta—ściśle trzymając się mody, narażają się na śmieszność. To też postaram się dziś przyjść w pomoc tym niewinym ofiarom wieku lub otyłości.

A zatem w pierwszym rzędzie trzeba zwrócić baczną uwagę na ubranie spodnie: bieleznię, gorset, spódniczki. Koszula powinna być bardzo cienka, batystowa lub madepolanowa, skrojona obciśle, wcięta na bokach, rękawek króciutki lub tylko naramiennik; unikać należy dużych, wypukłych haftów, koronek szydełkowych, falbanek, słowem wszystkiego, co mogłoby poszerzyć. Radzę nawet zaniechać staniczków na gorset, bo te tracą fason po praniu i fałdują się. Majtki z płaskim, szerokim karczkiem, wsuwa się pod haczyk gorsetu, przyszytej bardzo *nisko*, na znaczną odległość od pasa. Koszula z majtkami w jednej sztuce jest wymyślona specjalnie dla osób otyłych.

Ma się rozumieć, gorset odgrywa główną rolę w uszczupleniu figury. Mylnem jest zgola mniemanie, że chcąc być szczuplejszą, trzeba się ścisnąć; ciało ściśnięte nie znika, lecz rozlewa się w miejscach nieodpowiednich, tworząc bardzo nieładny, a niekiedy śmieszny zarys figury. Sznurówka powinna podtrzymywać biust, nie zaś kształty zwyrodniać, ściskanie biustu jest brzydkim i bezcelowem. Nowy fason



Żakiecik otwarty lub zamknięty.



Palto jesienne.

gorsetów o prostej brykli, bez wcięcia, nie tylko przydłuża figurę, co ważne, lecz nie ściska w pasie, a dzięki temu żołądek, biodra i piersi pozostają na miejscu właściwym. Podwiązki powinny być przypinane nie na bokach, lecz tuż przy brykli u dołu gorsetu; w ten sposób obciągają go na dół. Spódnice pod żadnym pozorem nie mogą być wiązane w pasie, lecz tak, jak majtki, wsuwane pod haczyk; radzę je wszywać prosto w sznureczek lub w wypustkę; powinny być głęboko wycięte z przodu, tak, by nie fałdowały się pod agrafką gorsetu. Garniowanie u dołu powinno być tem sułsze im dana osoba jest cięższa; dobrze jest nosić poduszkę odpowiedniego kształtu, albowiem przy dużych biodrach figura bywa zwykle płaska z tyłu.

Ale przejdźmy do toalety właściwej. Przy wyborze materiałów należy unikać krat, pasów poprzecznych, zwra-

cać się jedynie ku materiałom gładkim lub w pasy podłużne; dalej trzeba się wyrzec kolorów jasnych, ubierać się w barwy pośrednie, lub jeszcze lepiej, w ciemne, jako to: granatowe, brązowe, zielone, bordo; najkorzystniejszym dla tłustych osób będzie zawsze kolor czarny, można go ożywić jaśniejszą kamizelką, krawatem, żabotem i t. p.

Nadewszystko, moje panie, strzeżcie się, garnirowań, przecinających biust w poprzek, lub obiegających spódnicę w półkole. Aksamitki, galony, pasmanterje, hafty powinny być naszywane na statniku w kształcie V, a na spódnicy w kształcie A; spódnica u dołu powinna być szeroka.

Najodpowiedniejszym fasonem dla osób tęgich jest *princesse*, lecz wymaga doskonałego kroju, a tem samem nie dla wszystkich jest dostępny, bo krój, to rzecz droga. Można osiągnąć ten sam efekt, robiąc suknię w dwu częściach:



Skromna toaleta jesienna.

spódnica głęboko wycięta z przodu, stanik włożony na wierzch i zakończony małą wypustką, tak, że połączenie jest niewidocznem. Ma się rozumieć stanik musi być pod spodem przypięty do spódnicy na haftki z tyłu i po bokach. Nie należy nigdy nosić stanika pod spódnicą, bo to skraca figurę.

Kostjumy angielskie i bolera nie są odpowiednie dla osób otyłych. Najfałszywszem jest mniemanie, że fasony obcisłe dobre są dla pań tęgich; przeciwnie, im kto jest cięższy, tem powinien ubierać się luźniej; radzimy szmizetki, przody wolne, i t. p. Zakiety, palta sakowe, płaszcze *Empire* dobre są tylko dla osób szczupłych i zgrabnych. Oto wiązanka praktycznych wskazówek, z których mam nadzieję, skorzystają czytelniczki, do których zwracam te słowa, a pewna jestem, że dobrze na tem wyjdą.

Każda kobieta pragnie być piękną, a ta żądza nie jest wcale naganną, i owszem, kobiety powinny starać się o utrzymanie, a nawet o podniesienie urody. Pewne czasopismo francuskie zwróciło się w roku zeszłym do pięćdziesięciu wybitnych—autorek, malarek i t. d. z zapytaniem, co jest cenniejszem dla kobiety: piękność, czy też umysł niepospolity? Wszystkie pięćdziesiąt głosowały za pięknnością. Okazuje się zatem, że nie tylko zwyczajne śmiertelniczki przekładają nadwszystko urodę. Każda chciałaby ją mieć, a jeśli niema, to ją zdobyć przemocą. Jaki na to sposób?

Piękności nie utrzymują bynajmniej środki upiększające; przeciwnie przyspieszają zanik wdzięków, sprzyjają przedwczesnej starości. Jedyłą czarodziejką jest matka—natura, jedynemi środkami upiększenia te, które ona nam daje, a więc woda, powietrze, światło i słońce. Kto używa tych środków należycie, przez długie lata wdziękami jaśnieć będzie. Dwie najsłynniejsze piękności, Nina de Loncles i Diana de Poitiers, które do lat 70 zachowały świeżość cery i młodzieńczość kształtów, a stojąc już nad grobem miały jeszcze gorących wielbicieli, obie, używały jedynie gąbki i wody źródlanej.

Oprócz wymienionych powyżej „kosmetyków“, zaleca się jeszcze: wesołość i pogoda umysłu, środki nie apteczne, ale skuteczne, choć nie łatwe do osiągnięcia.

W jaki sposób używać wody gwoli upiększeniu? Dużo zewnątrz, mało wewnątrz.

Nie znaczy to, aby inne napoje były pożądane od wody, lecz że picie jej w wielkich ilościach krew rozrzedza i psuje cere. Należy codziennie obmywać się od stóp do głów letnią wodą, brać często kąpiele ciepłe; parowe utrzy-

mują świeżość ciała. Dobrze jest po parę razy na tydzień odświeżać i radykalnie oczyszczać twarz za pomocą pary. Łatwo to urządzić. Nalewa się gotującej wody w spory garnek i osłoniwszy głowę chustką, trzyma się twarz nad parą przez dwie do trzech minut, potem obmywa się wodą zimną i mocno wyciera miękkim ręcznikiem. Należy codziennie myć twarz przed udaniem się na spoczynek, a zwłaszcza jeśli się było wśród dymu papierosów i cygar, na wietrze lub upale. Powietrze sprzyja również piękności, potrzebują go nie tylko płuca, ale i skóra. Kto chce być pięknym, powinien oddychać pełną piersią, jest to rodzaj gimnastyki płuc, zabarwiającej policzki o wiele skuteczniej od różu. Nawet osoby, cierpiące na blednięć, odzyskują kolory, jeśli po trzy razy na dzień na świeżem powietrzu lub w oknie otwartem przez dziesięć minut conajmniej oddychają głęboko. Dodam jeszcze, że oddychanie ustami jest bardzo szkodliwem. W rzędzie środków upiększających masaż zajmuje rolę nie poślednią; łatwo go zastosować samej, pocierając dwoma pierwszymi palcami po twarzy, idąc od oczu do środka brody. Taki masaż zaleca się zwłaszcza po naparzeniu twarzy. Powinien trwać parę minut nie więcej.

Takie są środki *niezawodne* i łatwe do zastosowania. Widzimy, że przedewszystkiem trzeba starać się o zdrowie, bo chociaż można być zdrową, a nie piękną, lecz chorą i piękną być niepodobna.

Wszystko na świecie już było, więc wszystko powraca. Nasze babki stroiły się chętnie i w korale; ta moda została wskrzeszona i przyjęła się najprzód w Londynie, a potem w całej Europie. Nurkowie będą znowu poszukiwali w głębi morza hydromедуzy, budującej sobie piękne siedziby na wapiennych podkładach. Najpiękniejsze korale poławiają się w morzu śródziemnem, przy wybrzeżach Sardynji i Sycylji. Corocznie dostarcza ono 150,000 do 200,000 kilogramów koralu wartości 6 milionów marek. Piękne bladoróżowe płaci się do 2,400 fr., średnie do 300 fr. za kilo. Głównym rynkiem zbytu jest Neapol i Paryż, w pierwszym z tych miast obrabiane są i szlifowane korale. Robotnice neapolitańskie cieszą się z powrotu tej mody, a i panie złe na tem nie wyjdą, bo w koralach każdej jest prawie do twarzy.

F. Żmijewska.

Sprawy bieżące.

Z dziedziny politycznej.

Dwa miesiące upłynęły już od chwili, w której mocarstwa, zainteresowane w sprawie chińskiej, główny cel swój osiągnęły; Pekin od dwóch już miesięcy jest w rękach armji związkowej, mimo to położenie ogólne w Chinach bardzo niewiele posunęło się naprzód. Bandy bokserów, jak dawniej, niespokoją chrześcian, dwór cesarski ciągle jeszcze zwleka z powrotem do stolicy. Główną winę tego stanu rzeczy przypisują znawcy stosunków Państwa Niebieskiego tylko rządowi chińskiemu: on był główną sprężyną mordów i rzezi, on dziś chytrą i wykrętną polityką swoją uniemożliwia rozpoczęcie rokowań pokojowych.

Profesor Fryderyk Hirth z Monachjum miał niedawno w Hamburgu odczyt, rzucający jasne światło na stosunki rządowe w Chinach. A zważyć należy, że stosunki te znać może dobrze, był bowiem w ciągu 28 lat urzędnikiem chińskim, a ostatnio piastował urząd dyrektora cel morskich w prowincji Seczuan.

Zdaniem jego, nie można ogółu Chińczyków obwiniać o ostatnie krwawe rozruchy; Chińczycy to najpotulniejszy naród pod słońcem i jeżeli dopuścił się mordów, to tylko na rozkaz rządu, który w danym wypadku ponosi całą winę. I jakże rząd ten przedstawia się w opisie prof. Hirtha?

Kulą w nogi dzisiejszego władcy chińskiego, cesarza Kwangsu jest ambitna i nieznosząca obok siebie władzy ciotka jego. Ona to po zamachu stanu, dokonanym w końcu

r. 1898, ubezwłasnowolniła powtórnie młodego cesarza i zagarnęła faktyczne rządy w swoje ręce. Młody cesarz przywiązany jest bardzo do ciotki, jako najstarszej przedstawicielki rodziny i ślepo jej posłuszny.

Do wytworzenia stosunków, które wywołały ostatnie rozruchy w Chinach, przyczyniła się w znacznym stopniu nieszczęśliwa wojna z Japonją i duch reformatorski, który się od niej datuje. Młody bogdychan, który już od r. 1889 sprawował samoistne rządy, przypisywał nieszczęśliwy wynik wojny wyższości cywilizacji europejskiej, którą sobie przyswoić zdołała Japonja. Ulegając najbliższemu otoczeniu, pchającemu go do reform, wydawać zaczął jeden po drugim coraz to skrajniejsze edykty cesarskie, znoszące wiekami uprawnione prawa i zwyczaje.

Edykty te podzieliły naród na dwa wielkie obozy: zwolenników reformy w duchu pojęć europejskich i wrogów jej, wsteczników, pragnących wszelkimi środkami utrzymać społeczeństwo chińskie na poziomie starodawnych pojęć, zaczerpniętych z nauk i przepisów Konfucjusza. Zaszły następnie wypadki ustępstw terytorjalnych na rzecz kilku mocarstw europejskich zaogniły jeszcze bardziej stosunki między obydwoma obozami. Naród, słusznie czy niesłusznie, w stronnikach reform widział wrogów własnej ojczyzny, ich też o uszczuplenie jej oskarżał.

Przywódcy stronnictwa konserwatywnego postanowili skorzystać z wrogiego usposobienia, jakie masy narodu żywiły dla obozu przeciwnego. Zręcznie rozsiewane pogłoski, że mocarstwa europejskie zamierzają przyprowadzić do skutku podział Chin, spotęgowały jeszcze ferment, wywołując w wrześniu 1898 r. zamach stanu. Cesarz Kwangsu usunięty został od władzy, którą w ręce swe ujęła ambitna cesarzowa Hsi-Tsu. Rządy swe rozpoczęła od prześladowania stronników reform, których działalność była jej bardzo nie na rękę, sprzeciwiała się jej ambicjom. Najwybitniejsi, najwykształceni obywatele chińscy, bądź złożyli głowę pod topór, bądź opuścili granice ojczyzny.

Ruch wsteczny szerzyć się teraz zaczął z dawną gwałtownością, znacząc ślady swoje potokami krwi. Punktem kulminacyjnym jego było powstanie bokserów, których cesarzowa użyła jako narzędzia w zatargu z mocarstwami europejskimi, mimo próśb i życzliwych rad umiarkowanego księcia Li, przewodniczącego w radzie stanu.

Za głównych autorów obecnej wojny z Europą uważać należy, zdaniem prof. Hirtha, generała Yunglu, naczelnego wodza armji chińskiej i Kangyi'ego, wielkiego sekretarza

cesarskiego, uosobienie nienawiści względem chrześcian i cudzoziemców. Obaj oni, jako członkowie najważniejszego dziś w Chinach ministerjum wojny, rozporządzali środkami, które im umożliwiły doprowadzenie sprawy chińskiej do tego stopnia zaognienia, na jakim się ona dziś znajduje.

Generał Yunglu zawdzięcza wysokie stanowisko, które dziś zajmuje, a do którego doszedł po zamachu stanu w r. 1898, nie tyle zdolnościom osobistym, ile stosunkom rodzinnym, jako syn brata cesarzowej wdowy. Objąwszy naczelne dowództwo nad armją, zreformował ją na sposób europejski, składając tem dowód, że nie jest ślepym zwolennikiem wszystkiego, co trąci starochińszczyzną. Z nazwiskiem jego często spotkać się można obecnie, jest on bowiem jednym z pełnomocników, przedstawionych przez rząd chiński do prowadzenia rokowań pokojowych. W mordach chrześcian udziału nie brał, co więcej, starał się niejednokrotnie ocalić prześladowane ofiary ruchu. On to wreszcie zakazał wojskom swoim w d. 15 lipca dalszego szturmowania obcych poselstw w Pekinie.

Towarzysz jego, Kangyi, przebywający stale przy dworze cesarskim w Singanfu, należy do najzawziętszych wrogów Europejczyków i najmniej przystępnych uczuciom pojednawczym dygnitarzy chińskich. Jak gen. Yunglu był doradcą cesarzowej wdowy w sprawach wojskowych, tak on udzielał jej rad w politycznych i finansowych. Jego to zasługą jest nagromadzenie w skarbie chińskim znacznych funduszy, które umożliwiły Chinom obecne prowadzenie wojny. W całej działalności przyświecał mu zawsze jeden ideał—uwolnienie Chin z pod wpływów cudzoziemskich.

Twórcą ruchu bokserów jest Yu-hien, który, jak tytuł dzisiejszych dygnitarzy chińskich, zawdzięcza wyniesienie swe również zamachowi stanu. Z taotaja został wkrótce generałem i od tej chwili, przy każdej sposobności składał dowody okrutnej swej nienawiści przeciw chrześcianom. Został on podobno obecnie, na rozkaz cesarza, ścięty; czy rzeczywiście, wierzyć trudno, wobec przewrotności i kłamliwości w postępowaniu najwyższych dygnitarzy chińskich.

Dnia 11-go października 1899 r. wieczorem minął termin, wyznaczony w ultimatum, przesłanem rządowi angielskiemu przez rzeszpospolite południowo-afrykańskie. Ultimatum stawiało żądanie, ażeby wojska angielskie w ciągu 48 godzin opuściły granice Transwaalu, i ażeby rząd angielski zobowiązał się, że nie będzie wysyłał dalszych oddziałów wojsk do Afryki południowej. Łatwo przewidzieć można było, że Anglja odrzuci śmiało żądania. Nazajutrz roz-

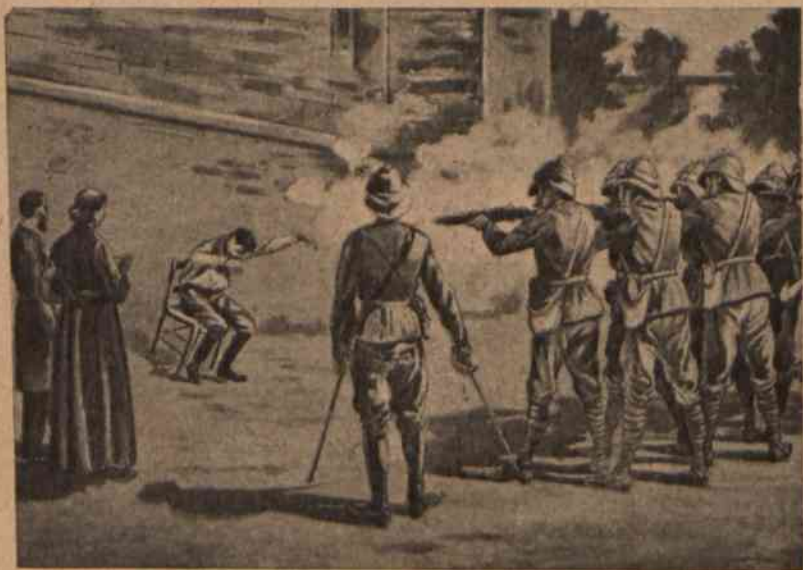
poczęła się wojna, z której rozmiarów obie strony nie zdawały sobie na razie sprawy. W Anglii przypuszczano powszechnie, że w parę tygodni, a co najwyżej w parę miesięcy załatwić się można będzie z Boerami, których sobie wyobrażano jako milicję ciężką, niezdolną do prowadzenia wojny w ścisłem słowa tego znaczeniu. Obie rzeczpospolite boerskie liczyły na dwie szczęśliwe ewentualności: albo zaskoczą nieprzyjaciela nieprzygotowanego i w pierwszych zaraz dniach rozstrzygną wojnę na swoją korzyść, albo, gdy się im to nie uda i wojna zapowiadać się będzie na dłużej, pozostanie im jeszcze nadzieja, że się w społeczeństwie angielskiem obudzi poczucie sprawiedliwości i że domagać się będzie zaprzestania wojny, jak to miało miejsce za czasów Gladstone'a. W każdym razie nie wątpili, że, czy w ten, czy w ów sposób, wyjdą z wojny obronną ręką i że niepodległość ich naruszona nie będzie. Utwierdzał ich w tem przekonaniu przykład wyprawy Jamesona, która wywołała interwencję wielu mocarstw europejskich.

Późniejszy bieg wypadków przekonał ich, jak złudne były wszystkie nadzieje i oczekiwania. W pierwszych miesiącach wojny męstwo Boerów olśniło świat cały. W ciągu kilku tygodni odniosły wojska ich świetne zwycięstwa nad Anglikami, bądź rozpędzając ich, bądź zmuszając do szukania schronienia w obleganych następnie długi czas miastach. Zwycięzkie oddziały ich rozlały się z zadziwiającą szybkością po całym Natalu i kolonji Przylądka. Powstanie Afrykandów w wszystkich kolonjach angielskich zdawało się zapowiadać koniec panowania angielskiego w Afryce południowej. Klęski Anglików zakończyły rok stary, nowy rozpoczął się ciosami jeszcze dotkliwszemi. Żaden z generałów angielskich nie dorastał męztwu wodzów boerskich, którzy w dziejach wojny zapisali się takimi operacjami wojennymi, jak zwycięstwo nad Tugelą. Już jednak wtenczas, mimo zwycięstw, przewidzieć można było smutny koniec wojny dla Boerów. Męstwo ich nie było w stanie zastąpić braku liczniejszej armji; brak ten nie pozwolił im nigdy korzystać z pełnych owoców zwycięstwa, które im dać mógł pościg nieprzyjaciela i zupełne jego zniszczenie.

Z chwilą przybycia feldmarszałka Robertsa do Afryki, zmienił się zupełnie dotychczasowy przebieg wojny. Boerowie ponosić zaczęli porażki, jedną po drugiej. Wojska ich, które nigdy nie wynosiły więcej jak 25.000 żołnierzy, nie mogły sprostać całej armji angielskiej, walczącej pod najlepszymi swymi wodzami.

Wzięcie do niewoli Cronjego pod Paardebergiem było

początkiem katastrofy. Nad stolicą rzeczpospolitej Orańskiej, Bloemfontein zatknęli Anglicy w połowie marca zwycięskie sztandary. Ten sam los spotkał wkrótce stolicę Transwaalu Pretorię i najważniejsze po niej miasto Johannesburg, które nie były w stanie oprzeć się przewadze Anglików. I aczkolwiek Boerowie ani razu nie ponieśli porażki w otwartym polu i z niezrównaną zręcznością wywijali się Anglikom, pragnącym ich oskrzydlić, znikła dla nich już w każdym razie nadzieja odniesienia walnego zwycięstwa nad przeciwnikiem. Miejsce operacji wojennych na większą skalę zajęła partyzantka, która wprawdzie dla przeciwnika



Rozstrzelanie porucznika Boerów Kordua.

była bardzo przykra, ale niebezpieczeństwa większego już nie przedstawiała. Dzięki nieugiętej wytrwałości Anglii, dzięki potężnym środkom, zapewniającym jej przewagę nad słabym nieprzyjacielem, upadły wolne rzeczpospolite boerskie.

Z obu prezydentów rzeczpospolitych południowo - afrykańskich jeden skazał się na dobrowolne wygnanie, i jest już w drodze do Europy, drugi tuła się z miejsca na miejsce z niedobitkami armii boerskiej. Z tysiąca nadziei, z którymi rozpoczynali wojnę, nie ziściła się żadna. W strasznym upadku utracili wszystko prócz honoru, prócz sławy

tradycyjnego męstwa i bohaterstwa. Większa część zdolnych do noszenia broni obywateli pędzi smutny żywot w niewoli na wyspie św. Heleny i na Ceylonie; fermy opustoszały, większość domów w gruzach, handel ustał prawie zupełnie. Nędza rozgościła się w kraju, gdzie przed niedawnym jeczczem czasem panował dobrobyt, kwitło szczęście.

Anglja tryumfuje; tryumf ten okupiła jednak tysiącami ofiar ludzkich, miljonami funtów szterlingów. Ale Anglja zamożna i w ludzi i w środki materialne, a ostatnie wybory do parlamentu stwierdziły, że społeczeństwo angielskie zadowolone jest z tak drogo okupionego zwycięstwa.

Wojna transwaalska dała Anglji, a zwłaszcza feldmarszałkowi jej Robertsowi, obszerne pole do okazania nie tylko zdolności wojskowych i męstwa, ale i instynktów, nie bardzo licujących z stanowiskiem jej, szczytającej się, że kroczy na czele cywilizacji. Sposób, w jaki obchodzono się z jeńcami boerskimi, w jaki ich dziś jeszcze traktują na wyspie św. Heleny i na Ceylonie, niezbyt chlubnie świadczy o cywilizacji Anglików. Proklamacje generała Roberta do burgerów boerskich zyskały mu już dawno w świecie cywilizowanym opinię „Drakona angielskiego“. Ażeby się i rzed rodakami otoczyć większą jeszcze aureolą, rozstrzelać kazał oficera boerskiego Kordua, oskarżonego o uknućcie spisku na życie feldmarszałka. Spisek ten, jak się później okazało, nie istniał wcale i wylął się z bujnej wyobraźni głównodowodzącego angielskiego.

Boerowie do ostatnich jeszcze czasów liczyli na interwencję którego z mocarstw europejskich. Prezydent Krueger łudził się nadzieją, że cesarz niemiecki, który niejednokrotnie, i dawniej i w czasie trwania wojny, okazywał sympatję swą dla rzeczpospolitych boerskich, nie odmówi pomocy i wystąpieniem swoim położy kres zaborczym dążnościom Anglików.

Zawarta świeżo umowa angielsko-niemiecka rozwieje prawdopodobnie i to ostatnie złudzenie. Umowa ta dotyczy wprawdzie tylko polityki obu państw w sprawie chińskiej, opłacona będzie jednak niezawodnie ze strony Niemiec zupełną rezygnacją polityki ich z wszelkich interwencji w południowej Afryce.

R.

Co wiemy o żywieniu się ludu naszego?

Bardzo żywotną zarówno jak ważną sprawę poruszył dr. Stanisław Kozłowski w ostatnim zeszycie „Zdrowia“. Oto głównejsze jej zarzysy:

Kwestja żywienia się ludu wiejskiego niezbyt dawno zaczęła interesować szerszy ogół.

O tem, jak się odżywiał lud nasz dawniejszemi czasy, zaledwie ogólnikowe mamy wiadomości.

Maciejowski w swojej „Historji włościan“ powiada, że w drugiej połowie XV w. dochód kmiecia „wystarczał mu na czynne datki i pobory, na wygodne, a nawet zbytkowne życie“ i twierdzi, że „stan ówczesnych stosunków ekonomicznych ludu był wyśmienity, a całego kraju błogi.“

Walery Przyborowski w Szkicach Historycznych p. t. „Włościanie u nas i gdzieindziej“ cyframi dowodzi zamożności kmieci w XV w.

W pierwszych latach po wprowadzeniu pańszczyzny — statutem króla Olbrachta w 1496 r. a nawet jeszcze i około 1537 r., wieśniak odrabiał dworowi tylko 3 dni do roku, co nie było wcale uciążliwem. W następnych jednak latach ilość dni pańszczyźnianych niepomrotnie wzrastała; podwyższały się opłaty, które powiększano jeszcze różnemi „przydatkami“, jako to: pewna ilość przedziwa, obowiązek służenia we uworze, chodzenia do roboty dworskiej według z góry oznaczonej ceny i t. p. To też Marjan Bielski już wtedy występuje przeciwko zbytniemu uciemiężaniu chłopów.

Opaliński w satyrze „na ciężary i opressję chłopstwa w Polsce“ zaznacza i piętnuje wyzysk, któremu podlegali chłopci. Panowie dostarczali im obrzydliwego piwa, jak również: serów, maki, śledzi, soli, i kazali sobie za nie płacić, bez względu na to, czy te produkty były potrzebne chłopom, czy też nie, czy zostały spożyte, czy też zniszczone.

Mimo, iż w końcu XVI wieku odzywały się głosy przeciwko uciskowi, mimo, iż król Jan Kazimierz w 1656 roku złożył we Lwowie uroczystą przysięgę, że lud uwolni od ciemiężenia, mimo, iż światło osobistości, jak Zarebski, Świniarski, ks. Jabłonowska, Zamoyski, ksiądz Brostowski, kanclerz litewski Chreptowicz i inni różnemi czasy ujmowali się za chłopstwem, pędził on żywot mniej lub więcej marny aż do naszej doby.

J. I. Kraszewski w „Latarni Czarnoksiężskiej“, opowiadając „historję Sawki“, ponury kreśli obraz wieśniaka, który „głodny ledwie dożył do tej pory (jesieni) pożyczanem ziarnem, ledwie dohodował swego żyta, żywiąc się kartoflami, zielonym liściem buraka, błądy, głodny, nakarmiony niezdrowym pokarmem, pogląda na swój sznurek, na którym żyto położyło. Ale kiedy je zżąć?... Dziś łłoka, jutro pańszczyzna, pozajutrz odrobek, i pędzą, i pędzą“... Na wszystko musiał pracować „on, co nie miał w chacie chleba od kilku

tygodni, lub pomieszanym z plewą, z owsem, z korą żywił się, smarując suchą kromkę nadzieją tych kilku snopków“.

Do takiego zbiedzenia chłopą przyczyniły się ogromnie *gorzelnie*. W każdym prawie majątku zakładano wtedy gorzelnie, a wypędzoną wódkę sprzedawano własnym chłopom. W tym celu budowano po wsiach karczmy dla wyszynku wódek. Karczmy takie dawały duże dochody właścicielom, ale też *były źródłem nędzy i upadku moralności u ludu naszego*. Rozpaczliwe położenie ludu wyraziło się ostatecznie w rzezi galicyjskiej, której jedną z przyczyn była nędza materjalna.

Od tej chwili w piśmiennictwie naszym i w umysłach lepszych warstw społeczeństwa datuje żywsze znowu zainteresowanie się kwestją ludową.

Co zaś dotyczy specjalnie żywienia się ludu, to sprawą tą zajęto się goręcej dopiero pod wpływem emigracji ludu do Brazylii. Należą tu prace gabinetowe, oparte na danych statystycznych, oraz prace, polegające na własnej obserwacji.

Wszystkie prace teoretyczne są jednak o tyle niedokładne, że uwzględniają dość szczegółowo jedynie ilość spożytych pokarmów. A wiemy przecież, że z każdego pokarmu pewna część dostaje się do soków organizmu, reszta zaś — (część mniejsza) ginie dla niego bezpowrotnie, wydala się bowiem z kałem.

Istotny pożytek pokarmu zależy od kilku warunków: 1) od ilości pokarmu, 2) od jakości jego (roślinny, czy zwierzęcy, młode czy stare zwierzęta), 3) od sposobu przyrządzenia (gotowane mięso lub duszone, strawniejsze niż pierwsze, groch tarty lepiej, niż gotowany w całości), 4) od kombinacji potraw idących po sobie, 5) od ilości i jakości używek (spirytus, herbata, kawa w małych ilościach powiększają, również musztarda, śledzie, pikle, pieprz i t. p., duże ilości wódki i piwo zmniejszają pożytek).

Łatwo tedy pojąć, że same cyfry, wyrażające pożywność pokarmów, nie mogą być stosowane do ludu wiejskiego, którego żywność i cały tryb życia różni się wielce od naszego.

To też dr. Kozłowski obrał drogę doświadczalną. Nie będziemy tu przytaczali danych specjalnych, których wyjaśnienie byłoby zbyt nużące; ograniczymy się na przytoczeniu wniosków, do jakich doszedł nasz badacz.

1) Przedewszystkiem nasz włościanin nie znajdował się nigdy w tak ciężkich warunkach nędzy i niedoli osobistej, jak jego współbracia na zachodzie. Tendencje, zmierzające do ucisku i wyzysku chłopą, przychodziły do nas rów-

niez z zachodu, lecz zawsze w każdej epoce spotykały się z silną krytyką i przeciwdziałaniem lepszych jednostek.

2) Żywsze zainteresowanie się ludem i chęć poprawy jego losów zawsze zwiększa się wraz z klęskami, jakie kraj przechodził, lub też z niebezpieczeństwem, zagrażającym państwu.

3) W pokarmie ludu przeważnie roślinnym znajdujemy brak pokarmów pochodzenia zwierzęcego i tłuszczów, a zawsze nadmiar wodań węgla (potraw mącznych, chleba, kaszy i t. p.).

4) Brak białka zwierzęcego i tłuszczów zwierzęcych powstaje nie tylko wskutek braku mięsa, ale i od niedostatecznej ilości nabiału. Służba dworska dostaje mleko zbierane, w znacznej mierze ogołocone z białka i tłuszczu. Włóścianie masło i ser wyrabiają wyłącznie na sprzedaż, często sprzedają też i mleko.

5) Brak pokarmów pochodzenia zwierzęcego szczególnie jest dotkliwym dla dzieci, dla których rozwoju białko zwierzęce jest niezbędnem. Nawet zwierzęta w okresie pierwszego rozwoju żywią się wyłącznie pokarmami zwierzęcymi. Ssące żywią się mlekiem matki; ptaki, ryby, gady i płazy — białkiem i żółtkiem, zawartym w jajach. Rozwój i wzrost człowieka trwa znacznie dłużej, niż zwierząt; wymaga więc on, aby przez dłuższy czas dostarczano mu pokarmów zwierzęcych.

Włóścianie rozumieją to instynktownie i, odejmując sobie od ust mleko, przeznaczają większe jego ilości dla dzieci. Ten sam cel osiągają matki, karmiąc swe dzieci piersią niezmiernie długo (często 2 lata i dłużej), poświęcając niejako potrzeby własnego organizmu dla lepszego rozwoju dziecka.

6) Niedostateczne ilości białka (jaj, mięsa) powodują zapewne wielką śmiertelność u dzieci, niższą wagę, niższy wzrost dorosłego robotnika wiejskiego i opóźnienie w rozwoju młodzieży wieku dojrzewania.

7) Pożywienie ludu, prócz tego, że jest niedostatecznym, jest jeszcze niezmiernie grube, trudno strawne, monotonne, nieumiejętnie przyrządzone i, aby dostarczyło koniecznej ilości odżywczych pierwiastków, musi być spożywane w ogromnych ilościach. Cała energia organizmu zwraca się na sprawę trawienia. Tu więc, może, należałoby szukać źródła oziębłości, znanego niedbalstwa i braku inicjatywy u naszych wieśniaków.

8) O przeciętnym włóścianinie nie można powiedzieć, żeby się żywił przeważnie kartoflami. Dowiódł tego Rut-

kowski i wykazał, że włościanin spożywa jednak dziennie około 1500 gr. kartofli. W każdym razie jest to cyfra przeszło 2 razy wyższa od dozwolonej normy higieny.

Skoro jednak od przeciętnego włościanina zwrócimy się do poszczególnych rodzin i grup włościańskich, to znajda się i tak ubodzy, dla których kartofle stanowią główną podstawę pożywienia.

9) Niedostatecznem pożywieniem dałyby się może wytłumaczyć niektóre rażące nas zwyczaje ludu, dotyczące zachowania ciepła, jak np. budowanie ciasnych i niskich mieszkań z małemi oknami, nieprzewietrzanie izby w zimie, sypianie pod pierzyną, noszenie kożucha nawet w gorącej już porze roku, obawa zimnej wody; wszystkie te zwyczaje mają wspólną cechę — obawę i ochronę przed zimnem. Wiemy dobrze, że ciepło naszego ciała zawdzięczamy spożytym pokarmom. Energia ich utajona w małej części zamienia się na pracę, w przeważnej zaś idzie na wytworzenie ciepła w organizmie. Nic więc dziwnego, że ciepło, takim kosztem zdobyte, wieśniak ceni bardzo i stara się o możliwe zmniejszenie jego strat.

10) Ciekawem jest, na czym polega poprawa pożywienia u włościanina zamożniejszego?

Przedewszystkiem używa on obficie nabiału i tłuszczów. Nietylko więc pija mleko, lecz spożywa masło i ser. Wieprza bije 2 razy do roku, nie tyle ze względu na mięso, ile na zapas słoniny. Chętnie jada owoce, pija kawę i herbatę. O mięso nie tyle dba, żeby miał je kupować; być może, że odstrasza go cena sprzedażna mięsa i pośledniejszy gatunek wołowiny i cieleciny, jakie spotyka na rynkach. Zadawałnia się mięsem tych zwierząt, które sam wyhoduje, t. j. wieprzowiną, skopowiną i drobiem, lub też korzysta z okazji, gdy trafi mu się nabyć we dworze mięso z dobitej sztuki. Obchodzić się z mięsem włościanie wogóle nie umieją; gotują z niego przeważnie rosół i jedzą za wiele na raz.

11) Często spostrzegane zaburzenia trawienia (kwaśny katar żołądka, niestrawność) u włościan, którzy zamieszkali w mieście i przeszli z pożywienia wiejskiego na lepsze, takie, jakie jada średnio zamożna klasa mieszczan, można objaśnić przystosowaniem się organizmu włościan do swoich pokarmów i reakcją na nowe warunki trawienia. Takie zaburzenia w trawieniu widzimy często u służących, szczególnie u mamek. Co do tych ostatnich, to stale się uprzedza matki, by starały się podawać im pożywienie, zbliżone do wiejskiego; zbyt jednak troskliwe matki, niestety, stale

nie słuchają tych ważnych wskazówek i przez to dziecię ich często cierpi na uporczywe zaburzenia w trawieniu.

Przechodzę teraz do wniosków praktycznych, które dziś, wobec wzrastającej emigracji, mogą mieć doniosłe znaczenie. Nastęrcza się więc pytanie: jak poprawić byt włościan? Do tego zmierzałyby następujące środki:

1) Potrzebne są szkoły kucharskie wiejskie, któreby uczyły kobiety wiejskie smaczniejszego przyrządzania pokarmów, nadawania im takiej formy, któraby pozwalała najłatwiej wyzyskać pożywne składniki, oraz urozmaicania sa-pożywienia.

Że takie uczelnie, umiejętnie urządzone i dostępne prowadzone, znalazłyby sympatyczne przyjęcie u ludu naszego—jest to rzeczą pewną, gdyż ceni on bardzo tego rodzaju wiadomości. (Potwierdza to obserwacja, że kobieta, która umie gotować, bardzo prędko wychodzi za mąż).

2) Szerzenie wiedzy ogrodniczej, zakładanie szkółek umiejętnie prowadzenie rybołówstwa i rozszerzanie tych umiejętności pośród włościan przysporzyłoby im znaczną ilość środków spożywczych i urozmaiciłoby ich stół monotony.

3) Nauka rękodziel podniosłaby stopień zamożności ludu.

4) Ziemianie powinnyby dać środki lepszej egzystencji swej służbie folwarcznej, co napewno zmniejszyłoby liczbę emigrujących, a mianowicie:

przez zwiększanie ordynarji, wydawanej w zbożu.

przez ulepszenie pastwników dla krów służby dworskiej w celu zwiększania ilości mleka,

powiększenie przestrzeni ziemi oddawanej na ogrody,

przez komasację gruntów, t. j. zniesienie szachownicy pól w gruntach włościańskich,

przez rozszerzenie wszelkich wogóle wiadomości, mających na względzie lepszą eksploatację gruntów,

przez umiejętniejszy dobór i różnorodność potraw i lepsze pod każdym względem ich przyrządzenie dla robotników, pozostających na stole dworskim.

Starsze pokolenie naszych pań posiadało daleko lepszą znajomość spraw gospodarczych, w porównaniu do młodszej generacji. Dziś coraz częściej można spotkać się z narzekaniem służby dworskiej na zły stół, pomimo, że na brak jedzenia uskarżać się nie mogą. Pochodzi to z braku potrzebnych wiadomości sztuki kucharskiej u naszych pań, które uważają sobie za pewnego rodzaju ujmę, za marnowanie sił własnych i drogiego czasu, aby poświęcać się na wglądanie w sprawy kuchenne i gospodarskie.

Kłęska narodowa.

Kłęską tą jest smutny fakt, że w zamożniejszych rodzinach naszych matki zrzucają z siebie obowiązek wychowywania własnych dzieci i oddają go obcym przybłedom Francuskom lub Niemkom, najczęściej bez żadnej oglądy umysłowej, bez żadnych zasad moralnych. Rezultatem tego musi być wynaturzanie, wynarodowianie dzieci, nieszczęście dla jednostek, nieszczęście dla społeczeństwa.

W tej¹ chwili gazety pełne są narzekania, iż Niemcy w Poznańskim zewsząd rugują język polski—nawet modlić się każą po niemiecku. Ale—uderzmy się w piersi—czy jest gdzie na świecie drugi naród, który by sam tak mało jak my, dbał o własny język, gdzieby rodzice zakazywali dzieciom swoim od pieluch niemal, mówienie językiem ziemi rodzinnej, a zmuszali do powtarzania niezrozumiałych dźwięków obcych—francuskich czy niemieckich.

Bony owe, uważane w domach zamożniejszych za oznakę tonu dobrego,—to nie tylko kłęska, to także wstyd!

Bardzo wymownie poruszyła tę sprawę w gazecie lwowskiej „Słowo Polskie“, znana pisarka Zapolska.

Obok dzieci, prowadząc je za rączkę, idzie kobieta, najczęściej młoda, odziana zwykle pretensjonalnie, a zarazem jakoś brudno i wyzywająco. Jest coś w twarzy takiej kobiety, w jej ruchach, w spojrzeniach, jakie rzuca, specjalnego, wyzywającego, dziwnego. Idzie, nie zajmując się wcale dzieckiem, które prowadzi, patrzy z pod przyczernionych często rzęs na przechodzących mężczyzn, uśmiecha się, odpowiada wzrokiem, a czasem i słowem na zaczepki. Mężczyźni, spragnieni łatwych miłości, wiedzą dobrze, iż te „Fräuleiny“ i „mademoiselle“, są dla nich gotowym żerem. Przechadzka z dziećmi jest zwykle pretekstem dla tych dziewcząt do zawierania w parkach lub skwerach znajomości. Poznam się z jaką boną! — mówi znudzony, a spragniony awantury mężczyzna. I poznaje się z ową boną zwykle na ulicy, na spacerze, na który bez kontroli puszczają w jej towarzystwie dzieci. Zwykle—matka, gdy dziecko wychodzi, kontroluje, czy jest ciepło ubrane, czy ma kamazki i chusteczkę na szyi. Lecz co będzie to dziecko mówiło z tą dziewczyną obcą, innej narodowości, w innem środowisku zrodzoną i wyrosłą—co mu ta dziewczyna odpowie na jego wieczne—„a po co...?“ o to troszczy się często matka najmniej. Chodzi o to, aby mówiła z dzieckiem po francusku lub po niemiecku. Akcent jest — choć

często akcent to kucharski i charczący szwaczek z przedmieść Paryża lub trywialny dialekt wiedeński. Lecz co tam z małą duszyczką się stało, jakie często zranienie duszy i ambicji dziecka, jaka czasem skaza wieczysta, na przeźroczej powierzchni istoty moralnej, obutej w ciepłe kamazki dzieciny, o tem dopiero późniejsze życie zaświadczyć może.

Bo kim są te dziewczyny, które całemi bandami spadają do kantorów i prezentowane przez słodko uśmiechniętą damę — wchodzi do domów rodzinnych, do sypialni dziecinnych po to, aby wieczorem kazać dzieciom mówić *Vater unser* lub *notre père!*. Z Jakich gleb, z jakich ziem wyrosły te kwiaty złego, zalegające ławki parków z minami małomiasteczkowych kokietek?

Była to roślina, tęga dziewczyna — tak zdeprawowana i zepsuta, jak można sobie przedstawić zepsutą dziewczynę paryską. Przeszła przez najgorsze błoto i usługiwała w nocnych kawiarniach, ubrana za żuawa. Potem — śpiewała w jakimś tinglu, wreszcie stoczyła się na same dno przepaści, na jakie kobieta stoczyć się może. Madame Hortense cierpiała bardzo nad tym upadkiem Eugenji. Robiła wszystko, co mogła, aby ją powstrzymać, lecz siła złego była tak potężna w tej młodej dziewczynie, że nic na nią wpłynąć nie mogło. I wreszcie dnia jednego madame Hortense stanęła przedemną ponura i zdecydowana.

— Cóż Eugenja? — zapytałam, widząc, że staruszka musi mieć jakąś nową zgryzotę z powodu swej córki.

— Eugenja! — wykrzyknęła pani Hortensja.

— Eugenja niema tu już co robić w Paryżu... niech lepiej jedzie do Warszawy na nauczycielkę!..

I po chwili dodała z uśmiechem:

— Mówią — że tam nasze Paryżanki robią świetno karierę!

To jedno. — Jeden ptak, jeden kwiat złego, a teraz drugi.

W Wiedniu, obok mnie, mieszkała rodzina krawca. I tu była dziewczyna zła i płocha. Tylko nie Eugenja było jej na imię a.. Fi-na. Ta bawiła się na sposób wiedeński. W lecie — „landpartie“, w zimie bale i maskarady. Ciągłe romanse z Tagblattów i ogłoszeń. Sentyment pięciominutowy, a wieczorem kolacje. Jedna sukienka zielona i kapelusz z ponsową wstążką, a na ustach piosenka, uśmiech i jakaś wesołość i radość w skakaniu po błocie, w którym tarzały jej się nogi.

Matka jej nie rozpaczała, jak madame Hortense, śmiała się z postępów córki i widząc ją na dnie przepaści, wzruszała ramionami. Była w tem jakaś cyniczna *Gemüthlichkeit*, coś potwornego, co przejmowało dreszczem.

Straciłam w życiu z oczów Fiug i jej zieloną sukienkę.

Nagle w kilka lat spotkałam się z matką.

— Cóż robi Fina? zapytałam:

— *Oh! sie ist in Polen als Lehrerin* — odpowiedziała. — Jest nauczycielką w Polsoe!

Oto drugi kwiat złego, oto ptak, lecący na kraj nasz po żer i straszający swe skrzydła na domy, w których drzemią dzieci w swych białych łóżeczkach.

Nad duszą dzieci naszych czuwa nie Anioł Stróż-matka, lecz szatany złego—wymioty rozpusty, zepsucie wszelakie z najgorszych śmietników świata całego. Całe szczęście, ratunek cały, że nie wszystkim rodzicom *starczy* na utrzymanie ladacznic.

Z teatru

Żle jest z polską sztuką dramatyczną! Nie widać w niej talentów, siły, pomysłów, dowcipu; natomiast ciągle zmartwienie z oglądania, wysłuchiwania nieudanych usiłowań lub dziwactw, niczem nieokupionych. Zle!

Kiedy w powieści mamy trzy takie potęgi, jak Sienkiewicz, Prus, Orzeszkowa i cały zastęp dużych talentów, w dramacie nuda, pustka, głupstwo. Wśród ogółu wyrobiła się nawet niechęć do chodzenia na polskie sztuki—niespodziewają się już ludzie zobaczyć nic ciekawego.

A tymczasem teatr u nas ma szczególne przywileje: ogół i prasa zajmują się nim więcej, niż czemkolwiek bądź — olbrzymie recenzje i króciutkie wzmianki zawałają łamy najpoczytniejszych dzienników; każda plotka, każda kaczką, każdy skandal teatralny budzi w Warszawie ogólne zainteresowanie. Toż samo dzieć się musi w miastach i miasteczkach prowincjonalnych: każda korespondencja do gazet albo się zaczyna od spraw teatralnych, albo się na nich kończy. Pisarz poczynający może pisać długo najmańdrzejsze artykuły o najważniejszych zagadnieniach społecznych, a nazwisko jego nie nabierze rozgłosu, — wystarczy wydrukowanie jednego śmiałego głupstwa o teatrze, aby w tej chwili zakotłowało się w Warszawie, aby setki języków poczęły powtarzać imię zuohwalca; jedni będą go przeklinać i podawać za złoczyńcę, inni znowu błogosławić jak zbawcę całego społeczeństwa.

Niedorzeczne te stosunki są jedną z przyczyn wielkiego upadku literatury dramatycznej. Błysnęło kilka zapowiedzi jakichś nowych talentów—zaduszono je dynem pochwał w prasie i w salo-
nach literackich. Recenzenci teatralni to osobna klasa mandarynów, bardzo nadętych, a bardzo mało odpowiedzialnych, — prze-
ważnie chodzi im daleko więcej o przeróżne względy uboczne, niż o sztukę, niż o literaturę.

Niezmiernie też wiele bródzi tu Kraków. Od jakiegoś czasu lęgną się tam obficie przeróżne dziwolągi literackie i artystyczne. Małe miasteczko z parafiańską naiwnością uwielbia te wszystkie potworki i rozgłasza ich sławę we własnych organach i w korespondencjach do gazet zamiejscowych. Z tych zapowiadzianych wielkości ani jedna nie wytrzymała próby czasu. A wytworzyła się trująca atmosfera fałszywej reklamy, która deprawuje talenty, a gust publiczności i sądy sprowadza na fatalne bezdroże. We własną wielkość bardzo łatwo uwierzyć, a zarozumiałość jest najgorszym wrogiem talentu.

Literatura dramatyczna ma—mówiąc gwarą warszawską—pecha! Bo jednocześnie w tymże Krakowie można się częściej niż gdzieindziej spotkać z bardzo poważną, z bardzo głęboką myślą społeczną!

W tej chwili grają w Warszawie utwór p. Kończyńskiego (zdaje się krakowianina) p. t. „Otchłan”. Rzecz mierna, ale autor młody, może się wyrobi, jeśli będzie pracować. Szczęściem dla niego wielu fachowych recenzentów było wtedy na otwarciu teatru we Lwowie, więc mu powiedziano wiele prawdy i wydano wogóle sąd dosyć ostry. Tymczasem niektóre gazety krakowskie wyjmują pochlebne wyjątki z kilku recenzji warszawskich i podają za zdanie tutejszej krytyki. Wyrządzają tem krzywdę przedewszystkiem autorowi. Na świecie niema nic łatwiejszego, jak uwierzyć we własną wielkość.

Treścią „Otchłani” są brudy sfer przemysłowych i kupieckich. Ulubiony to temat współczesnych realistów, a nawet i nie realistów. Nie tak jeszcze dawno inżynierzy, dyrektorzy i t. d. byli wzorami prawości, przykładami szlachetnych uniesień i rozumu: zachwycaliśmy się „Pozytywnymi” Narzyskiego, dotychczas lubimy pójść na „Właściciela Kuźnic” Ohneta. Dziś na scenie niedawne ideały są to wszystko lajdaki. Mniejsza o to. W literaturze i tak można, i tak można. Ale w literaturze powinno być wszystko zawsze jakoś uzasadnione.

Autorzy, głębiej patrzący i głębiej czujący, gdy dręczą czytelników i widzów obrazami przeróżnych matactw i oszustw, spekulantów, szachrajów, graczy, to po to, aby w następstwie pokazać straszne skutki dla ogółu istnienia takich osobników, takich machinacji.

Gracze giełdowi przyczynili się do tego, że dziś fabryki stoją, a tysiące robotników nie ma czem ratować dzieci od śmierci głodowej. Speculanci węglowi zrobili krocie na cierpieniu tysięcy i dziesiątków tysięcy biednych rodzin. To są najważniejsze, przedewszystkiem rzucające się w oczy skutki gangreny wśród potentatów przemysłu i handlu.

Potem idzie prywatna niedola najbliższych, rodziny domowników.

Karjerzyści bez hamuloów moralnych — to przekleństwo społeczeństwa, po ich przejściu *muszą* przyjść klęski.

W „Otehlani“ kara za łajdaka spada naprawdę tylko na samego łajdaka. Tak niestety, naprawdę nie bywa nigdy. Złe czyny często przywalają swego autora, ale jednocześnie ranią i zabijają wielu innych ludzi. Społeczeństwo powinno o tem wiedzieć. Jeśli odsłaniamy przed tłumem wstrętny widok zepsucia, to należy mu pokazać prawdę, uwidocznic wszystkie następstwa upadku moralnego.

W „Otehlani“ wielki łajdak Erazm Podosocki prowadzi do zguby dwierodziny, rujnując je materialnie i szczepiąc zgniliznę obyczajów; prowadzi do bankructwa bank. Wszystko jest już na pochyłości toczy się dalej własną siłą, a łajdak jeszcze pochyla. I... katastrofa nie przychodzi, bo cały ciężar powstrzymał na drodze jeden człowiek, podobno zdolny finansista, ale najlekkoomyślniejszy z ojców: córkę oddał za bardzo nieskomplikowanego łajdaka i obdarza go zaufaniem przez 8 bodaj lat, a bank, odziedziczony po swoim ojcu, powierza synowi młokosowi, urwisowi bez żadnej siły, bez jednego lepszego popędu.

Czy taki lekkoomyślny ojciec mógł być zdolny do uratowania później rodziny, gdy już w niej przez lat 8 gospodarował łajdak? Naturalnie że nie.

A teraz jeszcze jeden szczegół. W sztuce występuje dziewczątka młode, uroczne, wesołe, ale już, zdawałoby się, zepsute do gruntu, bo od lat wielu psute mistrzowską ręką guwernantki francuzicy i owego łajdaka. Przeciwdziałania niema żadnego, bo ojciec głuptasek, a matka widocznie gąska i próżniaczka — paple po francusku, a mając jedną tylko córkę i bardzo małe obowiązki domowe, powierza wychowanie córki jakiejś ladaoczniczy z Paryża.

Więc dziewczątka owemu wcześniej psują wyobraźnię opowiadaniem o rozpustnej, występnej miłości, dają jej do czytania ohydne książki z bezwstydnymi obrazkami. Wreszcie pan Podosocki podnieca je bezustanku fizycznie. Co z takiego uroczego dziewczątka może wyrosnąć? Musi wpaść do kałuży występku i tam utonąć. Tak się dzieje w życiu i tak być powinno na scenie. Niechby ci ojcowie i te matki, które wychowanie dzieci powierzają przybłedom, zobaczyli, co czeka ich córki.

Zbrodnicze machinacje nad duszą dziecka przez szereg lat bez żadnego przeciwdziałania ze strony rodziny nie mogą minąć bez następstw. Jeśli nawet kiedy dzięki najszcześliwszym okolicznościom przyjść może ratunek, to tylko po wielu cierpieniach i przez cierpienie, po pokucie, po ofiarach, po pracy ciężkiej.

Tu odkupienie przyszło, łatwo i prędko: panienska zatrzepotała

się jak ptaszek, popłakała tak humorystycznie, iż się teatr trząsł od śmiechu i... wszystko skończone. Podobnie fałszywe przedstawienie rzeczy nie tylko budzi niezadowolenie, nie tylko zmusza widza do wzruszenia ramionami na sztukę i na autora, ale szkodzi obyczajom, bałamuci pojęcie o złem i dobrem.

Poza tem w sztuce są bardzo już zużyte osoby i doskonale znane, oklepane wypadki. Nawet takich zdechłaków, którego w sztuce nazywają nowszym tytułem „dekadent“, jużśmy widywali w Bog wie ilu sztukach. W „Otcłani“ niema ani jakichś młodzieńczych, zuchwałych porywów, ani pomysłowości.

Grali artyści Rozmaitości bardzo dobrze: pp. Trapszo, Śliwicki, Żelazowski, Szymanowski i Frenkiel.

L.

Fundacja Wiktora Osławskiego.

Galicja zyskała świeżo pół miliona guldenów (blisko 400 tysięcy rubli) na cele naukowe. Ofiarodawca zwał się *Wiktor Osławski*. Przez lat 62 mieszkał on stale we Francji i tu umarł (w 1893 r.), chociaż od roku 1885 był poddanym austriackim.

Majątku dorobił się własną pracą, własnym rozumem. A przechodził w życiu różne koleje, nie jeden dzień spędził w ciężkiej biedzie. Miał bogatych krewnych, z których pomocy nie korzystał.

Myśl oddania zarobionego majątku na cele oświaty w Galicji nie przyszła mu do głowy nagle, nie był to jakiś kaprys, zachcianka, fantazja. Był to plan obmyślany i piastowany w głowie przez długi szereg lat. Aby usunąć przeszkody co do urzeczywistnienia ś. p. Osławski rzekł się obywatelstwa francuskiego chociaż mieszkał w Paryżu i postarał się o poddaństwo austriackie. O zamiarach ś. p. Osławskiego wiedział dokładnie czcigodny profesor krakowski Fryderyk Zoll, którego się ofiarodawca radził, z którym korespondował i którego uczynił wykonawcą testamentu.

Pomimo, że majątek był nabyty, pomimo świętości celu, pomimo wyraźnych dowodów, iż myśl fundacji drogą była sercu Osławskiego, może mu jak gwiazda przewodnia przyświecała w pracy, dla niej nie dla kogo ani dla czego innego oszczędza, — pomimo to wszystko znaleźli się ludzie, którzy chcieli wolę zmarłego obalić, fundusze zgromadzone i prze-

znaczone na cele użyteczności publicznej zagarnąć na swój własny użytek.

Zrobiono wszystko, co tylko się dało, aby przyjście do skutku zapisu obalić lub chociaż opóźnić. Dzięki energii i gorliwości prof. Zolla, procesy zostały wygrane, amatorom nienależnego spadku powiedziano, że apetyt był fałszywy i fundacja wejdzie w życie.

Treść jej taka:

Kapitał fundacyjny 500,000 guld. ma być oddany Wydziałowi krajowemu. Z procentów winny być naprzód corocznie rozdawane cztery stypendja po 2,500 guldenów Polakom, pragnącym kształcić się na profesorów Uniwersytetów w Krakowie, we Lwowie lub Szkoły politechnicznej we Lwowie. Prawo rozdawnictwa tych stypendjów służyć ma komitetowi, złożonemu z pięciu osób t. j. prezesa i sekretarza jeneralnego Akademji umiejętności, tudzież rektorów trzech poprzednio wymienionych wyższych zakładów naukowych. Ubiegający się o stypendjum winien wykazać gruntowną znajomość języka polskiego, stopień naukowy, uzyskany na Uniwersytecie lub Politechnice, następnie, iż jest docentem na Uniwersytecie albo nauczycielem lub płatnym zastępcą nauczyciela w gimnazjum lub szkole realnej bądź w kraju bądź za granicą, wreszcie ma przedstawić program dalszego kształcenia się, byleby nie w mieście, gdzie pełni swe obowiązki. Na referentów komitet zaprosić może profesorów tych przedmiotów, w których kandydat się kształci. Wypłata stypendjum ma nastąpić z góry na cały rok. Stypendjum może być pobierane przez drugi a nawet i przez trzeci rok pod warunkiem, że stypendysta napisze rozprawę, która zostanie umieszczona w publikacjach Akademji umiejętności. Tacy stypendyści winni nawet mieć pierwszeństwo przed innymi kandydatami. Zresztą należy pierwszeństwo przy ubieganiu się o stypendjum przyznać kandydatom, kształcącym się w takich przedmiotach, dla których katedra albo jest opróżnioną, albo wkrótce może zawakować, następnie tym kandydatom, którzy się poświęcają studjom doświadczałnym, wymagającym pracy w laboratorjach. W razie braku odpowiedniego kandydata, wakujące stypendjum ma przyrastać do kapitału. Na druki, pisma, tudzież na koszt członków komitetu fundator przeznaczają odsetki z kapitału 30,000 złr, następnie przeznaczają odsetki z kapitału 80,000 złr. na zapomogi w rocznych kwotach 700 do 900 złr. dla powracających do kraju młodych wykształconych, którzy nie mogą natychmiast znaleźć miejsca zarobkowego, ale najdłużej na przeciąg dwu lat. Procenty z reszty kapitału fundacyjnego mają być rozdzielone na dwie połowy, jedna przeznaczona dla pracowni Uniwersytetu Krakowskiego, druga dla pracowni Uniwersytetu Lwowskiego, i to mają kolejno co roku procenty te otrzymywać na-

przód profesorowie, kierujący pracownią fizyczną, potem profesorowie, kierujący pracownią fizjologiczną, potem profesorowie kierujący pracownią mineralogiczną, potem profesorowie kierujący pracownią botaniczną i zoologiczną, a w końcu (w r. 5-tym) profesorowie kierujący laboratorium chemicznem. Pieniądze mają być użyte na prace w laboratoriach i na badania naukowe, podjęte bądź przez profesorów, bądź przez uczniów, tudzież na zakupno nowych przyrządów naukowych lub materiału, niezbędnego do badania, aby młodzież miała większą sposobność do kształcenia się praktycznego na korzyść kraju i nauki. Przyrządy zakupione stają się własnością laboratorium, ale w inwentarzu musi być zaznaczone, że pochodzą z fundacji W. Osławskiego. Otrzymanymi pieniędzmi dyrektor pracowni może wprowadzić na powyżej oznaczony cel rozporządzać dowolnie, winien jednak składać rachunek Wydziałowi krajowemu.

W końcu stanowi fundator, że gdyby fundacja nie była, albo nie mogła w myśl jego być wykonaną, natenczas staje się nieważną, a kapitał fundacyjny przechodzi na gminę miasta Krakowa i Lwowa, które utrzymywać mają dwie wielkie szkoły z językiem wykładowym polskim, celem kształcenia nauczycieli dla szkół ludowych.

Prof. Zollowi należy się uznanie za tak dzielną a skuteczną obronę interesu publicznego.

NOWE KSIĄŻKI.

Jakób Sully, „Dusza dziecka”, przekład z angielskiego Izabelli Moszczeńskiej.

Dzieło to nie ma na celu rozwiązywania wychowawczych zagadnień; traktuje ono sprawę z punktu psychologicznego, nie pedagogicznego. Książka więc jest przeznaczona przede wszystkim dla tych, których zaciekawia bieg życia i rozwój umysłowy i moralny naszych pociech. Oparty jednak na podstawie bardzo bogatego materiału spostrzegawczego, zarys ten „Duszy dziecka” przyda się niezawodnie i rodzicom inteligentnym, i nauczycielom, dając im cenne wskazówki w praktyce nauczania i wychowania. Dla zwolenników metody Freblowskiej książka może mieć znaczenie już z tego względu, że dotyczy głównie wieku dziecka od niemowlęctwa do okresu szkolnego. Język lekki i zajmujący sposób opowiadania, zwłaszcza zaś przebijająca wszędzie sympatja

dla „milusińskich“ nadają dziełu pewnego powabu, co nieczęsto spotyka się w rzeczach filozoficznych.

W całości więc „Dusza dziecka“ jest pracą pożyteczną i zajmującą, jakkolwiek dałoby się niejeden dział w niej skrócić; zwłaszcza dotyczy to przykładów, które czasem ciążą swym nadmiarem. Jeden tylko rozdział nie nadaje się zupełnie dla nas, Polaków, mianowicie „Mały lingwista“, w postaci oryginalnej, jak go tutaj przełożono. Jest bowiem mowa o języku angielskim, o tworzeniu wyrazów angielskich, skażeniu ich przez dzieci i t. p. Pożądaną byłaby przeróbka zupełna tej kwestji przez kogoś ze specjalistów, aby rzucała światło na kształtowanie się naszych wyrazów w ustach dziecka.

Walerj Przyborowski, „Historja sześciu miesięcy“.

Ustęp z dziejów 1862 r.

W książce tej spisane są i oświetlone wypadki polityczne od chwili przybycia do Warszawy Wielkiego Księcia Konstantego na stanowisko Namiestnika w d. 2 lipca 1862 roku, aż do wybuchu powstania 22 stycznia 1863 roku. O tym momencie dziejowym, brzemennym w tak doniosłe dla narodu następstwa pisało wielu. Dotychczas jednak poza tendencją niepodobna było nieraz nawet domyśleć się prawdy. P. Przyborowski pierwszy oparł się na dokumentach krytycznie zbadanych. Czy więc kto zgodzi się z nim czy nie co do punktu widzenia, przyznać musi, iż z książką tą przybyło światła.

Ażeby dać czytelnikom pojęcie o duchu i o treści pracy Przyborowskiego, przytaczamy początkowy ustęp z Przedmowy i ostatnie wiersze z Zakończenia:

„W społeczeństwie, którego najmłodsze pokolenia nie wiedzą, co się wczoraj działo, co robili ich ojcowie i jakie błędy popełniali, taka praca jak niniejsza, nietylko jest potrzebną, ale konieczną nawet, i jej napisanie jest obowiązkiem obywatelskim. Przychodzą bowiem niekiedy takie czasy, że historja staje się prawdziwą mistrzynią narodów, wzorem postępowania, nauką niezbędną życia społecznego. Może się mylimy, ale sądzimy, że czas taki u nas nadszedł, czas, w którym potrzeba wiedzieć dokładnie, co wczoraj robiono, by dziś uniknąć tych samych błędów, jakie wtedy popełniono, jak zachować się w teraźniejszości należy. Przed młodem pokoleniem czytelników, (bo autorowi szło głównie

o młodzież), roztoczy się obraz niewątpliwie smutny, ale pełen głębokiej, ciężkiej, ponurej, jednocześnie wszakże zbawiennej nauki. Czytelnik zobaczy, jak naród, mając w ręku wszystko niemal, co mógł mieć w danych warunkach, dla pomyślnego rozwoju sił swych rodzinnych, w pościgu za ideałami, wykarmionemi długim szeregiem nieszczęść, w pogoni za aspiracjami bardzo zapewne podniosłej natury, ale nie liczącemi się z praktyczną możliwością danej chwili — utracił wiele i nawet zachwiał podstawami swego bytu.

„Historja ta pokazuje, jak garść ludzi, nie upoważnionych do akcji politycznej ani wiekiem, ani doświadczeniem, ani nauką lub stanowiskiem społecznem, zuchwale i lekko-myślnie wzięła się do kierowania nawą krajową i wśród dziejowych fal burzliwych, rozbiła ją na drzazgi, na szczątki niemal. Historja ta pokazuje, jak ludzie dojrzałi, ojcowie narodu, w niepojętym niedołęstwie, pozwolili sobie wyrwać z rąk wszytkie wodze, cały ster tej nawy i w niemem osłupieniu patrzyli na ginący statek. I statek ten pogrążył się w otchłań nieszczęść tak wielkich, jakich przykłady rzadko w historji można napotkać.

„Niestety! wszyscy się mylili, okropnie się mylili i za tę ich omyłkę, kraj miał ciężko odpokutować. Nie wiedzieli oni, nie chcieli widzieć, a może przeznaczenie fatalne, takie bielmo rzuciło na ich oczy, tak ogłuszyło ich uszy, że nie słyszeli złowieszczonego pomruku zbliżającej się burzy. Kiedy oni, ta szlachta, ta reprezentacja całej prawie dawnej Rzeczypospolitej, radziła nad programami, marzyła o pokojowej pracy, łudziła się nadzieją długiej ciszy i prawidłowego rozwoju sił narodowych, z ciemności straszego jutra, wyłaniały się już blade postacie ludzi nowych, szaleńcy, pożerani chorobliwą gorączką czynu, ostobistości nieznane, młodzieńcy bez wąsów, a nadewszystko bez głowy i bez serca, którzy w imię najsłodszej narodowi idei, wypieszczonej przez długie lata, skazywali ten naród na całopalenie, jak wdowie indyjskiej po śmierci męża kazali umierać na stosie.

„Taką była ta długa, posępna w swych głównych zarysach, tragiczna w swym końcowym akcie historja. Jeżeli jej przebieg od początkowego zarodka, zdawało się, tak nie nie znaczącego, był bardzo dramatyczny i częstokroć bardzo bolesny, to o ileż dramatyczniejszem, o ileż boleśnieszem jest to jutro, te dni krwawe, jakie one przygotowały i spłodziły! Ale dzieje te nie należą już do zakresu naszej pracy. Zatrzymujemy się więc przed głęboką przepaścią ostatniej tragedji narodowej, przed tą krwawą męką Polski, która jak św. Teresa, przez to umierała, że umrzeć nie mogła

i w chęci zmartwychpowstania własną dłonią rozdierała ledwie gojące się rany; zatrzymujemy się w tem przekonaniu, że pisząc tę kartkę, spełniliśmy obywatelski acz bolesny obowiązek."

M. Zdziechowski. „Szkice literackie I”.

Pomimo tytułu i tematów przeważnie literackich, jest to raczej zbiór rozpraw treści przeważnie moralnej i religijnej. Autor w przedmowie charakteryzuje pokrótce dzieje i stan dusz ludzkich w czasach ostatnich, pisze też i o swoich walkach wewnętrznych. „Szkice te — powiada — stanowią zarazem historję moich własnych wędrówek w celu wyszukania sprzymierzeńców i przewodników do odwiecznej walki w imię ducha przeciw materji... Myśl o religji nierozzerwalnie wiązała się we mnie z myślą o moralnej doskonałości jednostek, w tej zaś widziałem jedyny, pewny środek do osiągnięcia upragnionego przez nas wszystkich ideału. Poezja Krasińskiego była dla mnie szczytem myśli i natchnienia. Irydionowe *Idź i czyń* dźwięczało mi ożywczą pobudką w smutkach życia wewnętrznego. I pobudkę tę, ten hymn o wiecznotrwałej i cudotwórczej sile chrześcijaństwa starałem się uratować z rozbicia tyłu nadziei i wierzeń... Oczywiście żaden kierunek myśli nie może uspokoić pragnień ludzkich, ani przynieść szczęścia, ale każda praca, gdy wypływa z żądzy dobra powszechnego, sprawiedliwości i prawdy i gdy ją skrzydli myśl o Bogu i urzeczywistnieniu słowa Bożego na świecie, wydaje swój dobry plon. I nadzieja możliwości zespolenia dążeń Kościoła z najszlachetniejszymi dążeniami naszych religijnych i etycznych kierunków stanowi nić, wiążącą szkice niniejsze."

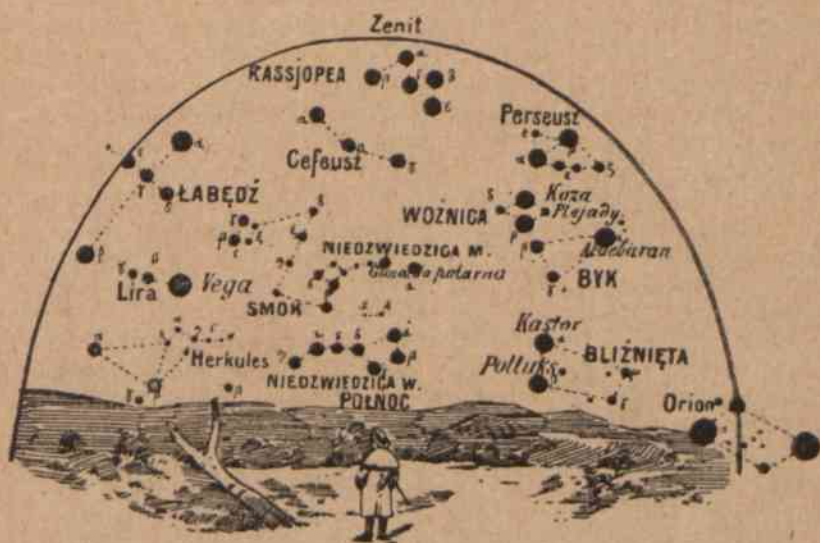
Tytuły tych szkiców: I H. Sienkiewicz w listach z podróży po Ameryce i obrazkach amerykańskich, II Neodalizm francuzki, III Edward Schuré i ezoteryzm, IV Katolicyzm a prądy religijne w literaturze, V Idea Boga w twórczości artystycznej, VI Spór o piękno. P. Zdziechowski jest profesorem literatur słowiańskich w uniwersytecie w Krakowie.

Rudyard Kipling. „Księga Dzungli” (z angielskiego).

Jest to siedem opowiadań bardzo fantastycznych, niby to z życia zwierząt (Dzungla — puszcze indyjskie). Wychodzą tam tygrysy, wilki, węże, słonie, niedźwiedzie, wreszcie dziki, wychowany przez wilki chłopak. Wygląda to wszystko na jakąś trudną do pochwycenia alegorję, ale podobno żadnej alegorji tam nie ma. Bardzo to dziwny rodzaj powiastek, ale pisane z wielkim talentem.

ROZMAITOŚCI.

Karta nieba na miesiąc Listopad.

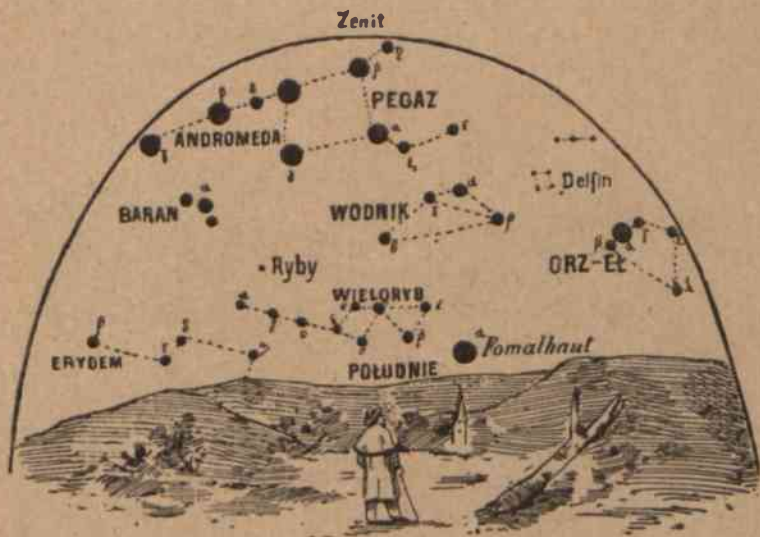


Widok nieba od strony północnej.

Patrząc w stronę północy, w zenicie naszym widzimy gwiazdozbiór *Kassiopee*, mający kształt litery M, niżej zaś *Cefeusza*, *Małą Niedźwiedźcę* z *Gwiazdą Biegunową*, stale wskazującą nam północ. Na wschodzie widzimy *Perseusza*, *Woznicę* z *Kozą* i *Koźlętami*, *Byka*, *Plejady*, prawie nad horyzontem *Bliźnięta* z *Kastorem* i *Polluksem* i część *Oriona*. W stronie zachodniej spostrzegamy *Łabędzia*, w kształcie krzyża. *Smoka*, *Lirę* z piękną *Wegą*, i konstelację *Herkulesa*, w której niema żadnej gwiazdy pierwszej, ani drugiej wielkości. Podczas nocy 13-go i 14-go listopada widoczny będzie deszcz gwiazd spadających.

Zwróciwszy się na południe, widzimy w zeeicie czworobok *Pegaza*, niżej zaś *Wodnika* i *Wieloryba*. Na prawo znajdujemy *Delfina*, *Orla* i świetną *Fomalhaut*. Na lewo widzimy *Andromedę*, *Barana* i część *Erydana*.

Merkury świeci na wschodzie na początku nocy, później zbliża się do słońca i staje się niewidocznym. Piękna *Wenus* świeci w ostatnich godzinach nocy. Czerwone światło *Marsa* widzimy w gwiazdozbiornie *Lwa* w drugiej połowie nocy. *Jowisz* świeci po zachodzie słońca do 15-go listopada, później staje się niewidocznym. *Saturna* widzieć można przed północą.



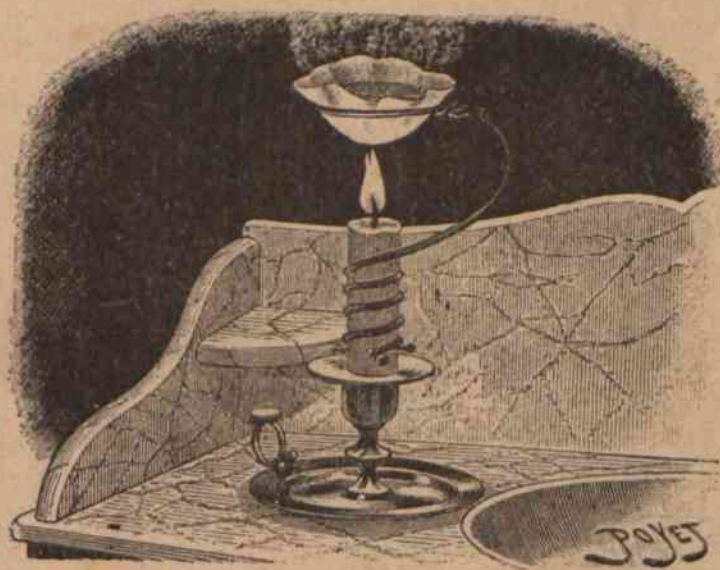
Widok nieba od strony południowej.

— **Piekło chińskie.** Obecne zaburzenia w Chinach pochodzą przeważnie, a może nawet zupełnie z religijnego fanatyzmu, więc też ogromne zainteresowanie wzbudziło nowe wydanie w językach europejskich książki chińskiej, „Juj-Li” (Drogie wspomnienia). Utwór ten napisany w X wieku ery chrześcijańskiej, jest uzupełnieniem nauki Konfucjusza i zawiera pojęcia Chińczyków o pozagrobowym życiu grzesznego człowieka. Gdy dusza Chińczyka oddzieli się od ciała, natychmiast ją porywają demony, unoszące się w przestrzeni w palankinach. Złe duchy wiozą ją do piekła, gdzie jest

mnóstwo budynków, a w nich urzędników, ci roztrząsają życie umarłego i skazują go na odpowiednią karę. Dusza może bronić się i przypominać dobre swe uczynki. Łaskawość boga losów może zezwolić grzesznej duszy na powrót na ziemię, ale w ciele człowieka chorego lub kaleki; ztąd tych ludzi upośledzonych poczytują w Chinach za grzeszników w „życiu przeszłym“. Kobieta, która żyła przykładnie, może powrócić na ziemię w osobie mężczyzny, ponieważ cnota jest udziałem mężczyzny, występki zaś właściwością kobiet.

Piękne zapatrywania!

— **Jak zagotować wodę w papierze.** Wyciąć z grubego papieru krążek wielkości talerzyka (15 cm.). Z grubego drutu żelaznego zwinąć kółko średnicy 7 cm, resztę zaś drutu okręcić w około świecy, jak wskazuje rysunek. Jeżeli na tej podstawie z drutu położymy krążek, a zrobiwszy w nim zagłębienie palcami, nalejemy



wody i zapalimy świecę, woda się zagotuje, papier zaś się nie spali, coby oczywiście bez wody nastąpiło. Woda bowiem, wrac w naczyniu otwartem, ogrzeje się najwyżej do 100 stopni, reszta ciepła idzie na parowanie (ciepło się pochłania czyli utaja); papier zaś zwęgląc się zaczyna dopiero około 200 stopni ciepła. Do udania się doświadczenia potrzeba, aby płomień nie dotykał papieru i aby woda sięgała w papierze powyżej drutu.

W podobny sposób tłumaczy się, dlaczego naczynia spajane cyną (samowar) nie rozlutowują się, dopóki w nich jest woda.

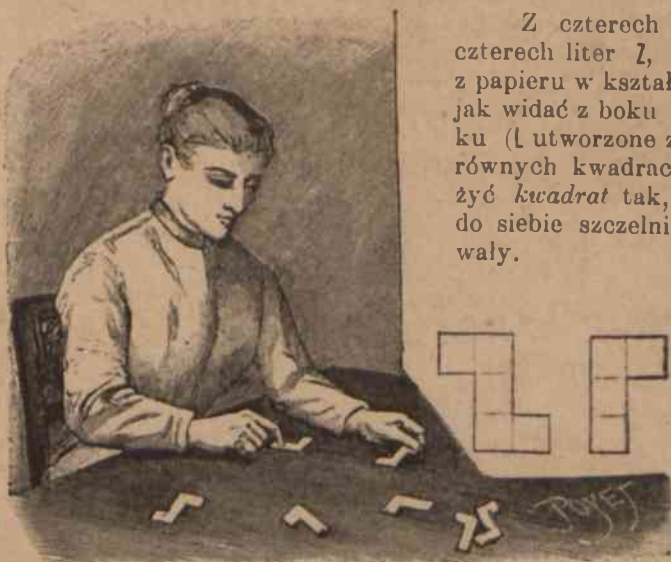
Zadania.

Ani zyskał, ani stracił.

Pewien handlarz kupił 11 krów i płacił po 35 rubli za sztukę. W drodze ukradziono mu pewną ilość krów. Zmartwiony, postanowił resztę sprzedać tak, aby przynajmniej nie mieć straty; w tym celu cenę każdej krowy podwyższył o tyle pięciorubłówek ile krów utracił.

Ile krów mu skradziono, jeżeli faktycznie ani zarobił, ani stracił na tej sprzedaży?

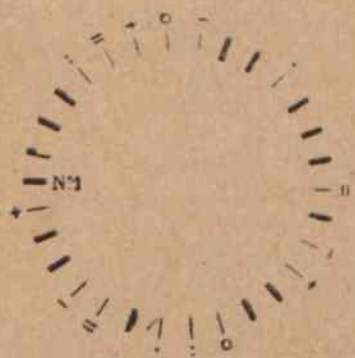
UKŁADANKA.



Z czterech liter L i czterech liter Z, wyciętych z papieru w kształcie takim, jak widać z boku na rysunku (L utworzone z 4, Z z 5-u równych kwadracików), złożyć *kwadrat* tak, aby litery do siebie szczelnie przystawały.

Rozwiązania

Życie lub śmierć.



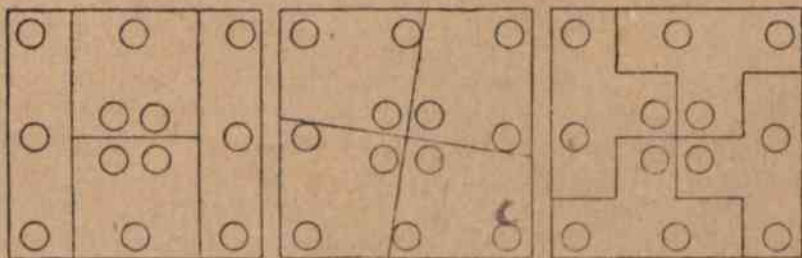
Cudzoziemcy i Chińczycy stanęli w porządku następującym:

4 cudzoziemców — 5 Chińczyków — 2 cudz. — 1 Ch. — 3 cudz. — 1 Ch. — 1 cudz. — 2 Ch. — 2 cudz. — 3 ch Ch. — 1 cudz. — 2 Ch. — 2 cudz. — 1 Ch.

Na załączonym szkicu kreski cienkie oznaczają cudzoziemców, grube Chińczyków. Osoby, na które los padł w pierwszym obiegu koła, oznacza znak —, w drugim =, trzecim +, czwartym ., piątym o, szóstym :; losowanie rozpoczęto od N 1.

Rozwiązanie nadesłali: Stefcia, Zygmus i Zosia z Warszawy, Julja Tykocinerówna z Włocławka, Regina i Kazimierz Piotrowscy z miasta Łomży.

Trudny podział.



Istnieje kilka sposobów podziału ogrodu; podajemy trzy najbardziej praktyczne.

Rozwiązanie nadesłali: Regina i Kazimierz Piotrowscy z miasta Łomży.

Korsarz Triplex.

(Powieść w 2 częściach).

(*Ciąg dalszy*).

— Tak, mój chłopcze, — odparł Lavarede wzruszony. — Wiesz, że tak być powinno, gdyż inaczej byłoby to za przykre.

Paryżanin wziął chłopca za rękę i zaprowadził do hotelu.

Oretta i Lozja wstały już i czekały na niego, pomimo ранnej godziny. Z radością wysłuchały jego opowiadania o spotkaniu z Allsmayne'm i uściskały serdecznie chłopca. Oretta wyraziła chęć wziąć do siebie chłopca, dać mu odpowiednie zajęcie i tym sposobem wydobyć z nędzy. Starła się wytłomaczyć to chłopcu, lecz ten ruchem głowy odmówił.

— Jesteś pani dobrą, jak tamta dama — rzekł po chwili, — lecz to nie przyda się na nic. Silly nie może mieszkać w domu. Ale zawsze pamiętać o pani będzie.

Oretta nie nalegała dłużej, i Silly, pozostawiony samemu sobie, chodził po pokoju.

Około dziesiątej, po obfitem śniadaniu, Silly zawiadomił,

że musi iść do portu i wyszedł, uściskawszy rękę paryżanina i ucałowawszy ręce pań. Podróżni nie zatrzymywali go.

— Jest to ptak polny, który nie zniesie niewoli nawet w złoczonej klatce, — mówiła Lozja.

Wkrótce potem zamierzali wyjść zwiedzić miasto, lecz zatrzymał ich niespodziany wypadek. Armand sięgnął do kieszeni po cygara, lecz ze zdziwieniem wydobył z niej jakiś papier.

— Znów list od mego tajemniczego korespondenta! — zawołał, spojrzawszy na adres. — Ten sam charakter pisma!

— Zupełnie ten sam, — potwierdziła Lozja. — Czytaj pan prędzej! Pierwszy list wyświadczył nam ważną przysługę.

Paryżanin rozwinął list i czytał głośno:

„Panie! Chcesz pan odnaleźć swego kuzyna, Roberta Lavarede. Nie mogę panu powiedzieć, gdzie on się znajduje, lecz chcę uspokoić jego narzeczoną. Żadne niebezpieczeństwo nie grozi mu. Robert Lavarede stara się wszelkimi siłami przyspieszyć chwilę, w której będzie mógł ofiarować miss Lozji odzyskane swe nazwisko. Usiłowania jego prawdopodobnie uwieńczone zostaną pomyślnym rezultatem. Pan możesz mu wiele dopomóc. Udało się panu wyświadczyć sir Allsmayne'owi przysługę, za którą będzie chciał wywdziękować się. Zażądaj pan od niego uwolnienia egipcjanina Niarego z fortu Broken-Bay, gdzie jest zamknięty. Tym sposobem zyskasz pan bardzo pożytecznego świadka. Oddany panu — korsarz Triplex.“

Podróżni osłupieli ze zdumienia. Któż to był taki, że znał ich myśli? Co mogło łączyć ich z tym korsarzem, o którym wszyscy mówili, lecz którego nikt nie widział?

Armand pierwszy odzyskał przytomność.

— Bądź co bądź, — zawołał, — ten korsarz jest naszym przyjacielem. To widać z całego jego postępowania z nami. Raz już posłuchałem jego rady i tym sposobem zyskałem przychylność sir Allsmayne'a. Trzeba i teraz iść za jego wskazówkami. Co panie o tem myślicie?

— Błagam pana o to, — zawołała Lozja. — Lecz, przepraszam, wypowiedziałam swoje zdanie przed Orettą... Lecz, pan rozumiesz... jakie uczucia...

Młoda dziewczyna zmieszała się, lecz Oretta przyszła jej z pomocą.

— Nie tłumacz się, Lozjo, — rzekła. — Wiesz przecie, że w tej sprawie nie mogłam mieć innego zdania. A przytem, — dodała z uśmiechem, — musiałam odbyć podróż na około świata za swoim mężem i wiem z doświadczenia, że trzeba długo wędrować po świecie, aby wyjść za mąż za Lavarede'a. To rodzina perypatetyków.

— Tylko bez filozofji Arystotelesa! — zawołał jej mąż.

— To jeszcze nie wiadomo. W każdym razie, — kończyła tonem profesora z katedry, — wzywam pana w imieniu Arystotelesa i naszym, abyś natychmiast udał się do Allsmayne'a i wręczył mu list Triplexa.

Armand nie czekał powtórnego „wezwania“. Nie tracąc czasu, udał się do Allsmayne'a. Szwajcar, stojący w bramie pałacu, który widział już Armanda rano, poznał go zaraz i przepuścił natychmiast, dając dzwonkiem elektrycznym sygnał o jego przybyciu.

Po chwili służący wprowadził Lavarede'a do biura, gdzie Allsmayne znajdował się sam. Zobaczywszy Francuza, sir Tobjasz podniósł się szybko.

— A, pan Lavarede, — rzekł, ściskając przyjaźnie rękę Armanda, — cieszę się, że pana widzę. Nie spodziewałem się zobaczyć pana tak prędko...

— Nie śmiałybym przeszkadzać panu, — odpowiedział Armand, — gdyby nie ważny powód.

— Jaki?

— Niech pan zobaczy, — odpowiedział Armand, podając sir Tobjaszowi list korsarza.

Allsmayne zaczął powoli czytać list. Chciał widocznie zebrać myśli. Przeciwnik zadawał mu cios, który nie łatwo było odbić.

— Doprawdy, jestem w kłopotcie, — rzekł głosem, brzmącym szczerością. — Ten, co koresponduje z panem, zna moje sprawy lepiej odemnie, jeżeli tylko w tym wypadku nie myli się. Ponieważ jednak chciałbym bardzo być panu pomocnym, proponuję panu konną przejażdżkę jutro do Broken-Bay. To nie dalej, jak dwadzieścia kilometrów. Zoba-

czymy wszystkich więźniów, i, jeżeli tylko znajdzie się między nimi Niari, gotów jestem oddać go do pańskiej dyspozycji.

Ton i wyraz twarzy Allsmayne'a nie wzbudziły w Armandzie żadnego podejrzenia. Podziękował uprzejmie i, nie chcąc przeszkadzać sir Tobjaszowi, pożegnał go, przyrzekając stawić się nazajutrz o ósmej rano.

— Przepraszam, czy nie masz pan najmniejszego bodaj podejrzenia, ktoby mógł dostarczyć list?—spytał Allsmayne.

— Nie podejrzewam nikogo. List znalazłem w kieszeni paltota.

— Czy palto miałeś pan na sobie dzisiaj rano?

— Nie, włożyłem je dopiero po wyjściu Silly'ego.

— Silly'ego?—powtórzył Allsmayne, marszcząc brwi.

— O, chłopiec napewno nic nie winien. Nie wiedział bynajmniej, że wezmę go z sobą do hotelu. Sam zaproponowałem mu śniadanie.

— Więc to pewnie ktoś ze służby?

— Prawdopodobnie.

— Wszystko jedno zresztą, jutro zobaczymy.

Lavarede uklonił się i wyszedł. Zaledwie drzwi się za nim zamknęły, naczelnik policji zmienił zupełnie zachowanie. Tłumiony długo gniew wybuchnął z całą gwałtownością. Z oczu sypały się błyskawice, zaciśniętymi pięściami tłukł w stół.

— To Silly... napewno on! Poczekaj, już ja cię upilnuję! Nie uda ci się dłużej wyprowadzać mnie w pole! A przez ciebie trafię do twych współników. Co to za ludzie, że znają dokładnie całą moją przeszłość. Muszę ich wynaleźć i zmusić do milczenia. Dowe wysledzi Silly'ego, i jutro, lub pojutrze nie intrygi będę miał w ręku, a rozplątać ją potrafię...

Albo ten Francuz!—ciągnął dalej, grożąc pięścią w kierunku drzwi.—Cymbał jeden! Myśli, że dla jego przyjemności poświęcę interes Anglii w Egipcie! Znajdzie on jutro Niarego. Dziś jeszcze każę go przeprowadzić z Broken-Bay.

Przycisnął gwałtownie guzik dzwonka. Drzwi otworzyły się i wszedł James Pack.

— Co to? Myślałem, że pan śpisz.

— Poszedłem wprawdzie spać, — odpowiedział James, — lecz przyszło mi na myśl, że dzisiaj mogę być panu potrzebny. Łaźnia i masarz usunęły znużenie, i oto jestem do usług pańskich.

— Doskonale! Rzeczywiście, potrzebuję pana. Triplex znowu dokazuje. Zawiadomił Lavarede'a, że Niari znajduje się w Broken-Bay.

— Nie może być!

— Zapewniam pana, że tak jest. Lavarede przed chwilą ztąd wyszedł.

— Zapewne zaprzeczył pan?

— Stanowczo. Zaproponowałem mu nawet, aby jutro pojechał ze mną do Broken-Bay i przekonał się naocznie, że niema tam żadnego Niari'ego.

— Jakto?... A, rozumiem, każe go pan przeprowadzić gdzieindziej.

— Tak, do więzienia sydneyjskiego. Oto rozkaz...—mówił Allsmayne, biorąc ze stołu papier.—Bądź pan łaskaw odnieść go do zarządu centralnego i kazać dzisiaj zaraz odesłać do Broken-Bay do komendanta. Trzeba, żeby dzisiejszej nocy Niari osadzony został w więzieniu w Sidney.

Pack zaledwie powstrzymał się od uśmiechu, odpowiedział jednak:

— Natychmiast wypełnię polecenie pańskie.

Wziął rozkaz i opuścił biu o. Udał się prosto do zarządu centralnego i oddał papier do właściwego wydziału. Potem włożył ręce do kieszeni i pogwizdując, skierował się ku posterunkowi policyjnemu na bulwarze Darling-Haarburg. Tu wydał rozkazy, dotyczące się odszukania złoczyńców, którzy w nocy przywiązali go do słupa, i po załatwieniu czynności urzędowych, poszedł powoli ku domowi Allsmayne'a.

Nagle uśmiechnął się, zobaczywszy idących w jego stronę dwóch przechodniów. Najprzód szedł Silly, a o pięćdziesiąt kroków za nim jakiś robotnik.

Silly powitał Jamesa:

— Witam pana, panie James.

— Jak się masz, Silly!

Robotnik zatrzymał się przed słupem ogłoszeniowym.

Chłopiec spojrział bokiem na niego i po cichu rzekł do Packa.

— Ten zuch mnie pilnuje...

— Zdaje się, że tak; zapewne z rozkazu Allsmayne'a. Stało się to, czego się obawiałem. Twoje listy do Lavarede'a, te włosy z pod kaptura... Jednym słowem, zaczął cię podejrzewać. Musisz dzisiaj zniknąć na zawsze z Sidney.

— Zniknę... Ale przy tym szpiegu, jak uprzedzę *tamtych*?

— Zrobię to za ciebie, Silly.

— Dziękuję panu, panie James... Tylko...—oczy chłopca napełniły się łzami,—mnie tęskno będzie bez pana...

— Mnie także, Silly. Ale mam nadzieję, że nasze cierpienia skończą się wkrótce.

— Pan mówi: wkrótce,—wtrącił chłopiec, uśmiechając się przez łzy.—To znaczy, że pan ma nadzieję...

— Tak jest, Silly.

— I wtedy nie rozstaniemy się już nigdy?

Na twarzy Jamesa odbiło się cierpienie.

— To zależeć będzie od innej osoby, której i ty i ja musimy być posłuszni... No, do widzenia, Silly. Miejmy nadzieję. Przygotuj się na wieczór, a ja uprzedzę *tamtych*.

Chłopiec pożegnał Jamesa i poszedł dalej. W tej samej chwili robotnik skończył czytanie afisza i poszedł za nim. Przechodząc obok Jamesa, nieznacznie kiwnął głową, James odpowiedział tym samym ruchem.

— To Dowe, z brygady F.! — mruknął do siebie. — Ci ajenci nie umieją wcale charakteryzować się.

I poszedł dalej. Nad brzegiem stanął, popatrzał z wyrazem znużenia na mętłą wodę, założył ręce na głowę, przeciągnął się i ziewnął. Gest ten powtórzył trzykrotnie i udał się do Allsmayne'a. Cały dzień spędził przy zwykłych zatrudnieniach. Nadszedł wreszcie wieczór. James Pack zabierał się do wyjścia, robił jednak wszystko bardzo powoli. Może to było znużenie po ubiegłej nocy...

Senny i osłabły, poszedł już do Allsmayne'a, aby go pożegnać, gdy służący zameldował przybycie Dowego.

Allsmayne uśmiechnął się. Poprosił Jamesa, aby zatrzymał się jeszcze i kazał wprowadzić ajenta.

— Co słychać? — zapytał sir Tobjasz.

— Chłopiec najął na całą noc łódkę.

— Łódkę?

— Tak. Ma zamiar łowić ryby przy cyplu Jackson.

— Czy nie spostrzegł, że jest śledzony?

— Na to gotów jestem przysiąc.

— Czy wybór miejsca nie nasuwa panu żadnego przypuszczenia?

— Owszem, zapewne ma zamiar skomunikować się ze swymi współnikami.

Allsmayne uderzył w ramię Jamesa.

— No, trzeba nam będzie drugą noc nie dospać. Zostań pan na obiedzie. Dowe, zarządz pan, aby przygotowano dużą szalupę komorową z kompletną załogą i punktualnie o 8-ej czekaj na nas przy przystani № 23.

— Ale o co tu idzie? — zapytał zdziwiony James.

— Poczekaj pan, dowiesz się. A teraz czas pomyśleć o obiedzie.

Dowe wyszedł, Allsmayne i James przeszli do jadalni.

Lady Jenny siedziała już na swoim miejscu. Powitała uprzejmie sekretarza, lecz ten zauważył, że płakała. Nie uszło to także uwagi sir Tobjasza.

— Znów widzę u pani oczy zaczerwienione... Płakałaś pani? — zapytał tonem surowym.

— Tak jest, lecz nie płaczę w obecności pańskiej — odparła lady.

— Kiedyż to się skończy, u licha! Pewnie znowu cały ranek przesiedziałaś pani przed portretem Maddy. Jeżeli to się powtórzy, każę zdjąć portret.

— Nie, dzisiaj tego nie robiłam...

— Więc o cóż idzie?

— Czekałam na tego chłopca...

— Na Silly'ego?

— Tak. Miał przyjść dzisiaj. Mam nadzieję, że nie przeszkodziło mu?

— A, więc ten chłopiec tak bardzo panią obchodzi? —

z uśmiechem mówił dalej.—Dziwi mnie cokolwiek tak nagła sympatja, ale jeżeli pani chcesz, to zrobię ci przyjemność. Jutro będziesz pani mogła patrzeć na niego choćby przez cały dzień, nie odejdzie już wcale.

Lady Jenny z pewnym niepokojem spojrzała na Allsmayne'a. W słowach jego czuła ukryte znaczenie.

— Słyszałaś, lady, co mówiłem, — ciągnął sir Tobjasz dobroduszenie. — Nie pytaj o nic więcej. To moja tajemnica. Dość już płaczu. Teraz będziemy się cieszyć. Puff over!

— Puff over! — tonem zagadkowym powtórzył za nim James.—Przebacz mi, lady, że ośmielam się wtrącać do rozmowy, — zwrócił się do Jenny, — lecz podzielam zdanie sir Allsmayne'a, że po smutku nastaje radość.

Jenny spojrzała ze zdziwieniem na Jamesa. Pierwszy raz odzywał się do niej takim tonem, pierwszy raz dał jej do zrozumienia, że i jemu także nie obca jest ukryta nadzieja zropanzonej matki.

— Niech tak będzie!—Puff over!—odpowiedziała z uśmiechem.

Allsmayne był zachwycony, widząc ożywienie lady. Obiad przeszedł spokojnie i panowie zaraz pożegnali gospodynię.

Zaopatrzywszy się w płaszcze nieprzemakalne, wyszli z domu i wkrótce znaleźli się na przystani № 23. Nachyliwszy się przez poręcz, zobaczyli w dole ciemną sylwetkę szalupy.

— Czy to pan, panie naczelniku? — odezwał się głos z dołu.

— Ja, Dowe. Czy wszystko gotowe?

— Wszystko, panie naczelniku.

Allsmayne i James zbiegli szybko po spadzistych stopniach i usiedli w szalupie. Siedziało tam sześciu wioślarzy, z których każdy był zaopatrzony w karabin.

— Jakie otrzymamy rozkazy? — zapytał Dowe.

— Trzymać się bulwarku, potem brzegu, aby zawsze być w cieniu. Zbyt dziś widno.

— Dobrze, panie naczelniku. Czy odbijać już?

— Już.

Szalupa odpłynęła i posuwała się w cieniu. Dalej morze oblane było światłem księżycowem. Szalupa jak cień przesuwiała się pomiędzy okrętami. Wszyscy milczeli. Zdało się, że to nie ludzie, lecz widma płyną na widmie łodzi na tajemniczą wyprawę...

VI.

Łozja śpiewa!

Wkrótce szalupa przeszła kanał i wypłynęła na otwarte morze. Leniwe fale zaledwie kołysały szalupę. Na północy odcinało się kręte wybrzeże, kończące się skałami. Był to cypel Jackson. Teraz trzeba było przepłynąć przestrzeń, oświeconą światłem księżyca, lecz to nie kłopotowało Allsmayne'a. Silly znajdował się po drugiej stronie cyplu, nie mógł zatem dostrzedz szalupy, która po chwili znowu dostała się na miejsce ociemnione i płynęła przy samym brzegu do cypla. Wioślarze starali się robić jaknajmniej szelestu. Na chwilę przestali wiosłować i owinęli wiosła płótnem. Teraz już szalupa płynęła bez najmniejszego szmeru. Nagle wioślarze podnieśli wiosła w górę.

— A co tam? — zapytał Allsmayne.

— Łódka, — odpowiedział jeden z wioślarzy, wskazując przed siebie.

Rzeczywiście, w wskazanem miejscu widać było łódkę, a w niej postać ludzką, w której nie trudno poznać było Silly'ego.

Teraz trzeba było czekać. Zarzucono kotwicę, Allsmayne oczami pożerał postać Silly'ego.

Tymczasem chłopiec, nic nie podejrzewając, robił swoje. To wyciągał ryby z wody, rzucając je na dno łódki, to

znów zarzucał wędkę. Trwało to sześć godzin. Oczekiwanie zaczęło niecierpliwić Allsmayne'a. Dla rozrywki od czasu do czasu pociągał z flaszki i częstował Packa. Tymczasem księżyc odbywał swą niebieską drogę; kierunek światła zmienił się i wkrótce łódź z chłopcem zniknęła w cieniu skały. Po upływie pół godziny, łódka wyszła znowu z cienia.

— Do diabła! — mruknął Allsmayne. — Widzę łódkę, ale chłopca nie widzę. Gdzieżby się podział?

— Zapewne położył się na dnie, — odparł Pack. — Rybacy nasi często znajdowali go śpiącym w ten sposób.

— Jednak to prawda, że głupiemu szczęście sprzyja, — rzekł Allsmayne. — Kto inny napewno utonąłby dwadzieścia razy, gdyby był tak nieostrożny.

Zamilkł i czekał dalej. Gdy jednak na wschodzie niebo się zaróżowiło, Allsmayne nie mógł dłużej hamować swego gniewu. Stanowczo korsarz kpi z niego.

— Do wiosła! — krzyknął sir Tobjasz.

— Wrócimy do portu? — zapytał Pack.

— Nie, panie, — sucho odpowiedział Allsmayne. — Najprzód zaaresztuję chłopca! W więzieniu wyśpiewa wszystko; potrafię rozwiązać mu język.

— Więc pan jest przekonany, że korsarz Triplex utrzymuje stosunki z tym chłopcem?

— To nie ulega wątpliwości.

Szalupa płynęła szybko i za chwilę uderzyła o łódkę.

— Hej, ty! — krzyknął Allsmayne, — wstawaj no i wysil twój głupi mózg, aby mi odpowiedzieć.

Odpowiedzi nie było. Allsmayne nachylił się, zajrzał na dno łódki i krzyknął zdziwiony.

W łódce nie było nikogo. Silly zniknął!

.....

Co się stało z chłopcem? Zostało to tajemnicą. Wiosłarzami owładnął strach zabobonny. Wracając do portu, oglądali się wkoło z niepokojem, czy nagle na brzegu nie ukaże się korsarz Triplex w obłoku dymu i płomieni. W ich na pół dziecięcej imaginacji, tajemniczy wróg sir Tobjasza

wyrósł na postać legendową, i nie wątpili bynajmniej, że to korsarz ocalił Silly'ego przed prześladowaniem policji.

Nie mniej zakłopotany był sam Allsmayne. Znów plany jego zostały pokrzyżowane. Silly, na którego tak bardzo liczył, znikł, a z nim znikła nadzieja trafienia na ślady złoczyńców. Do gniewu naczelnika policji wkrótce przylączyła się obawa. Co czeka go w przyszłości, jakie nowe nieszczęście wisi nad jego głową? Nagle przypomniał sobie, że dziś jeszcze rano ma się widzieć z Lavared'em. Po dwóch bezsennych nocach, nie mogąc ani odpocząć, ani nawet zebrać myśli, musi znów pędzić z Francuzem do Broken-Bay, aby go przekonać, że niema tam Niari'ego. Wprawdzie nic to trudnego, gdyż rozkaz przeprowadzenia więźnia z pewnością już został wykonany. Ale czuł potrzebę pozostać w samotności i zastanowić się nad swem położeniem, a wycieczki odkładać nie można. Nie miał zbyt wielu przyjaciół, aby mógł lekceważyć człowieka, który już wyświadczył mu przysługę i w przyszłości może mu się bardzo przydać.

Szalupa zawinęła do brzegu. Allsmayne i Pack udali się do domu. Dowe zwolnił wioślarzy, którzy natychmiast porozchodzili się do domów i z pewnością bezzwłocznie opowiedzieli nocną przygodę żonom, przyjaciołom i znajomym, ubarwiając ją dodatkami nadprzyrodzonymi, do których zawsze lud jest skłonny.

O ósmej rano, gdy naczelnik policji siadał już na konia, aby udać się z Lavaredem do Broken-Bay, doniesiono mu o pogłoskach, krążących po mieście wśród ludności robotczej. Opowiadano, że chłopca, na którego czyhała policja, ocalił jakiś olbrzym, którego oczy błyszczały jak latarnie morskie. Allsmayne wiedział, z kąd powstały te bajki, ale na to nie było rady: pogłoski podobne zawsze są następstwem głośnego niepowodzenia policji.

Dosiadłszy konia, Allsmayne dobrym klusem puścił się przez miasto. Obok niego jechał Lavared, za nimi, w należytej odległości, oddział agentów policyjnych na welocypedach, które oddawna już wyrugowały użycie koni w australskiej policji konnej. Wkrótce cała kalwakada minęła przed-

mieście Richmond i wydostała się na szosę, otaczającą półkolem zatokę Broken, a prowadzącą do Broken-Bay.

Armand, pod wrażeniem udanej dobroduszości naczelnika policji, zaczął przeproszać go, że dla niego zadaje sobie tyle trudu. Allsmayne zaś z swojej strony cieszył się, że może wyprowadzić w pole Francuza, jak jego wyprowadził w pole korsarz Triplex.

— Nic nie szkodzi, to bagatela!—odpowiedział grzecznie paryżaninowi.

Stanowczo obawa, jaką czuł przed machinacjami Triplexa, nikła powoli, wśród białego dnia. Musi zwyciężyć tego korsarza. Jedną z jego strony nieostrożność, i odrazu wpadnie w ręce Allsmayne'a. A nieostrożność była przypuszczalną, gdyż nic tak nie usypia czujności i rozwagi, jak bezkarność. A i teraz czeka go pierwsze zwycięstwo nad niewidzialnym wrogiem. Pokrzyżuje plany Triplexa, który chciał dostarczyć Lavaredowi Niari'ego, tego niewygodnego dla Anglii świadka, który mógł zaświadczyć o tożsamości osoby Roberta.

Allsmayne stawał się wesołym. Z ust jego wyrwał się nawet ulubiony jego okrzyk:

— Puff over!

Niestety, wesołość ta nie miała trwać długo. Droga szła teraz przez lesiste wzgórze, a szła dla złagodzenia przykrego spadku bardzo kręto, tak, że nie można było widzieć przed sobą dalej, jak na 100—200 metrów.

Oddział zbliżał się już do wierzchołka, gdy nagle dały się słyszeć niezwykle krzyki. Zdawało się, że kilkanaście głosów wzywa pomocy, a inne odmawiają...

Jeźdźcy uderzyli konie ostrogami, welocypedziści naciśnęli mocniej pedały. Minawszy grupę drzew, zobaczyli scenę niezwykłą.

Na drodze stała gromada wieśniaków. Krzyczeli, machali rękami, lecz trzymali się w przyzwoitej odległości od policjantów, przywiązanych do drzew, rosnących przy drodze. Policjantów było około dwunastu. Błagalnym głosem prosili wieśniaków, aby ich odwiązali, lecz wieśniacy nie odważyli się na to. Gdy jeźdźcy zbliżyli się, zrozumieli powód obawy.

Nad głową jednego z policjantów przybity był sztyletem papier z napisem:

„Niech nikt nie ośmieli się dotknąć ręką tych, których karze Triplex. Dzisiaj tą drogą przejeżdżać będzie naczelnik policji, niech on sam uwolni swych podwładnych. Niech raz jeszcze dowie się, że nie jest w stanie przeszkodzić temu, co postanowił Triplex. Wam, spokojni rolnicy, przyrzekam pomoc, obronę i przyjaźń, lecz biada temu, kto nie spełni rozkazów moich.“

Zobaczywszy Allsmayne'a, którego dobrze znali, wieśniacy rozstąpili się. Na znak naczelnika, policjanci zeskoczyli z welocypedów i prędko poprzecinali sznury, którymi skrępowani byli ich koledzy. Starszy policjant, człowiek już nie młody, zbliżył się natychmiast do Allsmayne'a i powitawszy go po wojskowemu czekał na zapytanie.

— Co robicie tu? — zapytał Allsmayne, marszcząc brwi.

— Było z nami bardzo źle, panie naczelniku. Przynajmniej przez tydzień będzie mnie krzyż bolał. To nie na materacu leżeć...

— Ale któż was tak urządził?

Ajent wskazał ręką na papier.

— Niech pan raczy przeczytać, panie naczelniku. Ten korsarz bynajmniej nie ukrywa swoich postępów. Że żyjemy jeszcze, to tylko dla tego, że on tak chciał. Mógłby nas najspokojniej wyprawić na tamten świat.

— Ale cóż się stało? Zkąd wzięliście się tutaj?

— Szliśmy z rozkazu pana naczelnika z fortu Broken-Bay.

— A to zdarzenie! — zawołał Armand. — My właśnie tam jedziemy...

Allsmayne drgnął, twarz mu pobladła.

— Wracajcie z nami do Broken-Bay, — rzekł tonem niepewnym, — zbadam na miejscu całą sprawę.

— Słucham pana naczelnika. Po drodze mogę opowiedzieć, jak to się stało.

Armand poparł ajenta.

— Ma się rozumieć. Jeżeli pan, sir Allsmayne, nie ma

nie przeciwko temu, chciałbym usłyszeć tę ciekawą historję. Zapewne i pan także.

Allsmayne nie wiedział, co odpowiedzieć. Agent zaś, biorąc milczenie naczelnika za pozwolenie, zaczął opowiadać.

— Wczoraj wieczorem pan Goldblew...

— Co to za Goldblew?

— Naczelnik więzienia w Broken-Bay.

— A, dobrze, mów pan dalej.

— Więc pan Goldblew wzywa mnie do siebie i mówi: „Albert, weźmiesz pan dziesięciu ludzi i przeprowadzisz jednego z więźniów do Sidney“. „A z kąd że wezmę dziesięciu ludzi,“ pytam się. „Już czekają przy bramie.“ „Dobrze, a kogo mam przeprowadzić?“ „Numer 19,“—mówi. „A wiem, to ten czarny egipcjanin“...

Lavarede drgnął. Nie zdążył jednak wymówić słowa, gdy agent krzyknął z bólu i schwycił się za nogę.

— Oj! co to!—zawołał.

To Allsmayne, rozwścieczony nie zręcznością agenta, kopnął go z całej siły; ale to nic nie pomogło.

— Ten egipcjanin nazywa się Niari? — spytał prędko Lavarede.

Pytanie to do reszty zmięszło agenta. Teraz już nie wiedział, co odpowiedzieć, zwłaszcza po napomnieniu nogą, otrzymanem od Allsmayne'a. Spoglądał bezradnie to na naczelnika, to na nogę.

— Tak... nie... to jest... ja nie wiem... — bełkotał.

Dziennikarz z niezadowoleniem poruszył głową. Allsmayne zrozumiał, że wyjaśnienie jest konieczne.

— Mów-że pan porządnie, do diabła! — krzyknął na agenta.

Ten westchnął ciężko. Nigdy jeszcze zawód jego nie zdawał mu się tak trudnym. Naczelnik kazał mu mówić, a nogą zabraniał. Trzeba było mówić i zarazem milczeć... Sztuka nie lada.

— Tak... to jest... nie przeczę—zaczął znowu jąkać się.

Allsmayne widział, że musi przyjść agentowi z pomocą.

— Ja i ten pan,—rzekł,—jedziemy właśnie po to, aby przekonać się, czy w Broken-Bay jest więzień, nazwiskiem

Niari. Nie wiedziałem wcale o jego istnieniu, a pan, zdaje się, znasz go, powiedz że nam o nim.

Ajent znów westchnął, ale tym razem rozkaz był zrozumiały.

— Ten numer dziewiętnasty podobno nazywał się Niari. Więc, jak już mówiłem, mieliśmy przeprowadzić go do Sidney. Wyszliśmy około północy. Idziemy spokojnie, bez żadnej przygody. Nagle dwaj, idący na przodzie, potknęli się o sznur, przeprowadzony w poprzek drogi i upadli. Zanim zdążyliśmy zorjentować się, co się stało, z za krzaków wyskoczyła cała banda zbójów. Wszyscy mieli twarze zasłonięte zielonemi maskami. Schwytali nas i przywiązali do drzew, rosnących przy drodze. Przywódca ich podszedł do mnie i mówi: Słuchaj! powiedz Allsmayne'owi.—przepraszam pana naczelnika, ale tak powiedział, — powiedz, że uwolniliśmy Niari'ego, a wkrótce uwolnimy tych, których przemocą trzyma w grobie i w małżeństwie. Oto wszystko.

Allsmayne zbladł, jak płótno. Krew zastygła mu w żyłach. Przypomniawszy sobie posiedzenie sądu tajemnego i zrozumiał, co miał na myśli korsarz. Mówił bezwątpienia o małej Maddy i o lady Jenny.

Czyżby Triplex zdołał wskrzesić umarłą i ocalić żywą z pod jego władzy?

Chociaż przypuszczenie to było nieprawdopodobne, Allsmayne stracił otuchę. Po długim milczeniu, kazał zawrócić do Sidney. Nie zwracając wcale uwagi na ciekawe pytania Francuza, sir Tobiasz przez całą drogę nie wymówił ani jednego słowa. Nie była to ostrożność; po prostu nie chciało mu się odzywać. Zajęty był jedną tylko myślą, od której przechodziły mu mrówki po ciele. Ten Triplex naprawdę prześladował go. Każdy przechodeń wyglądał w oczach naczelnika policji na spiskowca. Miał ochotę zaaresztować całą ludność miasta, jako podejrzaną o współudział. Był przekonany, że Triplex musi mieć wielu współników, gdyż inaczej nie udawałoby mu się tak łatwo ukryć przed policją.

Przed domem sir Tobiasz rozpuścił swój orszak, pożegnał Armanda uściskiem dłoni i wszedł do sieni. Pod wpływem niewytłomaczonej obawy wszedł do apartamentów, zaj-

mowanych przez lady Jenny. A może jej już w domu nie było, jak mówił korsarz. Skradając się, podszedł do drzwi pokoju, w którym zwykle przesiadywała niepokieszona matka. Zatrzymał się i słuchał. Dziwna rzecz: usłyszał głos jakiś. Ktoś był w pokoju... A może to wysłaniec Triplexa?

Otworzył szybko drzwi.

Jenny była sama. Stała oparta o stół okrągły i przyciskała do ust kartkę jakąś, [szepcząc wyrazy bez związku, przerywane łkaniem. Spostrzegłszy męża, chciała schować kartkę, lecz to się jej nie udało. Allsmayne jak tygrys rzucił się na młodą kobietę i schwycił silnie za rękę. Z bólu upuściła kartkę, którą Allsmayne porwał i zaczął czytać:

„Mateczko moja,—brzmiał list. — Zbrodnia nas rozłączyła, lecz sprawiedliwość czuwa. Znalazł się mściciel, który wkrótce połączy nas. Wierz słowom twej Maddy, która już czuje się szczęśliwą, że może powiedzieć ci: mateczko, ja żyję!“

Allsmayne wpadł w wściekłość. Nie posiadając się z gniewu, zgniół kartkę, podarł na kawałki i zatrzymał się, jakby szukając przedmiotu, na którym mógłby wyrzucić swą złość. Wzrok jego padł na portret, przed którym często płakała Jenny. Rzucił się ku ścianie, zerwał portret ze ściany, rozdarł na kilka części, rzucił na podłogę i zaczął deptać nogami kawałki płótna i obłamki ramy. To go uspokoiło cokolwiek, zawstydził się swego uniesienia i spojrzał na żonę, która stała podczas tej sceny, nie ruszając się z miejsca. Na twarzy jej malowały się kolejno zdziwienie, postrach i w końcu radość niewysłowiona.

— Przebacz, lady — wymówił wreszcie Allsmayne, — uniosłem się gniewem.

Jenny milczała.

— Tak, przyznaję się do winy, lecz gdy wrogowie ściągają mnie w moim własnym domu...

— Wrogowie? Dlaczego wrogowie,—łagodnie odpowiedziała Jenny,—przecież ten, kto chce powrócić mi córkę, nie może być wrogiem moim.

— Wierzysz, lady, w te bajki?

— Wierzę,—odparła krótko.



Poruszył się znowu gniewnie, lecz wstrzymała go spojrzeniem.

— Nazwiesz pan to szaleństwem. Niech tak będzie! Nie byłeś pan ojcem, nie zrozumiesz więc, ile wycierpiałam. Lecz ciała Maddy nie znaleziono, nigdy więc nie traciłam nadziei. I list ten dowodzi, że nie myliłam się.

-- To figle korsarza!

— Nie, przecież nikomu nic złego nie zrobiłam. Nawet rozbójnik nie ośmieliłby się tak zażartować ze mną.

— Krótko mówiąc, pani utrzymujesz stosunki z moimi nieprzyjaciółmi.

— Jestem matką, więc błogosławię każdego, kto mi robi nadzieję, że odzyskam córkę...

Sir Tobiasz tupnął nogą.

— Naturalnie! Co panią to obchodzi, że wszyscy sprzyśleli się przeciwko mnie? Mąż jest niczem dla pani!

Spojrzała zdziwiona na niego.

— Dlaczego moje uczucie macierzyńskie tak niepokoi pana?

Spuścił oczy przed jej wzrokiem.

— Dlatego,—wyjąkał zmieszany,— że zbrodniarze chcą użyć tego uczucia, aby mnie z panią rozłączyć.

— O tem niema mowy, przyrzekają tylko zwrócić mi córkę.

Lady Jenny miała słuszność. Kartka nie wspominała nawet imienia sir Allsmayne'a. Widząc się na błędnej drodze, zapadł w większy jeszcze gniew.

— Gdybym ja zrobił podobne przyrzeczenie, nie uwierzyłyabyś, lady.

— Dla czego pan tak myślisz?

— Dlatego, że nad taką obietnicą zastanowiłabyś się, lady. Gdyby dziecko żyło, byłoby już oddawna przy tobie, poszukiwania nasze trafiły by na ślad. A tu wółczęga jakiś przysłał ci list anonimowy, i wierzysz mu pani bez zastanowienia.

— Ten nieznajomy budzi we mnie nadzieję, pan zaś doprowadzasz mnie do rozpacz!

— Nie. Pani jesteś szalona! Trzeba cię związać.

I Allsmayne, tracąc resztę cierpliwości, wyszedł z pokoju, trzaskając głośno drzwiami.

Tymczasem Lavarede zbliżał się do hotelu. Przez całą drogę myślał o rannej przygodzie. Pomimo grzeczności i serdeczności Allsmayne'a, zaczął niedowierzać naczelnikowi poliej. Trudno było przypuszczać, aby na tak ważnem stanowisku, jakie zajmował, mógł sir Tobjasz nie wiedzieć o losach więźnia tak ważnego, jak Niari. W takim razie, czy nie było możliwem, że rozkaz przeprowadzenia więźnia został podpisany przez samego Allsmayne'a.

Armand był na drodze do prawdy. Potem myśli jego zmieniły kierunek. Kim jest ten tajemniczy korsarz Triplex, który urządził porwanie Niari'ego, który tak dobrze zna jego własne sprawy i zkąd się wziął na jego drodze? Na te pytania Lavarede nie znajdował odpowiedzi.

Wstępował już na schody, gdy nagle zatrzymał się i zdziwiony, zaczął słuchać. Z mieszkania, które zajmował, słyszał było dźwięki pianina i cudny śpiew kobiecy.

— Co to jest? — pomyślał. — Lozja śpiewa?!

Zdziwienie jego było bardzo naturalne. Odkąd tylko poznał Lozję, widział ją zawsze smutną i ponurą. Rzadko uśmiech pokazywał się na ustach młodej dziewczyny, a teraz śpiewa?

Armand wbiegł po schodach i wpadł do salonu.

Lozja, siedząc przy pianinie, śpiewała jakąś pieśń egipską, majestatyczną i rytmiczną, jak fale Nilu. Oretta uśmiechnięta, stała obok.

Obie panie podeszły do Armanda.

— Cóż, napróżno jeździłeś pan? — zapytała Lozja z ironicznem współczuciem.

Spojrzał zdumiony na młodą dziewczynę.

— To prawda! Ale zkąd o tem wiecie?

Roześmiały się wesoło.

— Cieszę się, że zawód, jaki mnie spotkał, nie tylko, że nie zmartwił pani, lecz przeciwnie, cieszy ją. Ale zapewne panie wytłumaczycie mi wszystko...

— Naturalnie, z największą przyjemnością, lecz przedtem dasz nam pan słowo...

— Na co?

— Dasz pan słowo na to, że nikomu nie powtórzysz tego, czego się od nas dowiesz.

— Ależ o co idzie?

— Przysięgnij pan przedtem, — upierały się wesoło.

— Dobrze, daję słowo honoru, że milczeć będę, jak ryba.

— Doskonale!—zawołała Lozja.—Teraz już możemy pa-na przypuścić do tajemnicy.

Mówiąc to, wyjęła z za stanika list, ze stemplem poczty miejskiej.

— Co to jest?

— Czytaj pan!

Lavarede wziął do ręki list i z podziwem spoglądał na adres.

— To pismo Roberta! — zawołał

— Czytaj pan!—z uśmiechem powtórzyła Lozja.

Armand czytał co następuje:

„Najdroższa Lozjo! Zbyt wcześnie oddałem się rozpacz. Nie mając Niari'ego, nie mogłem stwierdzić tożsamości mej osoby, a tem samem nie mogłem zaofiarować ci swego serca i swej ręki. Na szczęście znalazł się człowiek, który wziął mnie pod swoją opiekę. Człowiek ten uwolnił Niari'ego, który jest już przy mnie. Byłbym już przy tobie, gwiazdo mego życia, lecz wdzięczność nie pozwala mi na opuszczenie mego dobroczyńcy. Człowiek ten przyszedł nam z pomocą, teraz ja muszę dopomóc mu do spełnienia straszliwego obowiązku. Lecz zmartwienia nasze wkrótce się skończą. W przeciągu dwóch miesięcy nie otrzymasz ode mnie, najdroższa, żadnej wiadomości, lecz niech cię to nie niepokoi. Gdy usłyszycie o korsarzu Triplexie, wiedźcie, że stara się o nasze złączenie. Wierz mi, że zawsze będę przy tobie duszą, sercem i myślą. Mam nadzieję, że Armand i dobra Oretta nie pozwolą ci, droga moja, oddawać się rozpacz. Wszystkim trojgu śle wyrazy miłości i nadziei wasz

Robert Lavarede.

P. S. O liście tym ani słóweczka do nikogo.“

Armand roześmiał się wesoło.

— No, przecież! Robert żyje i przyrzeka powrót. W każdym razie, choć doznałem w życiu wielu już przygód, nigdy jeszcze nie byłem wpłątany do tak zawikłanej intrygi.

VII.

Korsarz działa w ukryciu.

Od tego czasu Lavarede pędził życie w niepokoju. Jako dziennikarz nie lubił tajemnic nie do rozwiązania, a tu otoczony był tajemnicą. Widywał się często z Allsmayne'm, który powziął do Francuza szczególne zaufanie i zwierzał się przed nim ze swych kłopotów. Pokazywał Armandowi depesze, które otrzymywał od urzędu marynarki, a w których mieściły się coraz surowsze rozkazy co do schwytania Triplexa. Ten depesz stawał się coraz groźniejszym.

W każdym razie stanowisko Allsmayne'a nie było łatwem do zachwiania. Z urzędu swego posiadał wiele tajemnic, których odkrycie spowodzić by mogło najsmutniejsze skutki. Ileż najbardziej szanowanych rodzin mogłoby być skompromitowanemi, gdyby Allsmayne ujawnił treść najrozmaitszych tajemnych dokumentów, których miał w biurze swem pełną szafę. Dla tego ze strony sfer wyższych Allsmayne miał pewne poparcie, lecz opinia publiczna zmuszała rząd do wejrzenia w tą dziwną sprawę. Obywatele Wielkiej Brytanji oburzali się, że rząd potężnego mocarstwa nie może znaleźć sposobu pozbycia się zuchwałego nieprzyjaciela. Jeżeli zaś wróg ten prowadzi wojnę jedynie przeciwko sir Allsmayne'owi, to rząd powinien poświęcić na ofiarę tego urzędnika, i zarządzić przeciw niemu surowe śledztwo, jakiego żąda ten głośny już w świecie korsarz.

A korsarz żądał śledztwa z niezmordowanym uporem. W Londynie, w Indjach, w Australji nieznaną drogą dosta-

wały się korespondencje jego do prasy. Zdawał się naprawdę wszechobecnym. Niedosć tego, nawet telegraf podmorski, którego liny spoczywały na głębokości 4000 metrów, przestał zachowywać tajemnice. Liny zaczęły mówić. Jakże inaczej wytłomaczyć można było, zkad Triplex znał treść wszystkich depesz, wysyłanych przez Allsmayna do wysoko postawionych osób. Że tak było, dowodziły depesze, otrzymywane często przez Allsmayne'a, podobnej treści:

„Prosisz pan o protekcję lorda X, którego syn skompromitowany jest w sprawie banku T. (akta № 147). Żadna protekcja nie ocali pana i nie pomoże uniknąć kary za pańskie zbrodnie. Triplex, choć cierpliwy, posiada dobrą przeciwkę panu broń.“

Nie pomagało użycie depesz cyfrowanych; Triplex znajdował klucz do wszystkich możliwych i niemożliwych kombinacji.

Można było zwarjować z tego wszystkiego, to też Allsmayne zaczął już tracić zwykłą przytomność umysłu.

W końcu Triplex urządził apoteozę tej wojny, prowadzonej dotąd na papierze. Pewnego razu w cyrku, podczas przedstawienia, na którym obecne było najwyższe towarzystwo miasta, z sufitu spadła olbrzymia rakietą, zasypując publikę deszczem kwiatów. Do każdej wiązanki przyczepiona była kartka z napisem:

Korsarz Triplex

w krótkim czasie uwolni Australję od hańbiącego dozoru złooczyńcy Allsmayne'a.

Sir Tobjasz, obecny na przedstawieniu, zmuszony był opuścić salę pod gradem ironicznych spojrzeń. Najściślejsza rewizja cyrku nie doprowadziła do żadnych rezultatów.

W tydzień później, podczas ciemnej nocy nieznani złooczyńcy porozlepiali na domach miasta plakaty następującej treści:

„Obywatele miasta Sidney!

Dzisiaj zobaczymy się w porcie. Patrzcie tylko na morze, a ujrzycie oczy korsarza Triplexa, skierowane na niebezpieczne wasze miasto, w którym jednym z dygnitarzy jest łotr niktzemny.“

Pomimo gorliwości, z jaką agenci policyjni zdzierali plakaty z murów, treść ich wkrótce stała się znaną całemu miastu. Wieczorem wszystkie bulwarki i przystanie wyglądały, jak jedno olbrzymie mrowisko. Oczy wszystkich uparcie wpatrywały się w horyzont, i tylko od czasu do czasu tłum spoglądał na okręty wojenne, stojące w porcie, gotowe do odpłynięcia na pierwszy znak. Byli tacy, którzy twierdzili, że wobec tych przygotowań bojowych, Triplex nie spełni przyrzeczenia.

Punktualnie o godzinie dziewiątej ukazały się na horyzoncie trzy świecące punkty, w kształcie trójkątu.

— Hip! Hip! Hurra!—zaryczał tłum.

Lecz entuzjazm widzów doszedł do zenitu, gdy, po ukazaniu się świecących punktów ryknęły syreny pancerników, i okręty majestatycznie skierowały się do wyjścia z portu. Zdawało się, że zanosi się na bitwę morską. Eskadra Oceanu spokojnego ruszyła przeciw korsarzowi Triplexowi. Wśród tłumu odezwały się szlochania kobiet, których mężowie i synowie udawali się na niebezpieczną wyprawę.

Na pokładzie pancernika „Destroyer,” płynącego na czele eskadry, stała gromadka osób, z których każda z innem uczuciem patrzyła na dalekie, nieruchome „oczy korsarza.” Byli to Allsmayne, Pack, Lavarede, Lozja i Oretta. Sir Tobjasz był tu z mocy swego urzędu, reszta zaś dostała się na pokład za jego protekcją. Obok towarzyszek Armanda, stała trzecia kobieta, otulona w szeroki płaszcz ze spuszczo-nym na twarz kapturem. Majtkowie spoglądali na nią z szacunkiem, oficerowie zaś szeptali:

— To lady Allsmayne. Przybyła na pokład, aby obecnością swoją dodać mężowi otuchy w walce z korsarzem.

Taką właśnie przyczynę podała zrozpaczona matka, aby wyłudzić od Allsmayne'a pozwolenie na towarzyszenie mu w wyprawie. Sir Tobjasz ustąpił głównie dlatego, że uważał, iż postępek żony zrobi dobre wrażenie na towarzystwie. A odmówiłby z pewnością, gdyby wiedział, że prawdziwą przyczyną postępku tego było otrzymanie przez Jenny tajemniczą drogą listu. Było tam kilkanaście słów tylko, ale Jenny czytała je z głębokiem wzruszeniem. List brzmiał

tak: „Droga Mateczko! Wkrótce już będę przy tobie. To-warzysz dziś człowiekowi, którego nazwisko nosisz, znajdziesz *złotego pajaca*. Będzie to już częśćka tej, którą oplakiwałaś tak długo.“

Jenny spełniła polecenie.

Złoty pajac! Dwa te wyrazy wywołały dawne wspom-nienie. Przypomniała sobie ostatni wyjazd na fermę, gdzie była jej córka. Widziała przed sobą pokój, do którego matka Allsmayne'a przyprowadziła jej śliczną, różową, uśmiech-niętą Maddy... Wzięła ją na kolana, ścisnęła i całowała, a dziewczynka zaczęła bawić się złotym medaljonikiem, któ-ry Jenny otrzymała niedawno z Londynu. Medaljonik miał kształt pajaca, wyrzeźbionego w złocie i był przyczepiony do złotego łańcuszka. Matka cieszyła się, że dziecko z ta-kim zajęciem bawiło się medaljonikiem. Gdy Jenny miała odjeżdżać, dziewczynka nie chciała za nic oddać swej nowej zabawki, tak, że Jenny nie chcąc martwić dziecka, powiesiła jej na szyi medaljonik. List dzisiejszy wspominał właśnie o tej drobnostce, o której sama Jenny zdążyła już zapo-mnieć.

Oretta i Lozja doznawały zupełnie innych uczuć. Te świecące punkty im wskazywały miejsce, gdzie w tej chwili znajdował się Robert ze swym tajemniczym protektorem.

Allsmayne czuł wściekły gniew, a zarazem wielki nie-pokój.

Sam tylko Pack zdawał się zupełnie spokojnym. Roz-mawiał obojętnie z oficerami, którzy robili najrozmaitsze przypuszczenia co do ogni tajemniczych. Wszyscy zgadzali się na jedno, mianowicie, że zjawisko jest pochodzenia elek-trycznego. Lecz jedni twierdzili, że widzą świecące punkty, drudzy zaś utrzymywali, że zachodzi tu zjawisko bardzo sil-nej fosforescencji. I rzeczywiście woda, jak się zdawało, była oświetloną z dołu. Piana na grzbietach fal zdawała się roztopionem złotem. Widok był prześliczny, przytem pocią-gał tajemniczością.

Pomimo znacznego jeszcze oddalenia od światła, krzy-zownik już płynął, jakby w świecącej mgłę. Ciekawość pó-żerała wszystkich, majtków, oficerów i pasażerów. Maszyny

sapały przeraźliwie, gdyż okręty szły całą siłą pary. Nagle — jeden okrzyk wyrwał się ze wszystkich ust. Ognie tajemnicze poruszały się. Z zawrotną szybkością wymiwały eskadrę półkołem i stanęły pomiędzy okrętami i portem.

Po chwili namysłu „Destroyer,” a za nim inne statki, zawrócił wolno i popłynął na spotkanie tajemniczego wroga.

— Nieźle! — odezwał się oficer, stojący obok Allsmayne’a. — Dogonimy tego korsarza tylko wtedy, jeżeli on sam na to pozwoli.

— Dlaczego pan tak myślisz? — zapytał sir Tobjasz.

— Nic dziwnego. Widoczna rzecz, że on potrafi zrobić 60 węzłów na godzinę, gdy największa szybkość naszego pancernika jest — 20 węzłów.

— Więc co pan wreszcie myślisz?

— Że mamy do czynienia z doskonałymi statkami podwodnymi.

— Z podwodnymi statkami?

— Lub też z djabłami, jeżeli pan to uważa za prawdopodobniejsze...

Pancernik coraz więcej zbliżał się do zagadkowego przeciwnika. Wszystkich opanowało męczące oczekiwanie... Zdawało się, że walka jest nieunikniona. Artylerzyści znajdowali się w gotowości przy ciężkich działach Armstronga i szybko strzelających magazynówkach. Wzdłuż burty okrętowej stały szeregi żołnierzy. Już tylko sto metrów od dzielało eskadrę od „oczu korsarza”, gdy te zgasły nagle.

Sternicy przestali kierować, maszyny stanęły.

Oficerowie kłąć zaczęli. Czyż mają wrócić do portu, nie zobaczywszy nawet nieprzyjaciela? Teraz wszyscy staną się pośmiewiskiem gawiedzi. Komendanci wahali się, co czynić. Nagle woda zbałwaniła się, z morza trysnął promień światła i przedmiot jakiś, kreśląc w powietrzu półkoło, spadł na pokład u stóp lady Jenny. Morze znów ucichło.

Obecni rzucili się na miejsce, gdzie spadł przedmiot tajemniczy. Pierwszy schwycił go komendant pancernika. Było to zwykłe drewniane jajko, lecz, rzecz dziwna, było zupełnie suche. Komendant chciał już jajko oddać stojącym obok towarzyszom, gdy spostrzegł na powierzchni jajka

przylepioną kartkę. Podeszedł do latarni i przeczytał głośno: „Do lady Allsmayne.“

Jenny wystąpiła naprzód, komendant z ukłonem podał jej przesyłkę. Jenny otworzyła jajko i wyjęła jakiś przedmiot złoty. Był to medaljonik, „złoty pajac,“ o którym list wspominał. Przycisnęła drogą pamiątkę do ust, wołając ze łzami:

— To ostatni podarunek, jaki zrobiłam mej biednej córce!

Allsmayne zgrzytnął zębami.

— Ten łotr ośmiela się żartować z rozpaczy matki! — zawołał.

— Nieprawda!—Słowo to wyrwało się z ust lady Jenny z dziką jakąś energją.

Ta krótka scena poruszyła obecnych i dała powód do najrozmaitszych przypuszczeń. Eskadra płynęła już do portu, lecz na pokładzie panowało głuche milczenie. Oficerowie napróżno łamali głowy nad rozwiązaniem zagadki, majtków zaś ogarnął strach paniczny. Ludzie ci, którzy śmiało stawiali czoła najstraszniejszym burzom, teraz z bojaźnią spoglądali na ciemne fale.

Okręty powróciły do przystani bez żadnej przygody. Tłumy stały jeszcze. James Pack tylko był spokojny i uśmiechał się ironicznie. Po wylądowaniu, pożegnał się natychmiast z Allsmayne'm, udając zmęczenie i oddalił się powoli. Za pierwszym zakrętem, wyprostował się i poszedł prędzej. Po upływie pół godziny doszedł do cypla Jackson, na którym stała latarnia północna. Pomimo ciemnej nocy, James szedł szybko, widocznie znał dobrze drogę. Nagle zatrzymał się. Przed nim, jakby z pod ziemi, wyrosła postać ludzka. Nie zdziwił się, ani przestraszył, jakby oczekiwał spotkania.

— To pan? — zapytał.

— Ja, kapitanie, do usług.

— Popłyniesz pan natychmiast do kopalni złota w Sandy.

— Według rozkazu.

— I to jaknajprędzej. Wiadoma osoba będzie już uprzedzona. Trzeba schwycić go podczas tej podróży.

— Dobrze.

— Najważniejsza rzecz, nie tracić ani chwili czasu. Trzeba się spieszyć, aby on nie mógł pana dognać.

-- Bądź pan spokojny, kapitanie.

Uścisnęli sobie ręce i już mieli się rozejść, gdy James zatrzymał jeszcze swego interlokutora.

— A ona? — zapytał cicho.

— Jest tutaj. Chce widzieć się z panem.

— Nie, to byłoby zbyt niebezpiecznem, a przytem powinna przywyknąć do rozłąki. Mam nadzieję, że wkrótce usiłowania nasze odniosą skutek pożądany, a wtedy drogi nasze rozejdą się i, być może, nie spotkamy się już nigdy.

Potrząsnął głową. Na twarzy zajaśniał uśmiech, z jakim szli na śmierć męczennicy.

— Powiedz jej pan, że przysięgi dotrzymam. Niech czeka z ufnością, nie troszcząc się o mnie, o proste narzędzie losu.

Chciał jeszcze coś dodać, lecz powstrzymał się i wyrzekł jedno tylko słowo.

— Do widzenia!

Odwrócił się szybko i poszedł ku miastu. Za chwilę zniknął w ciemności. Ten, co pozostał, patrzył za nim, nie poruszając się z miejsca.

— Idź, serce szlachetne! — rzekł do siebie. — Nie oczekujesz nagrody za swe przywiązanie, ale ja nie zapomnę o wyświadczonych przez ciebie przysługach. Pracujesz dla mego szczęścia, a ja pracować będę dla twego...

VII.

Stacja telefonów.

Allsmayne powrócił do domu z głową ciężką, zbity fizycznie i moralnie. Triplex zatryumfował — Jenny publicznie

stała po jego stronie. Albo ten złoty pajac! Czyżby tajemniczy sędziowie prawdę mówili? Czyż Maddy żyje rzeczywiście? W takim razie, złoczyńca, który był narzędziem Allsmayne'a, zdradził go?

Przez całą noc przewracał się na łóżku, nie mogąc zasnąć. Chwilami zmęczenie brało górę, zamykał oczy, lecz w tej samej chwili pokazywały się okropne widziadła... Od ścian odskakiwały fantastyczne cienie, które powoli przybierały kształt pajaców i otaczały łóżko jego, grożąc mu i szczerząc białe zęby.

Allsmayne budził się, widzenie znikało, aby za chwilę ukazać się znowu. Rano ledwie zdołał podnieść się z łóżka, wstał jednak, ubrał się i wyszedł cicho na ulicę. Wyglądał na człowieka, który obawia się spotkać kogoś znajomego. I rzeczywiście unikał spotkania z Jenny, a nawet i z Jamesem, obawiając się, aby nie wyczytali z jego oczu śladów zbrodni.

Sir Tobiasz ufał tylko Armandowi, dlatego, nie wiedział sam. W nieszczęściu słaby charakter staje się zaboconym. Armand więc, który ukazał się Allsmaynowi, gdy wisiał na szubienicy, i który wyświadczył mu ważną przysługę, niszcząc zdjęcia fotograficzne, stał się dla niego jakimś fetyszem. Był pewny, że, mając Francuza za sobą, zwycięży ukrytych nieprzyjaciół. Pod wpływem takich myśli skierował się do hotelu pod „stulistną różą“.

Wszedł do sali ogólnej i kazał poprosić Lavareda. Paryżanin, zdziwiony ranną wizytą, wyszedł natychmiast.

Allsmayne bez żadnego wstępu zwrócił się do niego.

— Zapewne dziwi pana moja wizyta, ale przychodzę w ważnej sprawie. Chcę zawrzeć z panem przymierze.

Na twarzą Francuza odbiło się zdziwienie.

— Zaraz się wytłumaczę,—ciągnął Allsmayne.—Mamy wspólnego nieprzyjaciela—korsarza Triplexa. Wróg ten przeszkadza mnie w działalności mego zarządu, panu zaś w sprawie urzeczywistnienia pańskich zamiarów. Połączmy się przeciwko temu człowiekowi.

— Z przyjemnością gotów jestem współdziałać z panem,—z najniewinniejszą miną odparł dziennikarz.

Taki zwrot rzeczy zaczął go bawić. Naczelnik policji, który oszukał go co do Niari'ego, który przeszkadzał Robertowi do odzyskania nazwiska, teraz żąda od niego pomocy...

Lecz zaufanie naczelnika mogło być mu pożytecznem, niechciał zatem wyprowadzać go z błędu.

— Dziękuję panu, dziękuję—mówił Allsmayne.—Jesteś pan człowiekiem rozsądnym i łatwo zrozumiesz, o co idzie. Proponuję panu zatem...

Zatrzymał się na chwilę, jakby szukając odpowiednich wyrażań.

— Idzie o to, — ciągnął dalej. — Chcę, bądź-co-bądź, utrzymać się na stanowisku, jakie zajmuję. Pan chcesz przywrócić kuzynowi swemu nazwisko i ojczyznę. A kto nam przeszkadza? korsarz Triplex. Musimy się zatem połączyć. Ja, wszelkimi siłami starać się będę, zapewnić nam zwycięstwo, jeżeli pan zgodzisz się być mi przyjacielem.

— Z przyjemnością — rzekł Armand.

— Dziękuję panu. W całym kraju wzburzonym przez tego łotra, nie mam jednego człowieka, któremu mógłbym zaufać. Nawet żona moja opuszcza mnie. Więc mogę liczyć na pana?

— Jak na siebie samego.

— Więc pozwól pan ze mną. Pokażę panu w tajemnicy pewne urządzenie, które nam będzie bardzo pomocne.

— Co takiego?

— Zobaczysz pan.

Lavarede był z natury ciekawy, nie dał się więc długo prosić. Poszedł do swego pokoju, ubrał się prędko i zszedł do Allsmayne'a.

Wyszli na ulicę i wkrótce znaleźli się na stacji telefonów. Przeszli przez obszerne sale, w których pracowały setki telefonistek, zeszli po schodach, prowadzących do lokalu podziemnego, i, stanęli wreszcie przed szczelnie zamkniętymi drzwiami.

Allsmayne wyjął z kieszeni klucz, otworzył drzwi i nacisnął guzik, znajdujący się przy drzwiach.

W jednej chwili zapłonęły lampy elektryczne i oblały

białem światłem obszerną salę. Sala ta miała bardzo dziwny wygląd.

Z sufitu, jak pajęczyna, zwieszało się mnóstwo drutów mosiężnych. Końce tych drutów przymocowane były do klawiatury, ułożonej na ogromnym, zajmującym cały prawie pokój, stole. Od klawiatury znów inne druty prowadziły do automatycznych maszyn do pisania, które, stukając młoteczkami, pracowały bez przerwy.

W pokoju nie było nikogo.

Lavarede zdziwiony spojrział na swego towarzysza.

— Co to jest? — zapytał.

— To jest policyjna stacja telefonów, — odpowiedział Allsmayne z uśmiechem. — Jest to mój wynalazek, — dodał z zadowoleniem. — Zapewne wiesz pan, że każdą depeszę policja posiadać może. Za pomocą promieni X, możemy czytać listy, nie otwierając ich. Ale o tem wiedzieli ci, którzy muszą strzedz się policji, posługiwali się zatem telefonami, a tajemnic rozmowy telefonicznej dotąd nie umieliśmy posiąść...

— Nie umieliście, panowie? Więc teraz umiecie?

— Zgadłeś pan! Rozmawiać z panem—to rozkosz. Odrazu pojmujesz pan rzecz.

— Jakto, więc telefony...

— Telefony stały się najlepszym moim agentem. A o tem, oprócz mnie, pan wiesz tylko. Panu zwierzyłem się tylko dlatego, że uważam pana za człowieka porządnego i potrzebuję pańskiej pomocy.

— Jestem do usług pańskich,—z niedostrzegalną ironją rzekł Armand,—chciałbym jednak zrozumieć lepiej, o co idzie.

— Natychmiast. Nikt nie wie o istnieniu tego pokoju. Robotnicy, którzy go urządzali, byli przekonani, że będzie to oddział stacji centralnej. Ja sam tylko posiadam klucz od niego.

— Doskonale. Co dalej?

— Zaraz wyjaśnię panu zasadę moich aparatów. Każdy drut, idący do sufitu, łączy się z jednym z drutów sieci telefonicznej.

— Rozumiem. Druty te tym sposobem odprowadzają prąd tutaj, i pan słyszysz rozmowę.

— Prawie tak. Tylko, że ja odprowadzam tak nieznaczoną część prądu, że rozmawiający spostrzedz nie mogą. Siła głosu słabnie w tak małym stopniu, że najczulsze ucho straty tej nie uczuje.

— Jak że więc pan słyszeć możesz?

— Powoli... Te druty odprowadzające dochodzą do tej oto tablicy z osobnemi ponumerowanemi klatkami. Tu, prąd elektryczny wzmacnia wibrację błonek i komunikuje ją maszynom do pisania. Maszyna notuje każdy dźwięk na taśmie, rozwijającej się automatycznie, przy pomocy mechanizmu zegarowego.

— Krótko mówiąc,—zawołał Armand, — zamieniasz pan rozmowę na telefonogram.

— Właśnie... Pozostaje tylko odciąć codziennie zapisane kawałki taśmy i... wtedy mam przed oczami, czarno na białem, najtajniejsze rozmowy mieszkańców całego miasta.

Dziennikarz zaledwie mógł ochłonąć ze zdumienia. Więc ten człowiek posiadał możność znać nastrój i opinię ogółu w każdej sprawie.

Allsmayne z zadowoleniem widział wrażenie, jakie wynalazek jego zrobił na Armandzie.

— Rulony taśmy znajdują się pod stołem,—ciągnął dalej naczelnik policji. — Każda taśma ma długości około siedmiuset metrów, codziennie zaś aparat zużywa siedem metrów taśmy. Każdy rulon wystarcza zatem na sto dni.

— Wszystko to rozumiem, — wtrącił Armand,—lecz nie wiem, jakim sposobem mogę panu być pomocnym.

— Zaraz to panu wytłumaczę.

— Słucham!

— Idzie o to:—mówił Allsmayne, instynktownie zniżając głos, — codzienna moja obecność na stacji mogłaby niepotrzebnie zwrócić uwagę. Pana zaś nikt nie zna, możesz przychodzić tu codziennie, bez obudzenia żadnych podejrzeń. Mam nadzieję, że przyjmiesz pan na siebie obowiązek codzień rano odcinać kawałki taśmy i wręczać je mnie.

— Ależ z przyjemnością.

— Nasz wróg wspólny, Triplex, umie prowadzić interesy. Nie korzysta ani z poczty ani z telegrafu, prawdopodobnie więc porozumiewa się ze swymi współpracownikami za pomocą telefonu.

— Prawdopodobnie.

— Więc panu podoba się mój projekt?

— Najzupełniej. Na dowód rozpoczynam natychmiast pełnienie swych obowiązków.

I uzbrojony nożyczkami, rozpoczynał obcinanie końców taśmy. Allsmayne odbierał je, związał w małe ruloniki, ścisnął każdą gumką i kładł do pugilaresu.

Po upływie dwudziestu minut Lavarede skończył swoją robotę, i obaj wyszli z pokoju. Naczelnik policji zamknął starannie drzwi, wyjaśnił Armandowi sekret zamka i oddał mu klucz.

— Od tej chwili—rzekł,—jesteś pan jedynym naczelnikiem tego biura. Liczę na pana, a pan możesz liczyć na mnie w zupełności.

.....

Od pięciu już dni chodził Armand regularnie na stację telefonów, zbierał starannie zapisane kawałki taśmy i oddawał je Allsmaynowi. Dotąd jednak naczelnik policji nie znalazł nic ciekawego. Czyżby korsarz Triplex potrafił obywać się także bez telefonu w stosunkach z podwładnymi?

Szóstego dnia Allsmayne siedząc w gabinecie swym, z widocznym niezadowoleniem odczytywał karteczki.

— Nic i nic!—mruczał gniewnie.

I rzeczywiście, na kartkach znajdował ciągle rozmowy handlowe lub rodzinne.

— Proszę przysłać pięćdziesiąt sztuk sukna № 7 bis,—czytał.—Do diabła z kupcami!.. Mały Lulu cieszy się bardzo z otrzymanego pajaca... Do diabła z dziećmi i z zabawkami!...



WYDAWNICTWO GEBETHNERA i WOLFFA

JULJUSZ KOSSAK

przez Stanisława Witkiewicza.

Wydanie wytworne, zawierające 276 artystycznych reprodukcji cenniejszych obrazów i szkiców JULJUSZA KOSSAKA, sceny myśliwskie, historyczne, wiele nieznanych u nas dzieł, zebranych z prywatnych galerji i wystaw Krakowskich i Lwowskich

Stanisław Witkiewicz kresząc dzieje Juljusza Kossaka, najznakomitszego przedstawiciela pierwiastku narodowego w sztuce i tak bogatej pozostałej spuścizny artystycznej, daje skończony obraz historii i rozwoju sztuki polskiej od początku bieżącego stulecia do czasów dzisiejszych

Format „Albumu jubileuszowego Sienkiewicza“ i „Królowej Niebios“ str 207 na pięknym welinie w ozdobnej oprawie ze złoceniami — **Rubli 10.**

WYDANIE ZBYTKOWNE (édition de luxe)

drukowane w małej ilości egzemplarzy na wytwornym kredowym papierze większego formatu w ozdobnej oprawie — **Rubli 18.**

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

WYDAWNICTWO

Gebethnera i Wolffa

KRZYŻACY

Powieść historyczna

Henryka Sienkiewicza

WYDANIE JUBILEUSZOWE

4 tomy. Cena rub. 5, przesyłka 50 kop.

Oprawne egzemplarze w cenie rb. 6.60

będą w sprzedaży w pierwszych dniach Listopada.

OSTATNIE WYDAWNICTWA

GEBETHNERA i WOLFFA.

- CHODŹKO IGNACY. **Pamiętniki Kwentarza**, z dwunastoma rycinami E. M. Andriollego. Wydanie drugie. W ozdobnej oprawie ze złoceniami 4 —
- DUBIECKI MARYAN. **Kudak**, twierdza kresowa i jej okolice. Monografia historyczna nagrodzona przez Akademię Umiejętności w Krakowie. Wydanie nowe przejrane i powiększone 1. —
- **Obrazy i studia historyczne**, Serja druga 2. —
Treść: Kaffa, osada Genuensis i jej stosunek do Polski w XV w. — Wiazki dziejów Sieczy Zaporozkiej. — Zarysy instytucyj Zaporozża — Mohort, rycerz kresowy. — Dwie królowe. — Przedstawicielki dawnych dynastyj. — Katarzyna Jagiellonka, królowa Szwedzka.
- GRUSZECKI ARTUR. **Dla miliona**. Powieść 1.20
- **Xrety**. Powieść współczesna. Wydanie drugie 1.50
- **Nowy Gbywatel**. Z ilustracjami Konstantego Górskiego. (Biblioteczka ilustrowana) rb. 1. W oprawie 1.40
- KACZKOWSKI ZYGMUNT. **Wybór pism** z przedmową Ign. Chrzanowskiego w 10 ciętach rb. 5. W oprawie 7. —
Treść: I. 1. Mąż szalony. — Bitwa o chorążankę. T. II. Junakowie. — Swaty na Rusi. — Kasztelanice Lubaczewscy. T. III/IV. Mordello. — Tradycje Sanockie. T. V/VI. Gniazdo Nieczujów. — Starosta Hołobucki. T. VII/VIII. Grób Nieczujów. T. IX/X. Anuncjata.
- LEWICKI ANATOL. **Dzieje narodu Polskiego** w zarysie, doprowadzone do najnowszych czasów rb. 2. W oprawie płóciennej 2.50
- MARION. **Miraże**. Powieść 1.50
- MASZYŃSKI PIOTR. **Lirnik**. Pierwszy zbiór utworów na głosy mieszane (Sopran — Alt — Tenor — Bas) polskich i obcych kompozytorów I rb. 1.50 II 2. —
- NIEMOJEWSKI A. **Wybór poezji**. Wydanie wytworne rb. 1. W oprawie 1.40
- OR OT (Art. Opman). **Wybór poezji**. Wydanie wytworne rb. 1. W oprawie 1.40
- ORSYD. **Nowele**. Zapóźno. — Idylla. — Wyzwolona. — Wikta. — Izmael. — Dwa listy 1.20
- ROJAN KAZIMIERZ. **Lepsze czasy**. Powieść odznaczona na konkursie „Kuriera Codziennego” 1.20
- RYDEL LUCYAN. **Zaczarowane koło**. Baśń dramatyczna w pięciu aktach, uwieńczona pierwszą nagrodą na konkursie dramatycznym Ignacego Paderewskiego w Warszawie. Wydanie wytworne rb. 1. W oprawie 1.40
- SIEROSZEWSKI WACŁAW (Sirko). **Latorośle**. — Czuczce. — Pustelnia w górach. Trzy nowele z rysunkami Ant. Kamińskiego i K. Górskiego rb. 1. W oprawie 1.40
- **Risztau**. Powieść z ilustracjami Ant. Kamińskiego 1.20
- **Brzask**. — Puszcza Białowiecka. — Grecka szczelina. — Dno nędzy 1.40
- STARZEŃSKI LEOPOLD. **Z gawęd starego myśliwca** 1.50
- TETMAJER-PRZERWA KAZIMIERZ. **Otchłań**. Fantazja psychologiczna rb. 1. W oprawie 1.40
- ZDZIECHOWSKI M. **Szkice literackie** I. 2. —
Treść: I. H. Sienkiewicz w listach z podróży po Ameryce i obrazach amerykańskich. II. Neodalizm francuski. III. Edward Schuré i esoteryzm. IV. Katolicyzm a prądy religijne w literaturze. V. Idea Boga w twórczości artystycznej. VI. Spór o piękno.
- Z ziemi pagórków leśnych, z ziemi łąk zielonych**. Książka zbiorowa poświęcona pamięci Adama Mickiewicza w stuletnią rocznicę jego urodzin 1798 — 1898, z rycinami i wizerunkami poety 2.40
- ŻELEŃSKI WŁADYSŁAW i ROGUSKI GUSTAW. **Nauka harmonji**, oraz pierwszych zasad kompozycji. Wydanie drugie poprawione i powiększone 3. —
- ŻEROMSKI STEFAN. **Ludzie bezdomni**. Powieść. Wydanie drugie 2 tomy 2. —
- ŻULAWSKI JERZY. **Poezje**. Serja II. Wydanie wytworne rb. 1. W oprawie 1.40